TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Co z nami robią antyukraińskie fake newsy

Eutanazja we Francji: spór o godność

Polska cerkiew: wspólnota wielu narodów

Ian Rankin: najlepsze kryminały na lato

EKSTRA STRONY: Andrzej Wajda. Nowe kadry

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 29 lipca – 4 sierpnia 2026 | nr 31 (4021)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

Mężczyźni zaczynają rozmawiać

CO MYŚLĄ O SOBIE, EMOCJACH I RELACJACH | STR. 10–14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 66b790add1

REKLAMA

www.stolicajezykapolskiego.pl

Festiwal
Stolica Języka Polskiego

2—8.08.2026
Szczebrzeszyn, Zamość



fot. z archiwum Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza / oddział Muzeum Władysława Broniewskiego

Patron XII edycji
Władysław Broniewski

Są z nami między innymi:
Anda Rottenberg, Maja Komorowska, Przemysław Czapliński, Inga Iwasiów, Tadeusz Sławek, Marek Bieńczyk, Joanna Ostrowska, Magda Gacyk, Mariusz Urbanek, Katarzyna Dąbrowska, Nula Stankiewicz, Adam Strug, Janusz Strobel, Roch Sulima, Sylwia Ziętek

Organizator:
Fundacja Sztuki Kreatywna Przestrzeń

Współorganizatorzy:

Mecenas Festiwalu:
Bank Polski

Partnerzy Festiwalu:

Partnerzy medialni:

eprasa.pl 66b790add1

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MONIKA OCHĘDOWSKA

▪ ▪ OBRAZ TYGODNIA

6 Niewidzialne ręce rynku
MAREK RABIJ

8 Komentarze

▪ ▪ KRAJ

16 Następny przystanek: fake news
MATEUSZ CHOLEWA: *Kłamstwa z internetu mają potężne przełożenie na realny świat*

19 Emisją po kieszeni
SZYMON MAJEWSKI: *Przepisy wymyślone, by służyć walce o powstrzymanie wzrostu temperatur, nie działają tak, jak powinny*

22 Życie na granicy
ANNA KORYTOWSKA *o codzienności osób z zaburzeniem osobowości borderline*

▪ ▪ PSYCHE

26 Społeczeństwo bywa miłe



TOMASZ KACZOR / MATERIAŁY PRASOWE

ROZMOWA Z AGATĄ SIKORĄ: *Milenialsom obiecano świat bez wielkich konfliktów – wystarczyło tylko dobrze sobie radzić*

▪ ▪ ŚWIAT

32 Wybór ostateczny
SZYMON ŁUCYK: *Francja dołączyła do szczupłej wciąż grupy krajów w Europie, które dopuszczają eutanazję. Ustawa napotyka mocny opór. Nie tylko z religijnych powodów*

36 Brama wojny i pokoju
MAREK KĘSKRAWIEC: *USA gromadzą wojska wokół Iranu*

38 Sędziwe głowy władają Ameryką
MARTA ZDZIEBORSKA: *W Stanach rządzą ludzie z pokolenia boomersów. Jakie ma to skutki?*

▪ ▪ WIARA

42 Jedna liturgia, wiele kultur
MARTA ZABŁOCKA: *Szczecińska wielokulturowa parafia świętuje swoje 80-lecie*

TEMAT TYGODNIKA

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

10 Mężczyźni zaczynają rozmawiać

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

Mieli być silni, samowystarczalni i niewzruszeni. Dziś coraz częściej mówią o emocjach i potrzebie wsparcia. Skąd bierze się zmiana i co mówi o współczesnej męskości?



▪ 92. BONIECKI ▪

52 Benefis ks. Adama Bonieckiego

▪ FELIETONY ▪

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
25 OLGA DRENDA
41 ELIZA KĄCKA
51 NATALIA DE BARBARO
55 ZUZANNA RADZIK **76** PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS I MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

REDAKTORKA PROWADZĄCA: MONIKA OCHĘDOWSKA

46 Portret z serca
KS. ALFRED MAREK WIERZBICKI: *Osobiste wspomnienie o ks. prof. Andrzeju Szostku – wybitnym etyku, rektorze KUL i wiernym przyjacielu*

48 Bliźni homoseksualista
ROZMOWA Z JAKUBEM SLAWIKIEM, BIBLISTĄ: *Zwykle zbyt szybko sięgamy po Biblię przeciwko homoseksualistom*

54 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

▪ ▪ HISTORIA

56 Maryja z powstania
PATRYCJA BUKALSKA: *Kapliczki wpisały się w krajobraz podwórek Warszawy. Te, które przetrwały powstanie w 1944 r., są także częścią historii miasta i jego mieszkańców*

▪ ▪ NAUKA

60 Co to za życie
ROZMOWA Z KATARZYNĄ ADAMALĄ: *Biologia syntetyczna zmieni świat*

▪ ▪ KULTURA

64 Mroczny optymista



PAUL GROVER / SHUTTERSTOCK / REX FEATURES / EAST NEWS

PIOTR KOFTA: *Ian Rankin spadku formy nie zaliczył nigdy, choć sprzedał dziesiątki milionów książek*

68 Sztuka wyboru
JAKUB PUCHALSKI: *Na festiwalowej niwie rośnie rywalizacja. Na co zwrócić uwagę?*

70 Na pełnej petardzie
JACEK WAKAR *o najlepszych spektaklach końcówki teatralnego sezonu*

73 Morze to coś osobistego
MACIEJ SZKLARCZYK: *Pamięć o wakacjach pomaga nam przetrwać szare miesiące pluchy*

74 Próba łuku:
ANITA PIOTROWSKA *recenzuje „Odyseję” Christophera Nolana*

75 Przeciw nicości
LEKTOR *o wyborze wierszy Stanisława Barańczaka*

▪ ▪ ZMYSŁY

78 Fontanna bez wstydu
BARTEK KIEŻUN: *Szczęście na Piazza Pretoria w Palermo*

eprasa.pl 66b790add1

KS. ADAM

Boniecki: *Mój przyjaciel Andrzej*


GRAŻYNA MAKARA

Zmarł Andrzej. Poważnie chorował, ale była nadzieja, były polepszenia. A teraz taka wiadomość. Człowiek niezwykły, zasłużony. Wybitny profesor, przez dwie kadencje rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, uczeń Wojtyły. O tym wszyscy, dalsi i bliscy, będą teraz mówić. Tak to bywa z wybitnymi zmarłymi.

Dla mnie Andrzej był kimś bardzo bliskim. Nie dlatego, że znałem go od dziecka. Uczyłem religii (w salce przy tzw. kościele młodzieżowym w Grudziądzu) jego starszą siostrę Jolę. Byłem pierwszy rok księdzem, pochłoniętym obowiązkami, ale Szostków poznałem wyjątkowo dobrze. Nie byli anonimowymi osobami w tłumie. Wiele by pisać.

Niektórzy z nas, księży, chodzili do ich domu. Ja także. Wiedziałem, że Andrzej jest pilnym uczniem z dobrymi stopniami, ministrantem. Ale nie pamiętam rozmów z nim ani niczego, co teraz by można opowiedzieć. Do czasu, kiedy się dowiedziałem, że wstąpił do naszego nowicjatu.

Kiedy teraz usiłuję odtworzyć drogi naszej znajomości i przyjaźni, z trudem wyodrębniam konkretne wydarzenia. Ale pamiętam spotkania. Nie było ich wiele, co jednak nie miało znaczenia dla naszej – wolno mi chyba tak powiedzieć – przyjaźni. Każde było czymś oczywistym i normalnym. Nie opowiadaliśmy sobie, co który z nas robił, co czytał, co pisze. Mówiliśmy o życiu.

MONIKA

Ochędowska: *Jak zrzucić zbroję*


GRAŻYNA MAKARA

Matylda/Łukasiewicz to artystyczny duet tworzony przez aktorkę i wokalistkę Matyldę Damięcką oraz muzyka, autora tekstów Radka Łukasiewicza. Jako zespół Radek i Matylda nagrywają i występują od trzech lat, a ich piosenki są doskonałą – przejmującą, pełną humoru, doskonale też napisaną i wpadającą w ucho – opowieścią o zmieniających się rolach kobiet i mężczyzn. Jeśli będą koncertować w Waszym mieście (we wrześniu grają w Łodzi, a w październiku w Krakowie), koniecznie wybierzcie się, by posłuchać ich na żywo i przekonać się, że można zrobić świetny kawałek z historii o kredytach hipotecznych, mansplainingu albo toksycznych rodzicach.

Z kolei w śpiewanej przez Łukasiewicza piosence „Czuły barbarzyńca", stanowiącej całkiem dobrą ścieżkę dźwiękową do naszego tekstu okładkowego, usłyszycie wyznanie faceta, który co prawda „był uczony, jak być niezwyciężonym", ale przyznaje, że szczyt, na który się wspinał, okazał się „za stromy". „Bądź gotowa, że czasem się poddam", mówi swojej

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ
W DZISIEJSZYM DODATKU „WAJDA: NOWE KADRY" STR. 27

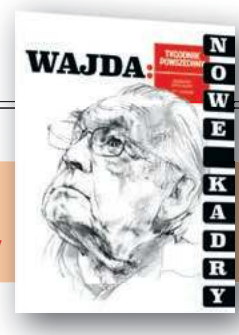

eprasa.pl 66b790add1

Ile ważnych tekstów napisał i ile wygłosił, trudno dziś powiedzieć. A przecież głosił nie tylko wykłady ze swoich specjalności. Był księdzem, a więc prowadził też rekolekcje wielkopostne, mówił kazania, spowiadał. Był człowiekiem pracowitym, a jednocześnie nie miałem nigdy wrażenia, że nie ma czasu na rozmowę, niekoniecznie otchłannie mądrą. Oraz na grę w szachy. To była z pewnością jedna z jego największych wielkich pasji.

Odszedł od nas człowiek mądry. Wcale nie mamy ich w nadmiarze. Nigdy nie widziałem, by swoją mądrością budował dystans do siebie, by dawał nam, mniej mądrym, do zrozumienia, że jest kimś lepszym. Z pewnością nigdy tak o sobie nie myślał. To cecha ludzi naprawdę wielkich. Podejrzewam, że niektórzy z nas przez jego prostotę nie byli w stanie dostrzec jego wielkości jako człowieka.

Taka ona jest, ta prawdziwa wielkość. Człowiek na co dzień wydaje się nam całkiem zwyczajnym, choć wcale zwyczajnym nie jest. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

partnerce. To wyznanie jest przejmująco szczere, ale w jakimś sensie słychać w nim także drogę, która doprowadziła barbarzyńcę do czułości. Czułości wobec samego siebie. Nie była to z pewnością droga łatwa. Dlaczego?

Zapewne dlatego, że nasza kultura całe wieki przekonywała chłopców, iż „najważniejszą rzeczą, którą musi zdobyć mężczyzna, jest męskość”. Pisał o tym w niedawno w świetnej książce „Po męstwie” literaturoznawca, profesor Uniwersytetu Śląskiego, Wojciech Śmieja. Jednocześnie „najgorsze, co się może mężczyźnie przytrafić, to utrata męskości”, przy czym dotyczy to zarówno jednostek, jak i całych narodów (Śmieja kapitalnie rozpracowuje różne modele męskości reprezentowane przez kilka pokoleń Polaków). Proszę zerknąć do jego książki choćby po to, by przekonać się, w jaki sposób mozolna walka o przetrwanie w latach 90. wpłynęła na naszych ojców i dziadków: skokowy wzrost zachorowań na choroby onkologiczne i kardiologiczne to bardzo konkretny, choć stosunkowo rzadko wspominany koszt transformacji.

Po lekturze Śmiei słyszę w piosence Łukasiewicza nie tylko osobiste wyznanie, a hymn całego pokolenia. Czasem po prostu trzeba porzucić wspinaczkę na szczyt i zacząć rozmawiać. Zabrzmi to patetycznie, ale tak po prostu jest: ceną za uparte noszenie zbroi bywa życie. ©℗

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

PAULINA SIEGIEŃ
Niezależnie od tego, jak zakończy się wojna w Ukrainie, Rosja nie zniknie, a jej rozpad jest mało prawdopodobny. Jak z polskiej perspektywy patrzeć na przyszłość Rosji i relacje z nią.

MARTA ZDZIEBORSKA
60 lat temu USA doświadczyły rewolucji: seksualnej i społecznej. Wszystko zaczęło się od pigułki antykoncepcyjnej. Jak zmieniła ona Amerykę? I dlaczego do dziś trwa o nią spór?

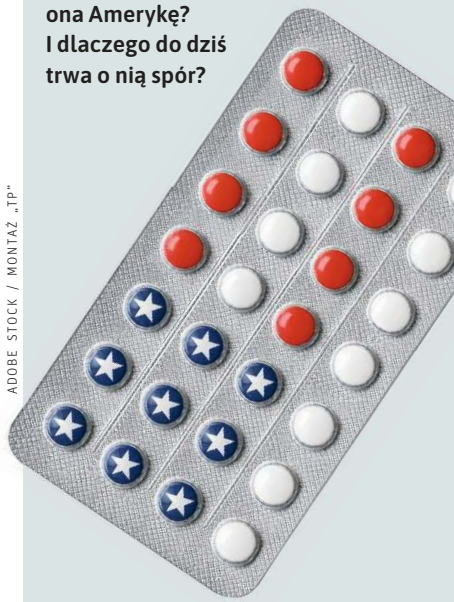

ADOBE STOCK / MONTAŻ „TP”

PIOTR SZYMANEK
Bóg opuścił czat: czy sztuczna inteligencja rozumie religię, czy jest ateistyczna? W jakich kwestiach ją pomija, a w jakich nie – faworyzując jedne tradycje kosztem innych.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 66b790add1

OBRAZ TYGODNIA

21–27 LIPCA 2026

HISZPANIA I FRANCJA WALCZĄ Z OGROMNYMI POŻARAMI LASÓW. W obu krajach ewakuowano z rejonów zagrożonych ponad 300 tys. osób. Najpoważniejsza sytuacja panuje w okolicach Bordeaux na południu Francji i w okolicach stolicy Hiszpanii, Madrytu. ■■■ **SAMOCHÓD WJECHAŁ W TŁUM** ludzi podczas Parady Równości w Berlinie. Jedna osoba zginęła, a około 30 zostało rannych. Policja zastrzeliła podejrzewanego o spowodowanie tragedii 21-letniego Abdula Ballaouta, powiązanego ze środowiskami islamistycznymi. Kanclerz Friedrich Merz określił zdarzenie jako „atak na niemieckie społeczeństwo". ■■■ **UKRAIŃSKIE SIŁY ZBROJNE** zaatakowały w Rosji zakład w Kirowie, rafinerię w Tiumeniu, obiekt logistyczny w Jekaterynburgu oraz statki wykorzystywane do transportu ładunków wojskowych z Iranu i okręt wojenny na Morzu Kaspijskim. Rosja prowadziła ostrzał ukraińskiej stolicy m.in. przy użyciu pocisków balistycznych. ■■■ **GEN. MYCHAJŁO DRAPATY** został naczelnym dowódcą Sił Zbrojnych Ukrainy, zastępując na stanowisku Ołeksandra Syrskiego. Jest trzecim naczelnym dowódcą w czasie wojny z Rosją. ■■■ **21. PAKIET SANKCJI UE** na Rosję. Pułap ceny za rosyjską ropę naftową zostanie zamrożony na rok, co ma ograniczyć zyski Kremla ze sprzedaży surowca. ■■■ **KOMISJA EUROPEJSKA** nałożyła karę dla koncernu Google za faworyzowanie własnych usług w wyszukiwarce i ograniczanie dostępu do alternatywnych ofert w sklepie Google Play. Decyzję Komisji skrytykował prezydent Donald Trump i zapowiedział „ukaranie UE". ■■■ **NOWY PREMIER WIELKIEJ BRYTANII** Andy Burnham zapowiada działania rządu na rzecz obniżenia kosztów życia, ale nie zobowiązał się do podniesienia podatków na obronność do 3 proc. PKB. ■■■ **W WASZYNGTONIE** zorganizowano po raz drugi w tym roku galę dla mediów z udziałem prezydenta Trumpa, który powiedział, że będąc na gali „nie poddajemy się przemocy politycznej". W kwietniu poprzednia gala została przerwana, gdy uzbrojony mężczyzna usiłował wtargnąć do sali balowej z zamiarem zabicia prezydenta Stanów Zjednoczonych i członków jego administracji. ■■■ **KARIM KHAN,** główny prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego, został odwołany ze stanowiska w związku ze stawianymi mu zarzutami o niewłaściwe zachowania seksualne. Khan zaprzecza zarzutom. Jako prokurator wydał nakazy aresztowania Władimira Putina oraz Benjamina Netanjahu. ■■■ **ZAKAZ TRZYMANIA** psów i kotów na uwięzi. Prezydent Karol Nawrocki podpisał nowelizację ustawy o ochronie zwierząt. Przepisy wejdą w życie po roku od ogłoszenia ustawy. ■■■ **USTAWA O PODATKU** od nadzwyczajnych zysków firm paliwowych skierowana przez prezydenta Nawrockiego do Trybunału Konstytucyjnego. Decyzję skrytykowali premier Donald Tusk i minister finansów Andrzej Domański. ■■■ **MODERNISTYCZNE CENTRUM GDYNI** zostało wpisane na prestiżową Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. To osiemnaste miejsce w Polsce uhonorowane w ten sposób. ■■■ **400-METROWY KONTENEROWIEC** MSC Venice wpłynął do portu w Gdyni. To największy statek w historii zawinięć do gdyńskiego portu. ©℗



ARTUR WIDAK / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

POWYŻEJ: Kurierzy Pyszne.pl. Kraków, sierpień 2023 r.

NIEWIDZIALNE RĘCE RYNKU

Bacznie obserwujmy sytuację kurierów rowerowych, nawet jeśli z rzadka korzystamy z ich usług. Los tej grupy pokazuje bowiem, jakie może być jutro pracy nas wszystkich.

MAREK RABIJ

Do coraz dłuższej listy podmiotów, które szykują w Polsce zwolnienia grupowe, dopisał się właśnie właściciel serwisu Pyszne.pl, który zapowiedział zakończenie współpracy z blisko pięcioma tysiącami swoich kurierów. Firma wydała w tej sprawie oświadczenie, którego treść można streścić w zdaniu: próbowaliśmy inaczej, ale konkurenci byli sprytniejsi.

eprasa.pl 66b790add1



Kurier, wolny najmita

W społecznym odbiorze kurierzy rowerowi i kierowcy taksówek z aplikacji to dziś segment polskiego rynku pracy, w którym dominują migranci zarobkowi. Jest w tym dużo przesady, ale polska ulica trafnie odczytuje rynkową tendencję: firmy korzystające z platform typu Uber, Bolt czy Pyszne.pl coraz chętniej zatrudniają cudzoziemców, bo w ten sposób mogą stosunkowo łatwo kontrolować koszty pracy. Wg GUS w ub. roku liczba legalnie zatrudnionych obcokrajowców wzrosła w Polsce z 1 045 000 do 1 141 000.

Ilu obcokrajowców faktycznie „jeździ na aplikacji"? Oficjalnych danych nie ujawniają same platformy, ale polskie firmy pośrednictwa pracy szacują, że wśród kurierów rowerowych i kierowców taksówek cudzoziemcy mogą stanowić już blisko 40-50 proc. Większość pochodzi jednak z Ukrainy. Dla przybyszów z krajów azjatyckich, Afryki czy Ameryki Południowej to praca o stosunkowo wysokiej barierze wejścia, gównie z powodu bariery językowej, a często także z uwagi na brak międzynarodowego prawa jazdy. Olbrzymia większość migrantów zarobkowych z tych krajów znajduje dziś zatrudnienie w zakładach przetwórstwa spożywczego i przy gospodarowaniu odpadami. ©℗ MR

Istotnie, Pyszne.pl bodaj jako jedyny serwis tej branży w Polsce sam zatrudniał kurierów na umowy-zlecenie. Rozliczał się z nimi wedle stawki godzinowej, co oznaczało, że płacił im także za oczekiwanie na zamówienia. Firma twierdzi nawet, że ustami swoich przedstawicieli zwracała uwagę rządzącym na praktyki rywali, którzy sobie takimi detalami nie zawracają głowy i zlecają dostawy firmom zewnętrznym, które niejako dzierżawią platformom swój personel.

W efekcie operator serwisu Pyszne.pl ponosił koszty działalności nieporównywalnie wyższe od konkurentów – a skoro państwo nie zamierzało interweniować, i on w końcu postanowił nie być ostatnim naiwnym i również przestawić się na „model flotowy".

Ten zgrabny eufemizm oznacza, że kurierzy pracujący w barwach Pyszne.pl formalnie nie będą mieć z tym serwisem nic wspólnego. Jeśli w drodze do klienta któryś z nich ulegnie np. wypadkowi, spółka będzie zobligowana przesłać mu najwyżej życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

KAŻDEGO DNIA NA ULICE największych polskich miast wyjeżdża około 40 tys. kobiet i mężczyzn z charakterystycznymi kwadratowymi plecakami termicznymi z logo Pyszne.pl, UberEats, Glovo czy Wolt.

To prawdziwe „niewidzialne ręce rynku", ludzie, na których zwykle zwracamy uwagę dopiero wtedy, gdy spóźnią się z dostawą albo gdy nie możemy pokonać dzielącej nas bariery językowej. Latem wpadają zdyszani. Zimą trudno czasem dostrzec zarys ich sylwetek zakutanych w kilka warstw odzieży.

Ale to oni, podobnie jak dostawcy firm kurierskich, stanowią dziś prawdziwą „ostatnią milę" gospodarki – tyleż lekceważony, co niezbędny element łączący z klientami tysiące firm gastronomicznych i miliony sklepów. I tu momentem przełomowym była pandemia. Od tamtego czasu bez dostawy do drzwi wielu z nas trudno sobie wyobrazić skorzystanie z oferty gastronomicznej czy zakupów.

Według raportu Restolabs 2026 już ponad 39 proc. zamówień spływających w krajach wysoko rozwiniętych do restauracji, barów czy food trucków stanowią zlecenia z dostawą do klienta.

KURIER DOWOZI. W tym oczywistym sformułowaniu zawiera się także brutalna istota pracy około 60-100 tys. osób, które tymczasowo bądź na stałe parają się w Polsce takim zajęciem.

Kurier flotowy, niemający umowy o pracę, dowieźć musi, jeśli chce zarobić. Pieniądze dostaje od kursu, nie za samą gotowość do pracy.

Stawkę ma dynamiczną, co oznacza, że im mniej jest chętnych w jego rewirze do przyjęcia danego zamówienia, tym większy zarobek – i na odwrót.

Wynagrodzenie zależy także od jego zaangażowania w pracę: im częściej odmawia przyjęcia zlecenia, tym gorzej traktuje go algorytm łączący zamawiających z dostawcami. Tak wyglądają dziś kulisy tzw. pracy platformowej, synonimu kiepskich zarobków, braku stabilności i nieustającej rywalizacji o zlecenia już nie tylko z bezpośrednią konkurencją, ale nawet z kolegami z pracy.

Platformy aplikacji do zamawiania jedzenia, taksówki czy innych usług nazywają taki układ elastycznością i wliczają do swoich atutów. Z punktu widzenia ich właścicieli to faktycznie same plusy, wyższa rentowność i niemal zerowa odpowiedzialność.

DOPÓKI PATRZYMY NA TO zjawisko jako klienci, dopóty i my możemy też widzieć w nim grę o dodatniej sumie. Problem w tym, że platforma jako domyślny model organizacji pracy chodzi dziś po głowie nie tylko szefom Ubera, Pyszne.pl czy Bolta.

Na szeroką skalę testuje go już m.in. branża IT, która ma swoje platformy do wystawiania czasu i umiejętności na sprzedaż temu, kto da za nie więcej. Pracujesz, ile chcesz i kiedy chcesz, bez grafiku czy męczących szefów – przekonują ich twórcy.

O ile takie obietnice nie są na wyrost w odniesieniu do wysoko wykwalifikowanego specjalisty, którego doświadczenia i umiejętności wciąż nie można zastąpić modelem AI, o tyle w przypadku pracownika biurowego, serwisanta AGD czy operatora maszyn oznaczałyby raczej powrót do realiów rewolucji przemysłowej, gdy każdego ranka pod fabrykami wystawały tłumy ludzi marzących o tym, żeby znalazła się dla nich jakaś robota.

Trwająca już rewolucja AI niemal na pewno sprawi, że przynajmniej przez jakiś czas pracy będzie mniej niż chętnych do jej podjęcia. To jednak problem sięgający dalej niż samo bezpieczeństwo socjalne.

Praca wciśnięta w ramy platformy postawi bowiem pod znakiem zapytania także wspólnotę, którą jest współczesne państwo. Z czego finansować kulturę, edukację, bezpieczeństwo i powszechny system ochrony zdrowia – od odpowiedzi na te pytania nie da się uciec. Nawet przechodząc na „model flotowy". ©℗

eprasa.pl 66b790add1



Pobożność drogi

EDWARD AUGUSTYN

Przełom lipca i sierpnia to coroczny szczyt pielgrzymkowego sezonu. W Polsce wierni idą do ponad 90 sanktuariów. Ich motywacje są różne: głównie religijne (modlitwa w ważnej sprawie, rozeznanie przed podjęciem życiowej decyzji, pokuta), ale też psychologiczne (szukanie wytchnienia od cyfrowego zgiełku, potrzeba bycia we wspólnocie osób o podobnych wartościach), poznawcze, sportowe, a ostatnio – w dobie mediów społecznościowych – także autopromocyjne.

O renesansie pielgrzymowania piszą też zachodnie media. Do sanktuarium w Chartres szło w tym roku 20 tys. sympatyków przedsoborowej liturgii (dwukrotny wzrost w ciągu dekady). Najbardziej znany w Europie szlak pielgrzymkowy – Camino de Santiago – ukończyło w 2025 r. ponad pół miliona pątników (dziesięciokrotny wzrost w ciągu ćwierćwiecza).

Pielgrzymki są wyrazem tęsknoty za „innym" Kościołem: czy to bardziej tradycyjnym i hierarchicznym, czy – przeciwnie – nowoczesnym i równościowym. Dobrze też wpisują się w trendy lifestylowe, typu „slow travel", „wellness tourism" czy „pop culting" (podróże śladami ulubionych seriali i gier).

W Polsce trudno mówić o odrodzeniu, bo ruch pielgrzymkowy nigdy nie zamarł, nawet w czasach programowej ateizacji. Wręcz przeciwnie – w latach PRL pielgrzymka była nie tylko aktem pobożności, ale i oporu wobec władz. Po 1989 r. liczba pielgrzymów nieco spadła, ale i tak utrzymywała się na wysokim poziomie. Na samą Jasną Górę chodziło w tym czasie rokrocznie 150-200 tys. osób. Od czasu pandemii, która zadała cios wysokiej frekwencji, nie udało się już osiągnąć takich wyników: ostatnie dane, za rok 2025 r., mówią o 108 tys. pielgrzymów do Częstochowy (pieszych, rowerowych, biegowych, rolkowych i konnych).

Peregrynacyjne wątki są też twórczo rozwijane w kulturze. Dzieł literackich czy filmowych, w których wędrówka stała się metaforą ludzkiego losu i podróży w głąb siebie, nie sposób wymienić. Nic dziwnego – *Homo viator* to jeden z najstarszych toposów, którego pierwowzorem był Odyseusz. W epoce nadmiaru bodźców pielgrzymowanie – czy to we wspólnocie, czy samotnie i w ciszy – wydaje się idealną drogą do odzyskania wewnętrznej równowagi i nawiązania dobrych relacji – z Bogiem, bliźnimi i samym sobą. ©℗



FREDERIC PETRY / HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

Piesza pielgrzymka do Chartres, 9 czerwca 2025 r.



Rozwód Plus

MAREK KĘSKRAWIEC

Mateusz Morawiecki do końca zabiegał o spotkania z Jarosławem Kaczyńskim, mówił o dwóch płucach w partii, ale tak naprawdę głową był już poza nią, od miesięcy tworząc własne centroprawicowe struktury. A gdy prezes PiS zdecydował się zagrozić rozwodem, to szczęśliwie dla ekipy Morawieckiego stało się to kilka dni przed wielką konferencją programową stowarzyszenia Rozwój Plus.

Środek wakacji nie jest może idealnym momentem na rozwód, ale grupa, która nie zdecydowała się na podpisanie wymaganych przez prezesa PiS lojalek, będzie mogła na zjeździe szybko się ułożyć i policzyć. Na razie wiadomo, że jest w niej m.in. 37 posłów PiS oraz troje spoza partii Kaczyńskiego. To zaś oznacza, że jeśli stworzą klub parlamentarny, stanie się on trzecią siłą w Sejmie (PSL ma 32 posłów, Nowa Lewica 21).

Trudno sobie wyobrazić, by po wyborach jesienią 2027 r., na gęstej od sztandarów prawicy nowa partia utrzymała obecny stan posiadania. Morawiecki stał co prawda za największymi sukcesami PiS, które przekładały się na rekordowe zadowolenie Polaków, ale zarazem kończył jako jeden z symboli ciężkiej atmosfery końcówki 8-letnich rządów PiS oraz afer, m.in. w rządowych agencjach. Jego odejście było zresztą kabaretowe, gdy wbrew wynikom wyborów próbował tworzyć w Sejmie większość, by nie oddać władzy Donaldowi Tuskowi.

Czy dziś jego sytuacja jest lepsza? Na pewno po tym, jak rok temu zaczął być wypychany z PiS przez grupę nazwaną później „maślarzami", zastosował skuteczną taktykę. Zamiast szukać ratunku u prezesa, jak inni politycy uprawiający partyjne gierki, zaczął budować własne struktury.

Kiedy w kwietniu powstał Rozwój Plus, którego członkowie kpili z Przemysława Czarnka i jego prób ścigania się na radykalizm z Grzegorzem Braunem, było już wiadomo, że to koniec. Ludzie, którzy stanęli wtedy za Morawieckim (i wytrwali do dziś) nie są naiwni. Gdyby zostali w PiS, dostaliby najgorsze miejsca na listach. A że w kolejnych wyborach partia zdobędzie zapewne mniej foteli w Sejmie, walka o każdy z nich będzie trudniejsza.

Czy jednak Morawiecki jest dziś komuś potrzebny? Jeździ po Polsce świetnie przygotowany i odnosi sukcesy w debatach, ale jak to się przełoży na głosy za rok? Na pewno, jeśli utrzyma sondażowe poparcie na poziomie 6 proc., może stać się języczkiem u wagi i być jak kiedyś PSL. Może się po wyborach pogodzić z Kaczyńskim, może szukać (choć dziś temu ostro zaprzecza) porozumienia z ludowcami i Polską 2050. Nie takie zwroty akcji widzieliśmy, ale też pamiętamy niejednego, któremu się zdawało, że jest dla niego życie poza PiS. ©℗

eprasa.pl 66b790add1

Serce ma swój mózg

ZDROWIE ▪ Badania na myszach ujawniły, że w sercu działają dwa typy neuronów, które regulują jego pracę i chronią je w stresie. Odkrycie tego systemu otwiera drogę do skuteczniejszych terapii zaburzeń rytmu.

W trakcie czytania tego tekstu serce zdrowego czytelnika leżącego właśnie na plaży wykona między 180 a 300 uderzeń. Jeśli jednak ktoś czyta „Tygodnik", pedałując na rowerze stacjonarnym, jego serce może w tym czasie wykonać nawet 500-600 skurczów. Działanie tego mechanizmu z grubsza znamy – zamiar ruchu, a potem zwiększone wydzielanie adrenaliny oraz zwiększone zużycie tlenu w mięśniach oddziałują na autonomiczny układ nerwowy, który przyspiesza akcję serca. Ale regulacja pracy tego mięśnia jest nieco bardziej skomplikowana. Dlaczego serce w reakcji na stres nie przyspiesza w nieskończoność i dlaczego przeszczepione serce reaguje na bodźce, skoro jest odcięte od układu autonomicznego? Naukowcy z Uniwersytetu w Yale w opublikowanej w ubiegłym tygodniu pracy przybliżają rozwiązanie wielu z tych zagadek.



JORDI P DE / PEOPLEIMAGES.COM / ADOBE STOCK

W latach 90. amerykański kardiolog John Andrew Armour przedstawił koncepcję „małego mózgu serca" – wszystkie komórki nerwowe, ale również komórki glejowe odkrywane przez lata w sercu oraz okolicznych tkankach stanowią tak skomplikowaną sieć, że muszą odgrywać znacznie istotniejszą rolę niż tylko przekazywanie impulsów z mózgu. Ten układ to wewnątrzsercowy system nerwowy (ICNS). Zaburzenia w jego obrębie podejrzewa się o udział w rozwoju migotania przedsionków, odruchowych omdleń i innych problemów z rytmu. Co więcej, od lat w leczeniu migotania przedsionków wykonuje się zabiegi ablacji, które niszczą komórki ICNS. Jednak dokładne działanie tej sieci pozostawało niewyjaśnione.

Qian Xu i współpracownicy w artykule z czasopisma „Cell" opisują dwie grupy komórek nerwowych odkrytych w sercu myszy – Ddah oraz Npy, które naukowcy na mysich modelach selektywnie wyłączali. Usunięcie neuronów Ddah1 nie wywoływało u myszy widocznych skutków. Jeśli nie były niepokojone, żyły nadal, a ich serce działało prawidłowo. Rola tych komórek ujawniała się, gdy pojawiały się określone bodźce, takie jak stres cieplny (tygodniowy pobyt w temperaturze 37 st. Celsjusza), stres psychologiczny (polegający na unieruchomieniu myszy) oraz nadmierna stymulacja współczulna (podanie adrenaliny oraz kofeiny). Wszystkie te czynniki zwiększają akcję serca, a u myszy z usuniętym neuronem Ddah wywoływały ciągłe przyspieszanie akcji serca, tachykardię i zgon. Ponowne aktywowanie tych neuronów poprawiało przeżywalność.

Mniej szczęścia miały osobniki z wyłączonymi neuronami z grupy Npy. W trakcie badań wykazano, że pobudzenie tych komórek zwalniało pracę serca. Ale myszy, u których komórki Npy zostały wyłączone, umierały spontanicznie na skutek utraty elastyczności aorty przy prawidłowym rytmie serca.

Badacze porównują „mózg serca" do „mózgu jelit", czyli zlokalizowanego w przewodzie pokarmowy układzie komórek nerwowych, który reguluje skurcze perystaltyczne, wydzielanie enzymów i samodzielnie reguluje pracę wielu narządów. Coraz więcej wskazuje na to, że serce również nie jest jedynie pompą wykonującą polecenia mózgu. Wyrysowanie mapy tego systemu może nie tylko wyjaśnić zagadki fizjologii – takie jak reakcje przeszczepionego serca – lecz także doprowadzić do opracowania bardziej precyzyjnych metod leczenia zaburzeń rytmu niż stosowane obecnie.

© BARTOSZ KABAŁA

BARTOSZ MINKIEWICZ

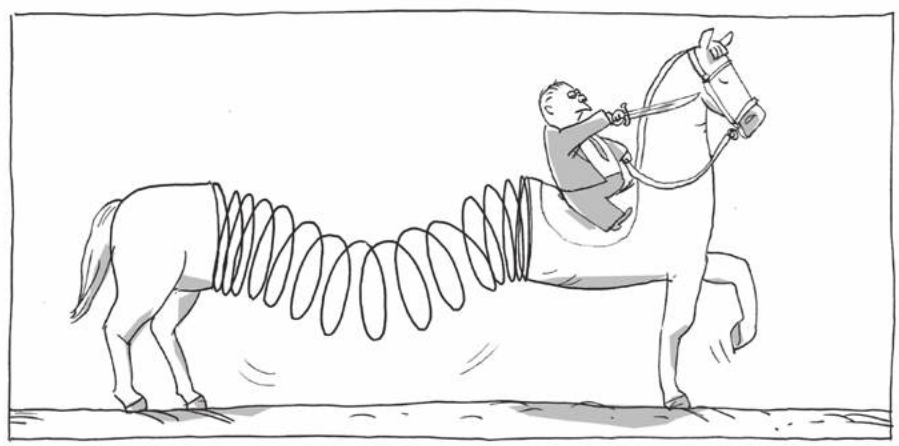

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 66b790add1

TEMAT TYGODNIKA

MĘŻCZYŹNI ZACZYNAJĄ ROZMAWIAĆ

Coraz częściej mówią o swoich doświadczeniach i potrzebach oraz wspólnie szukają odpowiedzi na pytanie, czym dziś jest męskość. Dlaczego właśnie teraz?

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 66b790add1

Ojciec Maćka Podgórskiego, 39-latka z Warszawy, najbardziej lubił opowiadać o domu, który zbudował dla swojej rodziny własnymi rękami. – Zawsze uwielbiał podkreślać, że nikogo nie prosił o pomoc, nikogo nie potrzebował, że świetnie sobie radził – wspomina Maciek, który siłą rzeczy dorastał w przekonaniu, że męskość oznacza przede wszystkim sprawczość, nieproszenie nikogo o wsparcie czy pomoc. A także odpowiedzialność za utrzymanie rodziny.

Wpajana mu przez lata wizja męskości rozsypała się jak domek z kart, kiedy okazało się, że znany scenariusz przestał pasować do jego własnego życia. – Moja definicja męskości się zdezaktualizowała, bo okazało się, że nie muszę wszystkiego ciągnąć sam, partnerka potrafi sama o siebie zadbać – opowiada.

Maciek, który pracuje w branży kreatywnej i współtworzy podkast o męskości „Ckliwe Typy", przyznaje, że to doświadczenie okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. – Zacząłem się zastanawiać nad tym, jaka jest moja rola w społeczeństwie. Przez lata mówiono mi, że powinienem „dostarczać zasoby", że to moja przewaga w rodzinie. To dawało mi poczucie siły, dzięki temu czułem się potrzebny – mówi.

I przyznaje, że ogromną pomocą była dla niego psychoterapia oraz spotkania w męskich kręgach. – Odkryłem, że w relacji można czuć się męsko nie tylko dźwigając wszystko na własnych barkach – opowiada.

Nowa rozmowa

Jacek Masłowski, filozof, psychoterapeuta i prezes Fundacji Masculinum, od 16 lat pracujący z mężczyznami, wyjaśnia, że jeszcze dekadę temu mężczyźni, zamiast konfrontować się z problemami, wybierali milczenie. A tym, co ich łączyło, był wstyd. – Jeżeli już decydowali się na rozmowę, skupiali się na wyzwaniach wpisanych w stereotypowy wzór męskości: jak więcej zarabiać, jak zbudować swój status społeczny i wchodzić w związki z kobietami. Wrażliwość czy problemy związane z samorealizacją były tematami tabu – tłumaczy.

Z jego perspektywy przełomem w rozmowach o mężczyznach i męskości był okres pandemii. Kilka miesięcy zamknięcia w domach, często z rodziną za ścianą, stało się dla wielu mężczyzn momentem zatrzymania i refleksji, na którą wcześniej w codziennym kieracie brakowało miejsca.

Do większej otwartości skłoniło wielu mężczyzn także nowoczesne, zaangażowane ojcostwo. Zaś uwagę społeczeństwa na problemy, z którymi mierzą się mężczyźni, zwrócił temat widocznego w statystykach samobójstw kryzysu psychicznego. Bo wedle raportu „Samobójstwa i próby samobójcze w Polsce w latach 2020-2024", opracowanego na podstawie danych Komendy Głównej Policji, mężczyźni w naszym kraju odbierają sobie życie prawie pięć razy częściej niż kobiety.

Publiczną debatę o mężczyznach rozbudził w Polsce opublikowany w 2021 r. raport „Przemilczane nierówności" Michała Gulczyńskiego [na łamach „TP" polemizował z nim Wojciech Śmieja, autor książki „Po męstwie" – red.]. Autor opisał obszary, w których – jego zdaniem – mężczyźni w Polsce doświadczają nierównego traktowania lub pozostają poza głównym nurtem debaty publicznej.

Pięć lat później trudno nie zauważyć, że rozmowa o mężczyznach wyszła daleko poza gabinety psychoterapeutów i akademickie dyskusje. Coraz wyraźniej widać ją także w polityce – podczas kampanii prezydenckiej w 2025 r. niemal każdy kandydat i kandydatka musieli odnieść się do problemów i wyzwań, z którymi mierzą się mężczyźni. Podobne pytania pojawiały się również podczas niedawnych przesłuchań na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich.

Wreszcie, zmiana widoczna jest także w instytucjach publicznych – we wrześniu 2025 r. w Gdyni powołano pierwszą w Polsce Radę ds. Mężczyzn, pełniącą funkcję społecznego organu doradczego przy prezydent miasta, a jesienią o problemach i wyzwaniach mężczyzn rozmawiać ma sejmowa Komisja Polityki Społecznej i Rodziny.

Równolegle rozwijają się prężne inicjatywy oddolne – działają fundacje i stowarzyszenia, a także wspomniane już męskie kręgi, czyli przestrzenie, w których mężczyźni mogą rozmawiać o ojcostwie, relacjach, samotności czy emocjach. Od kilku lat regularnie organizowane są również wydarzenia poświęcone wyłącznie mężczyznom, takie jak Kongres Mężczyzn czy pięciodniowy Conscious Man – Festiwal Świadomego Mężczyzny. Na rynku przybywa także raportów, książek i podkastów biorących na tapet męskie doświadczenia.

O nas bez nas

Świeżym spojrzeniem na narrację wokół współczesnych mężczyzn i pojęcia męskości w Polsce jest wydany w Dzień Ojca raport „Męstwo. Co mężczyźni mówią i myślą o sobie w 2026 roku". Publikacja jest efektem kilku miesięcy rozmów z mężczyznami w różnych częściach Polski – spotkań dialogowych oraz Treningów Rozmowy dla Mężczyzn, w których wzięło udział 200 panów o różnych poglądach politycznych, w różnym wieku (najstarszy uczestnik miał 74 lata, najmłodszy – 19), wywodzących się z różnych środowisk.

Jak wyjaśnia Wawrzyniec Smoczyński, prezes Fundacji Nowej Wspólnoty i pomysłodawca projektu społecznego „Panowie, gadamy!", którego podsumowaniem jest raport, miał on stanowić rozbudowaną odpowiedź na sposób, w jaki w ostatnich latach w Polsce mówi się o mężczyznach. Bo najczęściej opowiada się o nich przez pryzmat najbardziej skrajnych postaw, a sama męskość bywa rozpatrywana jako coś problematycznego.

– W publicznej narracji mężczyzna w Polsce jest albo radykałem i mizoginem, albo wielkomiejskim feministą, nie ma nic pomiędzy. Co rusz słyszy się o toksycznej męskości, manosferze, incelach, redpillowcach czy kibolach. Nie twierdzę, że te zjawiska nie istnieją, ale nie można nakładać wycinkowych postaw na całą płeć, bo to generalizacja – mówi Smoczyński.

Autorzy projektu postanowili oddać głos samym mężczyznom. Interesowało ich nie tyle to, jacy mężczyźni „powinni być", ile to, jak sami opisują siebie i własne doświadczenia. – Uczestnicy naszych dialogów mogli własnym głosem, po swojemu opowiedzieć o męskości i wyzwaniach, z którymi się mierzą – tłumaczy Smoczyński. – Chcieliśmy się dowiedzieć, co myślą zwyczajni mężczyźni, jak odnajdują się w świecie zmieniających się ról społecznych, jak tłumaczą sobie nową rzeczywistość i jak się sami definiują.

Sporym zaskoczeniem dla pomysłodawcy projektu było to, jak dużą potrzebę rozmowy mieli mężczyźni. O tym, kim dziś są, czego świat i kobiety od nich ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ oczekują i jak sprostać nowej, bardziej równościowej rzeczywistości. Właśnie dlatego raport nosi tytuł „męstwo", a nie „męskość".

– Chcieliśmy zachęcić mężczyzn do odwagi w definiowaniu samych siebie, bo dziś nie ma jednego słusznego wzorca bycia mężczyzną – podsumowuje Smoczyński. – Rozmowy prowadzone w ramach projektu tylko nas w tym utwierdziły, bo zobaczyliśmy, jak wiele może być sposobów przeżywania i rozumienia męskości.

Okres przejściowy

Proces emancypacji kobiet przyniósł społeczne zmiany, które zachwiały znanym dotychczas porządkiem opartym na tradycyjnym podziale ról oraz społecznych oczekiwaniach wobec obu płci. Wraz z nimi ewoluowały także wyobrażenia o tym, czym właściwie jest męskość i jaka powinna być rola mężczyzny. To zaś, w praktyce, dla wielu mężczyzn oznacza konieczność ponownego zdefiniowania samego siebie – zarówno w relacjach, jak i w życiu rodzinnym czy zawodowym.

Prof. Natasza Kosakowska-Berezecka, psycholożka społeczna i kierowniczka Zakładu Psychologii Międzykulturowej i Psychologii Rodzaju na Uniwersytecie Gdańskim, specjalizująca się w badaniach nad równością płci, zwraca uwagę, że skończyły się czasy gotowych odpowiedzi na pytanie o to, jaki powinien być mężczyzna. Dla jednych oznacza to większą wolność i możliwość życia poza sztywnymi wzorcami, dla innych – niepewność i lęk przed utratą dotychczasowej pozycji.

> Jedynie 7 proc. mężczyzn w Polsce ma największe oparcie w męskich przyjaciołach. 65 proc. chciałoby mieć z kim porozmawiać o swoich emocjach.

– Tradycyjne wzorce męskości przestały być aktualne i adekwatne, a nowe nie są jeszcze do końca znane, bo ich ukształtowanie się wymaga czasu. Nie można oczekiwać, że to zadzieje się w ramach jednego pokolenia – przekonuje psycholożka.

Badaczka zauważa także, że tego typu „okres przejściowy" często nie idzie w parze ze społecznym przyzwoleniem na poszukiwanie własnej roli i tożsamości, bo oczekiwania kierowane w stronę mężczyzn bywają sprzeczne. Z jednej strony panowie słyszą, że w dynamicznie zmieniającym się świecie powinni na nowo zdefiniować swoją męskość. Z drugiej zaś nie daje się im często prawa do tego, by mogli robić to we własnym tempie, bo w powszechnym wyobrażeniu mężczyzna nadal powinien od razu wiedzieć, czego chce od życia, powinien być niezależny, konkretny, odporny psychicznie, sprawczy i najlepiej omnipotentny.

Podobne napięcie widać w samych panach. Jak pokazuje raport „Męstwo", wielu z nich czuje poirytowanie oczekiwaniami społecznymi, które nakazują im tłumić emocje, nie okazywać słabości i utożsamiać męskość z nieustanną samowystarczalnością. Jednocześnie wciąż obawiają się, że większa otwartość emocjonalna może zostać wykorzystana przeciwko nim.

Nie jest to wyłącznie kwestia indywidualnych przekonań, ale braku wspólnoty doświadczeń. Jak tłumaczy psycholożka społeczna, przez lata wielu mężczyzn próbowało odnaleźć się w zmianie ról płciowych samotnie. – Ruchy feministyczne nie tylko walczyły o prawa kobiet, ale pozwoliły im stworzyć wspólnotę oraz język do opisywania własnych doświadczeń. Mężczyźni znacznie rzadziej mieli przestrzenie, w których mogli wspólnie zastanawiać się nad tym, co dla nich oznacza bycie mężczyzną – wyjaśnia prof. Kosakowska-Berezecka.

Właśnie dlatego, jak przekonuje badaczka, dziś tak ważne są miejsca, w których mężczyźni mogą we własnym towarzystwie, własnym językiem rozmawiać o swoich doświadczeniach i wątpliwościach. – Gdy takich przestrzeni brakuje, znacznie łatwiej wybrzmiewają radykalne głosy, np. z manosfery, oferujące proste odpowiedzi na trudne pytania. A to często prowadzi do radykalizacji postaw wobec kobiet i nasilenia wrogiego

REKLAMA



eprasa.pl 66b790add1

seksizmu wobec nich – podsumowuje badaczka.

Nie za blisko

Obraz grupy mężczyzn wspólnie spędzających czas przy piwie czy na meczu mocno utrwalił się w kulturze. Okazuje się jednak, że bliskie przyjaźnie między mężczyznami nie są w Polsce powszechne.

Z ogólnopolskiego sondażu wykonanego przez Instytut Badań Pollster na zlecenie Fundacji Nowej Wspólnoty, będącego uzupełnieniem projektu „Panowie, gadamy!" wynika, że jedynie 7 proc. mężczyzn w Polsce ma największe oparcie w męskich przyjaciołach, natomiast aż 47 proc. otrzymuje je ze strony żony lub partnerki. Z kolei opublikowany nieco wcześniej, bo w lipcu 2024 r., raport „Zrozumieć męskość. Rzeczywistość polskiego mężczyzny", wskazuje, że aż 65 proc. mężczyzn w Polsce chciałoby mieć z kim porozmawiać o swoich emocjach, a wśród grupy wiekowej 18-25 lat ten odsetek wzrasta nawet do 79 proc. Skąd więc ta sprzeczność?

Jak zauważa Jacek Masłowski, budowanie relacji opartych na zaufaniu z innymi mężczyznami jest z jednej strony jedną z największych męskich tęsknot, z drugiej zaś źródłem lęku. W wielu przypadkach, jak wyjaśnia psychoterapeuta, mają one swoje źródło w dzieciństwie, ponieważ większość współczesnych, dorosłych mieszkańców Polski – zarówno mężczyzn, jak i kobiet – wychowywana była w sfeminizowanych środowiskach: przez mamy, babcie, ciocie i nauczycielki. Dlatego też doświadczenie bliskiej relacji z kobietą jest dla wielu z nich czymś naturalnym. Zupełnie inaczej sprawy miały się z budowaniem zażyłej więzi z dorosłymi mężczyznami.

– Przez lata w życiu wielu chłopców brakowało nie tylko zaangażowanych ojców, ale w ogóle obecnych dorosłych mężczyzn. Wielu z nich nigdy nie doświadczyło więc tego, że bliska relacja z drugim mężczyzną może być bezpieczna, wspierająca i wzmacniająca – wyjaśnia psychoterapeuta. – Mało tego, część mężczyzn wyniosła z dzieciństwa doświadczenie dokładnie odwrotne: bo taka relacja wiązała się z lękiem, niezrozumieniem, zranieniem czy przemocą.

Masłowski zwraca równocześnie uwagę na kolejny hamulec w budowaniu męskich relacji: bliskość między chłopcami i mężczyznami wciąż bywa społecznie uznawana za „podejrzaną", a wrażliwość, otwartość i fizyczne gesty wsparcia nadal spotykają się z homofobicznymi przytykami i komentarzami.

Wielu panów nigdy nie doświadczyło tego, że bliska relacja z innym mężczyzną może być bezpieczna, wspierająca i wzmacniająca. Przeciwnie: taka relacja wiązała się z niezrozumieniem, zranieniem czy przemocą.

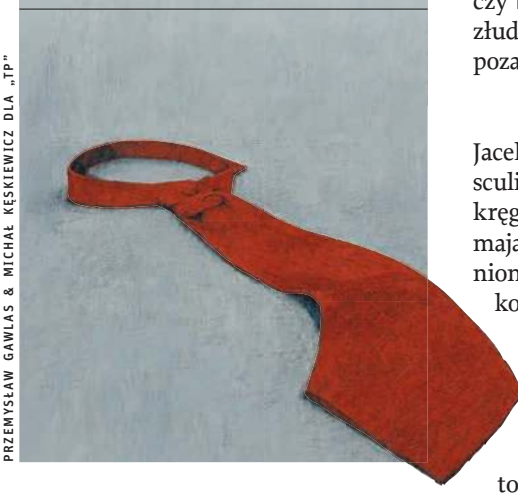

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Mam tak samo jak ty

Maciek na męskie kręgi chodzi regularnie od trzech lat. Spotkania jego grupy najczęściej odbywają się w spokojnej pracowni artystycznej w centrum miasta. Czasami, w letnie dni, przenoszą się do ogródka działkowego.

Bywa, że uczestnicy nie mogą przestać rozmawiać. Ale zdarza się także, że przez kilkanaście minut siedzą w ciszy.

– Na początku obawiałem się tego, co pomyślą o mnie inni mężczyźni, bo miałem poczucie, że moje problemy są sytuacją bez wyjścia, a ja sam jestem nieudacznikiem – wspomina Maciek. – Finalnie usłyszałem dziewięć historii i kiedy przyszła kolej na mnie, okazało się, że to, z czym przyszedłem, wcale nie jest tak trudne i wyjątkowe, jak mi się wydawało.

Prof. Kosakowska-Berezecka wyjaśnia, że doświadczenie, o którym opowiada Maciek, przez psychologię społeczną nazywane jest „pluralistyczną ignorancją". Bardzo wielu mężczyzn żyje dziś w przekonaniu, że tylko oni mają wątpliwości dotyczące tego, jak odnaleźć się we współczesnej roli mężczyzny. – Tymczasem, kiedy zaczynają ze sobą rozmawiać, okazuje się, że większość z nich zadaje sobie bardzo podobne pytania i mierzy się z podobnymi wyzwaniami – tłumaczy badaczka. – Rozmowa przełamuje złudzenie, że odpowiedzi mają wszyscy poza mną.

Jeden przy drugim

Jacek Masłowski, który w Fundacji Masculinum od lat współorganizuje męskie kręgi, zauważa, że męskie wspólnoty mają dla współczesnych facetów nieocenioną wartość, bo często pełnią one rolę kolektywnego ojca. – Dla wielu uczestników stają się namiastką obecności dorosłych mężczyzn, której zabrakło im w dzieciństwie – mówi.

Jego zdaniem, największą wartością męskich wspólnot jest to, że pozwalają one mężczyznom na bycie zauważonym i wysłuchanym. Bez ocen i komentarzy. – Inni mężczyźni są dla nich lustrem i partnerami do otwartej rozmowy, a to, jak nic innego, pomaga w odkryciu własnej wizji męskości, która nie bazuje na podręcznikowych definicjach, społecznych oczekiwaniach czy oklepanych narracjach – mówi psychoterapeuta.

Podkreśla on także fakt, że męskie wspólnoty są dla nich okazją do zbudowania własnej, autonomicznej przestrzeń do rozmowy. Nie chodzi jednak o kontrę do kobiet, lecz o to, że w takim gronie mężczyźni mogą być w pełni sobą.

– Pewnych problemów czy doświadczeń, jeśli nie jest się facetem, po prostu nie da się w pełni zrozumieć i zaakceptować – dodaje Masłowski.

W kontekście relacji Maciek zwraca uwagę na jeszcze jedną rzecz. Że bliskie męskie więzi mogą naprawdę wspierać i pomagać, ale tylko pod jednym warunkiem: trzeba opuścić gardę i poczuć się ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ w nich bezpiecznie. – Bez tego zostajemy na poziomie rozmów o pracy, samochodach. Nadal wszystko będziemy obracać w żart i poklepywać się po plecach – podsumowuje.

Twój ból jest lepszy niż mój

W przestrzeni publicznej rozmowa o męskich doświadczeniach, problemach czy wyzwaniach często nie jest neutralna w odbiorze, lecz szybko zostaje wpisana w logikę wojny płci. Z jednej strony pojawia się przekonanie, że każda dyskusja o problemach mężczyzn odbywa się kosztem kobiet, z drugiej – że pod hasłem równości kryje się odbieranie mężczyznom miejsca i znaczenia.

– Coraz częściej tworzymy narrację, która każe nam się siebie nawzajem bać, która każe patrzeć na siebie wilkiem, która tworzy nieprawdziwy obraz relacji damsko-męskich – zauważa Jacek Masłowski. – Tymczasem nie jest to grą o sumie zerowej, w której ktoś musi przegrać, żeby ktoś inny mógł wygrać.

W efekcie debata coraz częściej sprowadza się do porównywania krzywd i niekończącego się licytowania się o to, kto ma gorzej. Psychologia społeczna opisuje to zjawisko jako *collective victimhood*, czyli kolektywne poczucie bycia ofiarą.

– To narracja w rodzaju „kto bardziej cierpi" – mówi prof. Kosakowska-Berezecka. – Kobiety idą szybciej na emeryturę, ale mają mniej środków do życia, w przypadku konfliktu zbrojnego to mężczyźni idą na wojnę i nie mogą opuścić kraju. Taka wyliczanka może nie mieć końca. Pozwala to zauważyć, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni mają wspólnego wroga: system społeczny zbudowany na stereotypach płciowych, który uderza i w jednych, i w drugich.

> Trzeba opuścić gardę i poczuć się bezpiecznie. Bez tego nadal wszystko będziemy obracać w żart i poklepywać się po plecach.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Podobne podejście wybrzmiewa w jednym z wniosków projektu „Panowie, gadamy!". Wielu uczestników przyznało, że równość i emancypacja budzą w nich nieufność oraz deklarowało, że chce wspierać aspiracje partnerek, ale nie kosztem własnej pewności siebie. Zdaniem psycholożki społecznej problem nie leży w samej idei równości, lecz w sposobie, w jaki bywa ona komunikowana.

– Dopóki język równości będzie kojarzył się wyłącznie z rozmową o doświadczeniach kobiet, dopóty dla części mężczyzn będzie to temat, który ich nie tylko nie dotyczy, ale także coś im odbiera – wyjaśnia badaczka i dodaje, że siłą rzeczy będzie to budziło ich niechęć i opór wobec zmian. To już się powoli dzieje. Ów opór widać chociażby w raporcie IPSOS-u pokazującym, że przedstawiciele pokolenia Z mają bardziej tradycyjne poglądy na role płciowe niż ich rodzice.

Jak podkreśla prof. Kosakowska-Berezecka, równość płci nie leży wyłącznie w interesie jednej grupy, a jej rozwój wymaga wspólnego zaangażowania kobiet i mężczyzn. Potrzebna jest więc przestrzeń do rozmowy o równości, w której jest miejsce dla obu płci.

Zwłaszcza że badania i raporty jasno wskazują, że w krajach bardziej równościowych ludzie żyją dłużej i cieszą się lepszym zdrowiem. Dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Jacek Napora, Anna Pietrzykowska, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 66b790add1

TYGODNIK POWSZECHNY

Droga od powojennej tymczasowości do dojrzałego zakorzenienia.

Poznaj niezwykłe losy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych.

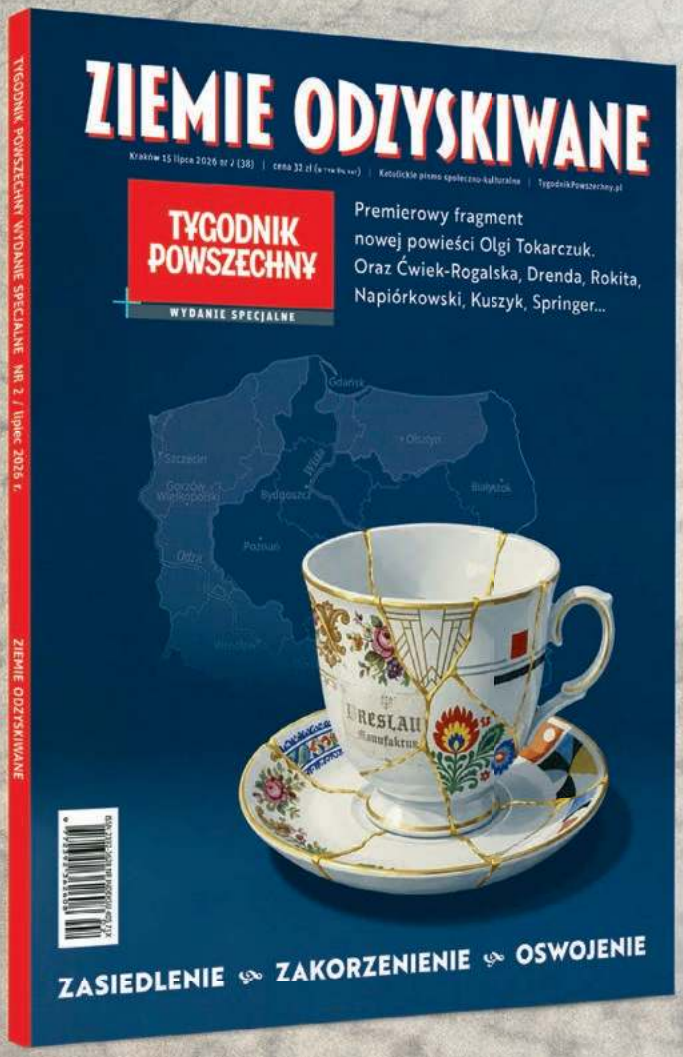

TYLKO U NAS!
Przedpremierowy fragment nowej powieści Olgi Tokarczuk. Sprawdź, na co czeka cały literacki świat!

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 66b790add1



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

NASTĘPNY PRZYSTANEK: FAKE NEWS

Incydent w autobusie, kontrowersyjna wypowiedź polityka, a nawet mecz piłki nożnej. Każdy pretekst może zostać wykorzystany do szerzenia dezinformacji. Kłamstwa z internetu mają potężne przełożenie na realny świat.

MATEUSZ CHOLEWA

„Główniary wyrosły na naszych pieniądzach", „to się skończy niedługo, będziecie wyp... stąd na swoją Ukrainę", „nie pyskuj, bo nie jesteś k...wa stąd". To tylko kilka cytatów z nagrania, które niedawno zelektryzowało polską opinię publiczną. Mężczyzna, który wulgarnie wyzywał kilkunastoletnie dziewczynki jadące z nim autobusem, najpierw został zatrzymany przez policję, a następnie prokuratura postawiła mu zarzuty publicznego znieważania z powodu przynależności narodowej.

Wydawać się mogło, że trwające niecałą minutę wideo rozpocznie w naszym kraju

eprasa.pl 66b790add1

dyskusję, która doprowadzi do zmniejszenia napięcia, jakie od kilku miesięcy jest pomiędzy Polską a Ukrainą. W rzeczywistości stało się kolejnym pretekstem do eskalacji. W mediach społecznościowych szybko pojawiły się pierwsze „przecieki", wedle których to młodociane Ukrainki od początku zaplanowały całą akcję.

„Pani Teresa" w napisanym przez siebie komentarzu powołała się na „redaktorów z Bielska", posiadających rzekomo informacje o tym, że dziewczynki wcześniej opluwały i obrażały mężczyznę. Internet to podchwycił, choć oczywiście wszystko okazało się kłamstwem.

To, jak wiele fałszywych informacji pojawiło się wokół tego incydentu, może szokować. Jednak kiedy przyjrzymy się problemowi dezinformacji w Polsce, okaże się, że każda, nawet najmniejsza okazja może posłużyć do tworzenia fake newsów. Wystarczy zobaczyć liczbę komentarzy w stylu: „gdzie jest wasze globalne ocieplenie?", kiedy tylko za oknem spadnie śnieg.

20 tysięcy procent

Kilkadziesiąt tysięcy osób przekraczało dziennie polsko-ukraińską granicę po tym, jak Rosja dokonała pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Jednym z najważniejszych punktów, z których uchodźcy wyruszali dalej w podróż, był dworzec w Przemyślu. Nagły napływ dużej liczby przestraszonych ludzi stał się nie tylko wyzwaniem dla służb i wolontariuszy, starających się pomóc ofiarom rosyjskiej agresji, ale też doskonałym podglebiem dla tych, którzy chcieli te wyrazy solidarności zdusić w zarodku. W tamtym okresie w Stowarzyszeniu Demagog monitorowaliśmy, co na temat podkarpackiego miasta pisze się w social mediach. Na myśl, że ktoś mógł czerpać wiedzę tylko z nich, włosy nam się jeżyły na głowie.

W sieci nie brakowało doniesień o tym, że większość ukraińskich uciekinierów to tak naprawdę Hindusi, a po lokalnych grupach kibicowskich krążyły opowieści o ataku nożownika, którego ofiarą padła młoda kobieta. Napastnik miał być jedną z osób szukających schronienia przed wojną.

Skalę zjawiska na bieżąco monitorował Instytut Badań Internetu i Mediów Społecznościowych, który w szczytowym momencie odnotował wzrost przypadków dezinformacji w sieci o ponad 20 tysięcy procent! Wszystkie te historie o przybyszach z Indii chowających się pod ukraińską flagą, którzy na dodatek dźgają mieszkanki Przemyśla, upadły po oświadczeniach wydanych przez MSWiA i policję (która nie otrzymała żadnego zgłoszenia), a także szpitale, w których nie pojawiła się żadna pacjentka z podobną raną.

Wydarzenia z marca 2022 r., które na szczęście nie zastopowały naszego entuzjazmu dla pomocy uchodźcom, były tylko początkiem powtarzającego się cyklu: jeśli dzieje się coś związanego z Ukrainą – od razu pojawia się dezinformacja.

Przeskoczmy o parę lat do przodu. W Ukrainie trwają zmasowane ataki Rosji na infrastrukturę energetyczną, co powoduje, że kolejna zima może okazać się tragiczna. W ramach wsparcia organizowane są w Polsce zbiórki na agregaty, które mają zostać wysłane m.in. do Kijowa, by wspomóc mieszkańców w tym trudnym czasie. Nie trzeba było długo czekać, aż zrzutki staną się tematem dla twórców fake newsów.

Zgodnie z różnymi wpisami w social mediach przekazany w darze sprzęt ma w krótkim czasie wylądować na ukraińskich serwisach aukcyjnych. Mało kto zwraca uwagę, że modele agregatów z licytacji nie są tym samym sprzętem, który trafił do stolicy Ukrainy w ramach akcji. Po co jednak zaprzątać sobie głowę takimi detalami, skoro można po raz kolejny wytknąć Ukraińcom, że są skorumpowani i niewdzięczni za udzielaną im pomoc.

Banderowcy na boisku

To motyw często powtarzający się w antyukraińskiej propagandzie, o czym piszę też w swojej książce „Fake Off. Wyłącz dezinformację ze swojego życia". Podobnych przykładów jest zresztą znacznie więcej. Swego czasu popularność zdobyło nagranie, na którym Ukrainka otrzymała paczkę pomocową od Caritasu, po czym skrytykowała jej zawartość mówiąc, że niektórych konserw nie dałaby nawet swojemu psu. Okazało się, że ktoś celowo przerobił oryginalne wideo i dodał do niego inny głos. W ten sposób zastąpił prawdziwe wyrazy wdzięczności, wygłaszane przez kobietę na pierwotnym filmie.

Pretekstem do tworzenia fake newsów o Ukraińcach nie muszą być jednak wielkie wydarzenia czy akcje pomocowe. Nawet mecz piłki nożnej może stać się okazją, by wywołać kolejne napięcia. Wystarczy tuż po spotkaniu reprezentacji Polski i Ukrainy wrzucić przerobioną fotografię piłkarzy gości, aby wyglądało na to, że wyszli na murawę w czerwono-czarnych barwach UPA. Ktoś nieoglądający meczu mógłby uznać to za bezczelność ze strony Ukraińców, ale tak naprawdę tupetem wykazał się tylko autor sfałszowanego zdjęcia, który wprost napisał: „To nie fejk tylko odpowiednia ilustracja".

Nie trzeba nawet okazji bezpośrednio związanej z Ukraińcami, aby tworzyć fałszywe historie na ich temat. Po tragicznym wypadku, którego ofiarą padł poseł Łukasz Litewka, na Facebooku ktoś rozpowszechniał teorię spiskową, wedle której samochód, który potrącił znanego z działalności społecznej parlamentarzystę, miał ukraińskie numery rejestracyjne.

Ukraińcy wzięci zostali na celownik także po szokującej zbrodni w Jeleniej Górze, gdzie uczennica jednej z podstawówek zamordowała inne dziecko z tej samej szkoły. Bez żadnych przesłanek, ale za to błyskawicznie, zaczęły kiełkować wpisy sugerujące, że napastniczka pochodziła z Ukrainy. Nawet szybkie dementi lokalnej policji potwierdzające, że nożowniczka miała polskie obywatelstwo, nie wygasiło komentarzy w stylu: „a jakiego była pochodzenia?".

To nie dzieje się w próżni

Jak doszło do tego, że właściwie każdy temat może stać się pretekstem do tworzenia fake newsów? Adam Majchrzak, badacz dezinformacji i dydaktyk Uniwersytetu Gdańskiego, mówi mi wprost: „dezinformacja nie działa w próżni".

Twórcom fałszywych przekazów dużo łatwiej jest wykorzystać do swoich celów toczącą się już debatę, niż od początku budować zainteresowanie jakąś kwestią. – Tematy takie jak incydent z Bielska-Białej czy np. dyskusja o rzezi wołyńskiej, wywołują silne emocje, a więc otwierają „okno czasowe" dla działań dezinformatorów – tłumaczy Adam Majchrzak. – W mediach i wśród twórców internetowych potrzebna jest dziś wielka uwaga, aby takiego okna nie otworzyć zbyt szeroko, aby nie zrobić większego przewiewu dla dezinformacji. Niestety widać, że ten przewiew to okazja nie tylko dla propagandystów, ale też dla tych, którzy ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ na dezinformacji i emocjach chcą się wybić. Bawią się więc w uprawianie teorii spiskowych i szukają winnych tam, gdzie ich nie ma.

Kiedy jakiś temat chwyci zainteresowanie, to zdaniem eksperta zaczyna działać jak kula śnieżna: nabieramy się na kłamstwa i pogłoski, po czym powielamy przekaz, nieświadomie uczestnicząc w dezinformacji i wpadając w tory interpretacji zgodnych z założeniami manipulantów. Pozostaje pytanie, kto sprawia, że przykładamy rękę do tego, aby z małej śnieżki zrobiła się olbrzymia kula kłamstw?

Czemu lub komu zaufalibyśmy bardziej, gdybyśmy musieli podjąć decyzję: suchym statystykom czy opinii osoby, którą znamy? Odpowiedź nie jest prosta. Przygotowując w swojej książce rozdział o technikach dezinformacji, znalazłem badanie dotyczące efektywności tzw. dowodu anegdotycznego. Okazało się, że nawet starcie z twardymi danymi nie miało szans w konfrontacji z ludzkim doświadczeniem, także tym zmyślonym.

Jak szczują politycy

Obserwacje z eksperymentów naukowych znalazły swoje przełożenie na rzeczywistość np. we wszystkich historiach o sąsiadkach, których dzieci były rzekomo wyrzucane ze szpitali, aby zrobić miejsca dla ukraińskich dzieci. Sprawa stała się na tyle poważna, że musiało reagować Polskie Towarzystwo Onkologii i Hematologii Dziecięcej zapewniając, że żaden z małych pacjentów z Polski nie został pozbawiony opieki.

Nadal jednak nie wyciągamy z tych przypadków wniosków, czego dowodem jest incydent z Bielska-Białej i zaufanie dane „pani Teresie", która usłyszała o alternatywnej wersji wydarzeń od bliżej nieokreślonych „redaktorów z Bielska", ale nigdy nie przedstawiła cienia dowodu. Jej wersję wydarzeń rozbiło oświadczenie dyrekcji MZK w Bielsku-Białej, która po analizach z kamer stwierdziła, że o żadnym prowokacyjnym zachowaniu dziewczynek nie może być mowy. A jednak wielu internautów to nie przekonało.

Za fałszywymi informacjami stać mogą nie tylko anonimowe konta, ale również rozpoznawalne twarze. Alternatywną wersję wydarzeń z Bielska-Białej promował np. na platformie X Dariusz Matecki. Poseł PiS w odpowiedzi na brak możliwości ujrzenia nagrania z autobusu napisał, że wszystko nadal pozostaje w sferze domysłów i wciąż możliwe jest, iż to dziewczynka opluwała i prowokowała agresora do działania.

> Kiedy jakiś temat chwyci zainteresowanie, zaczyna działać jak kula śnieżna: nabieramy się na kłamstwa i pogłoski, po czym powielamy przekaz, **nieświadomie uczestnicząc w dezinformacji.**

Z kolei jego partyjny kolega, Oskar Szafarowicz, także na platformie X wymienił listę przestępstw, gdzie sprawcami byli Ukraińcy, a ofiarami Polacy, pisząc, że o tych sprawach media milczą. Jak się potem okazało, o każdym z tych przypadków można było przeczytać w lokalnych źródłach lub na ogólnopolskich portalach.

Dlaczego politycy – oprócz oczywistej chęci dojścia do władzy przy użyciu każdej metody – sięgają po fałszywe informacje? Zdaniem prof. Jarosława Flisa, socjologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wiąże się to z naszą pierwotną potrzebą swobodnej ekspresji niezadowolenia.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 66b790ad01

– Wykrzyczenie swojego strachu i złości jest jednym z pierwszych komunikatów, który wysyłamy światu, kiedy się na nim pojawiamy. Wraz z rozwojem powinno to zanikać, bo niektóre sytuacje są bardziej złożone i narzekanie na zły stan rzeczy niczego nie załatwia. Ale niektórzy nie są w stanie zrobić tego kroku naprzód – uważa prof. Flis.

Na tym ciągłym niezadowoleniu oraz napięciach związanych z emigracją korzystać mogą właśnie politycy. Niektórzy z nich – zdaniem prof. Flisa – robią to dlatego, że nie potrafią się komunikować w inny sposób, niż stale eskalując napięcie. Inni zaś czynią to w ramach cynicznej kalkulacji, którą zdaniem badacza można opisać słynnymi słowami Jacka Kurskiego: „ciemny lud to kupi".

Jednocześnie ekspert zwraca uwagę, że podobne działania mogą przynieść skutek odwrotny do zamierzonego. Zasób negatywnych emocji kiedyś może się wyczerpać, jak miało to miejsce np. w czasie wyborów parlamentarnych w 2023 r., kiedy to próby demobilizacji wyborców ówczesnej opozycji skończyły się rekordową frekwencją w historii III RP.

Cyfrowy gniew, realne skutki

Fake newsy, do których się odnoszę, żyją przede wszystkim w internecie. Można by zatem uznać, że wszystko, co złe, zostaje na Facebooku, X-ie czy TikToku. Tak jednak nie jest, o czym mówi mi Tomasz Ficoń z magistratu w Bielsku-Białej.

Incydent w autobusie wpłynął na lokalną społeczność do tego stopnia, że trzeba było wyłączyć komentarze pod tą sprawą na miejskich profilach w mediach społecznościowych. Do urzędu docierało także sporo maili i telefonów z całej Polski, wyrażających wsparcie dla agresora i krytykujących prezydenta miasta za to, że publicznie przeprosił znieważone dziewczynki.

Ficoń z jednej strony mówi, że nikt rozsądnie myślący nie uwierzy, iż drobna 11-latka jest w stanie sprowokować dorosłego mężczyznę do wulgarnego wybuchu. Jednocześnie stwierdza: – Niestety, jest wiele osób, które taką narrację bezkrytycznie przyjmują. Co więcej, w debacie publicznej ta narracja w tej chwili przeważa. Będzie to z pewnością wpływać na pogłębianie się antyukraińskich nastrojów wśród lokalnej społeczności. Na podstawie komentarzy można też wy-

snuć wniosek, że ukraińscy uchodźcy odczuwają niepokój i boją się eskalacji tego typu zdarzeń.

Słowa urzędnika bielskiego magistratu znajdują poparcie w danych opublikowanych przez Komendę Główną Policji. W pierwszym półroczu 2026 r. obywatele Ukrainy mieszkający w Polsce złożyli 180 zawiadomień o przestępstwach z nienawiści. To wzrost o ponad 30 proc. rok do roku. Jednak zdaniem socjologa dr. Jacka Kucharczyka dane te mogą być niedoszacowane. W jego opinii, wyrażonej na łamach „Rzeczpospolitej", część ofiar nie chce złożyć zawiadomień o przestępstwie, ponieważ się boi.

Potwierdza to facebookowy wpis Michała Strelnikova, ukraińskiego aktywisty z Bielska-Białej, komentującego zdarzenie w autobusie: „Po tym, jak moja córka, która ma 13 lat, obejrzała ten film, przyznała się nam, że zarówno ona, jak i jej koleżanki znalazły się w podobnej sytuacji, ale nie opowiadała nam o tym, żeby nas nie zasmucać".

Po pierwsze źródła

Co można zatem zrobić, aby nie stać się częścią „ciemnego ludu", który chętnie przykłada rękę do śnieżnej kuli fake newsów? Po kilku latach pracy w Demagogu, miejscu, które zajmuje się zwalczaniem dezinformacji, skupiłbym się na pytaniu: co sprawia, że wierzę w daną informację?

Jeżeli odpowiedź brzmi: „bo pasuje do moich poglądów", to znaczy, że warto zrobić coś więcej. Na przykład sprawdzić, kto jest źródłem danej informacji. Wtedy może się okazać, że za przerobioną fotografią ukraińskiej nastolatki stoi np. człowiek, który przedstawia się jako prezes Stowarzyszenia Polsko-Rosyjskiego Pojednania i zupełnym „przypadkiem" w przeszłości sponsorował samochody dla rosyjskiego wojska. Zorientowanie się, jakie intencje może mieć źródło, z którego czerpiemy informacje, może być jednym z najlepszych sposobów na wyłączenie fake newsów z naszego życia.

© MATEUSZ CHOLEWA

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego serwisu Demagog i autorem wydanej przez Znak książki „Fake Off. Wyłącz dezinformację ze swojego życia".



TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rodzinna rzemieślnicza piekarnia z piecami na węgiel w Lutomiersku, październik 2022 r.

Emisją po kieszeni

SZYMON MAJEWSKI

KLIMAT | W dyskusji o systemie ETS2 ogniskują się największe problemy unijnej polityki klimatycznej. Przepisy wymyślone, by służyć niezbędnej walce o powstrzymanie wzrostu temperatur, wymagają najwięcej od tych, którzy i tak nie mają wiele.

Rok 2028, zbliża się sezon grzewczy. Gospodarstwo domowe gdzieś w województwie warmińsko-mazurskim, z dwójką małżonków zarabiających ok. regionalnej mediany zarobków. Chcą zaopatrzyć się w węgiel, jednak surowiec znacznie podrożał. Za tonę muszą zapłacić o 470 zł więcej niż raptem dwa lata temu. W górę poszły też ceny paliw, szczególnie diesla. Tymczasem samochodem trzeba przecież codziennie dojeżdżać do pracy; mówimy o regionie uznanym w oficjalnym raporcie resortu infrastruktury za jeden z najbardziej dotkniętych wykluczeniem komunikacyjnym.

Powodów do zadowolenia nie mają też osoby ogrzewające się gazem, tankujące benzynę albo LPG. Diagnoza znawców tematu jest jednoznaczna. System ETS2, czyli rozszerzenie obowiązującego dziś w energetyce i przemyśle unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji dwutlenku węgla na budynki i transport (a także mniejsze zakłady przemysłowe), podniesie koszty życia Polek i Polaków, i to według posępnie przewidywalnego klucza.

Tytułem wyjaśnienia – ETS (z ang. *Emissions Trading System*), czyli po prostu System Handlu Emisjami, to od ponad dwudziestu lat główne unijne narzędzie ograniczania emisji CO_2. Zgodnie z zasadą „zanieczyszczający płaci", emitenci, czyli przede wszystkim duże zakłady energetyczne i przemysłowe, muszą nabywać uprawnienia na aukcjach. Im bardziej emisyjny jest dany zakład, tym musi płacić więcej, co w państwach takich jak Polska, gdzie większość energii elektrycznej nadal wytwarza się z węgla, może podnosić jej cenę. ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ Przyjęty trzy lata temu i wchodzący w życie w 2028 r. ETS2 nakłada obowiązek nabywania uprawnień także na sprzedawców paliw do ogrzewania w budynkach i paliw transportowych. Zmuszeni do uiszczania opłat, przerzucą zapewne ich koszty na odbiorców.

Kto zapłaci najwięcej

W raporcie z marca eksperci Instytutu Reform (think thanku zajmującego się transformacją energetyczną) piszą tak: „najbardziej narażone na wzrost kosztów ogrzewania są gospodarstwa domowe z dolnej połowy rozkładu dochodów w kraju korzystające z węgla" (z tego samego raportu pochodzi przywołana na początku szacowana kwota wzrostu cen surowca). Do szczególnie wrażliwych grup zaliczają emerytów i rencistów żyjących w zbyt dużych albo nieocieplonych domach oraz mieszkańców wsi i małych miejscowości, pozbawionych sieci ciepłowniczych.

Z kolei w segmencie transportu wzrost cen najmocniej uderzy w najmniej zarabiających właścicieli samochodów na olej napędowy, szczególnie tych zmuszonych do częstych i długich kursów. Innymi słowy – ETS2, choć rykoszetem oberwie nim też klasa średnia, dotknie przede wszystkim najsłabszych. To tak, jakby nowe przepisy pochodziły z jakiegoś antyporadnika prowadzenia polityki klimatycznej albo eurosceptycznej satyry na brukselskie elity, które utrudniają życie zwykłym ludziom.

– Nowe opłaty będą szczególnie uciążliwe dla osób mniej zamożnych, które w dodatku nie mają jak sięgnąć po alternatywy – uważa Marcin Korolec, prezes Instytutu Zrównoważonej Gospodarki, a w latach 2011-2013 minister środowiska. – Wymiana samochodu spalinowego na elektryczny albo pieca węglowego na pompę ciepła pozostanie dostępna tylko dla zamożniejszych obywateli. Zadziwiające jest, że takie prawo firmował polityk mający korzenie w partii socjalistycznej i mówiący o swojej społecznej wrażliwości, czyli Frans Timmermans, odpowiedzialny w poprzedniej kadencji Komisji Europejskiej za Zielony Ład.

Używając języka wojskowego, można powiedzieć, że przy projektowaniu ETS2 Unia postawiła na „deeskalację przez eskalację". Zanim Europejczycy odczują długofalowe korzyści w postaci lepiej ocieplonych budynków, lepszej jakości powietrza, rozwiniętego transportu publicznego czy wreszcie ograniczenia importu paliw kopalnych i redukcji emisji ocieplających klimat gazów cieplarnianych, będą musieli sięgnąć głębiej do swoich kieszeni. Co wtedy?

Społeczny opór nie dotyczy wyłącznie Polski, choć ze względu na najwyższy udział węgla w ogrzewnictwie **skutki wejścia w życie systemu ETS$_2$ będą u nas wyjątkowo dotkliwe.**

Gdzie jest plan

Teoretycznie Bruksela nie pozostawia ludzi bez pomocy. W odnalezieniu się w nowych realiach ma pomóc tzw. Społeczny Fundusz Klimatyczny, czyli instrument, z którego do 2032 r. będzie można finansować inwestycje w zeroemisyjne ogrzewanie i transport, a poza tym wprowadzić osłony dla grup najbardziej dotkniętych wzrostem kosztów życia. Polska ma być największym beneficjentem Funduszu, otrzymując 17,6 proc. z przewidzianych 65 mld euro. I choć w retoryce takich polityków jak wiceminister funduszy Jan Szyszko Fundusz bywa porównywany do KPO, nasz rząd dalej nie przedstawił w Brukseli dokumentu, który jest warunkiem otrzymania środków: Planu społeczno-klimatycznego, opisującego pomysły na zagospodarowanie pieniędzy.

Nie jesteśmy w tym wyjątkiem. Termin na złożenie planów w Komisji Europejskiej minął w czerwcu ubiegłego roku, jednak do tej pory zrobiło to ledwie sześć państw. – Komisja zaakceptowała dotąd tylko plany Szwecji i Litwy, ale kilkanaście rządów toczy negocjacje jeszcze przed oficjalnym ich przedstawieniem. Opracowanie takiego dokumentu to duży biurokratyczno-administracyjny wysiłek, w którym trzeba „zamodelować" szacowane efekty, na co nakładają się jeszcze spory polityczne i kompetencyjne między różnymi instytucjami – tłumaczy Michał Wojtyło, starszy analityk ds. polityk publicznych w Instytucie Reform i współautor cytowanego wcześniej raportu. Podaje przy tym przykład Litwy, która założyła, że do 2032 r. liczba gospodarstw domowych szczególnie podatnych na ubóstwo energetyczne zmniejszy się o 42 tys. – Takich rzeczy nie da się szybko policzyć – zapewnia ekspert.

W Polsce projekt Planu społeczno-klimatycznego przedstawiło na początku lata ubiegłego roku Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej. Dokument przeszedł konsultacje, po czym zapadła cisza. – Na pewno kontrowersje wokół ETS2 mu nie pomagają – uważa Wojtyło przypominając, że Polska aktywnie zabiega o przesunięcie wejścia systemu w życie na rok 2030, albo o jego całkowite odwołanie; do tej pory udało się osiągnąć przesunięcie z roku 2027 na 2028.

Zaprojektowany plan zakłada m.in. wsparcie wymiany źródeł ciepła w domach, rozwój budownictwa socjalnego i komunalnego czy poprawę efektywności energetycznej budynków, a więc ich termomodernizację. Społeczny Fundusz Klimatyczny ma też finansować bony energetyczne dla najwrażliwszych odbiorców. Według wielu ekspertów słabością dokumentu jest za to komponent transportowy.

Prosimy o autobus

– Plan koncentruje się na kolei, której rozwój jest oczywiście potrzebny, ale dla walki z ubóstwem i wykluczeniem transportowym największe znaczenie powinien mieć rozwój połączeń autobusowych – mówi Michał Wojtyło.

Podobne wnioski widać w analizie Aleksandra Szałańskiego z Instytutu Zrównoważonej Gospodarki. – Większość gmin dotkniętych ubóstwem transportowym znajduje się daleko poza siecią kolejową, a to dodatkowo wzmacnia potrzebę inwestycji w transport drogowy – argumentuje Szałański. Przypomina przy tym, że aż 26 proc. sołectw w Polsce nie ma dostępu do żadnych form transportu publicznego. Co więcej, same inwestycje we flotę autobusową też nie wystarczą, jeżeli gminy nie będą miały obowiązku oraz środków na utrzymywanie linii. Plan społeczno-klimatyczny milczy na powyższy temat.

Na tym problemy się nie kończą. Nie dość, że Społeczny Fundusz Klimatyczny nie zaspokoi wszystkich potrzeb związanych z wprowadzeniem ETS2, to jeszcze

eprasa.pl 66b790add1



KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zrewitalizowane połączenie kolejowe na Dolnym Śląsku. Karpacz, 13 czerwca 2025 r.

wymaga wkładu własnego Polski, na co nieprzychylnie patrzy Ministerstwo Finansów. Autorzy raportu Instytutu Reform widzą na szczęście światełko w tunelu: w wykorzystaniu dochodów ze sprzedaży na aukcjach uprawnień do emisji.

Warto zaznaczyć, że tak jak w przypadku działającego od wielu lat „klasycznego" ETS, państwo będzie zarabiać na systemie. Eksperci szacują, że w ciągu najbliższych sześciu lat do budżetu trafi od sprzedawców paliw do 76 mld zł. Finansowanie termomodernizacji domów, doradztwa energetycznego, budowy nowych mieszkań czy rozwoju połączeń i przystanków autobusowych powinno więc być nieco łatwiejsze.

Trudno zarazem przyznać, iż Polska dobrze wykorzystuje wynegocjowany roczny zapas czasu. Chyba najbardziej wymownym przykładem jest fiasko programu Czyste Powietrze, który od niemal dwóch lat znajduje się w permanentnym kryzysie. Ogłoszone w lipcu wyniki ankiety, jaką wśród prawie 1500 gmin przeprowadził Polski Alarm Smogowy, pokazują, że w 82 proc. z nich dostrzega się spadek zainteresowania programem. Nie pomagają mu niejasne zasady czy głośne historie osób poszkodowanych: najpierw przez nieuczciwych wykonawców (pobierających zaliczki od beneficjentów, po czym znikających lub montujących wadliwy sprzęt czy też instalujących zupełnie niepasujące w danym miejscu rozwiązania, jak pompa ciepła w nieocieplonym domu), a potem przez domagające się zwrotu kosztów organy państwa.

Tymczasem dla milionów Polek i Polaków nadal głównym źródłem ciepła pozostają piece na węgiel, który jako najbardziej emisyjne paliwo będzie obciążony najwyższymi opłatami. I tak pozostanie, bo tempo wymiany kotłów wyraźnie zwolniło.

Czy da się inaczej?

Dyplomatyczne ruchy wokół ETS2 zaowocowały dodatkowym rokiem na przygotowania (start systemu w 2028 r. zamiast pierwotnego 2027 r. to efekt ustaleń Rady UE i europarlamentu z jesieni ubiegłego roku), ale też zmianami, które mają sprowadzać się do ograniczenia wzrostu cen. W czerwcu cypryjska prezydencja Rady oraz europosłowie porozumieli się wstępnie co do przedłużenia tzw. rezerwy stabilności rynkowej po 2030 r. W uproszczeniu, chodzi o zwiększanie podaży uprawnień do emisji, tak żeby nie drożały na aukcjach zbyt szybko. Mechanizm był przewidziany już wcześniej, ale poza wydłużeniem go na następną dekadę, obecne ustalenia zakładają, że „dosypanych" zostanie więcej uprawnień.

Czy księgowe sztuczki, łączące administracyjną arbitralność ze zdaniem się na rynek (ostatecznie to nadal on będzie decydował o cenach na aukcjach, które potem przełożą się na koszty transportu i ogrzewania), przyniosą jakieś efekty?

– Modele zachodnich analityków pokazują, że większa liczba uprawnień do emisji może znacznie obniżyć ich cenę. Wzrost cen paliw będzie więc znacząco niższy – mówi Michał Wojtyło. W dyrektywie zaszyty jest mechanizm, wedle którego jeśli cena przekroczy 45 euro za tonę, na rynek trafi 40 mln nowych uprawnień, czyli wzrost cen zostanie spowolniony, ale nie zatrzymany. Podobnie będzie z naszymi wydatkami. Według szacunków Roberta Jeszke z Instytutu Ochrony Środowiska – Państwowego Instytutu Badawczego, 45 euro za uprawnienie to potencjalnie ok. 460 zł droższa tona węgla dla obywatela, 0,40 zł więcej za metr sześcienny gazu i ok. 0,50 zł więcej za litr paliw silnikowych.

Z punktu widzenia celów ETS2, czyli ograniczania emisji dwutlenku węgla, wolniejszy wzrost cen w dalszym ciągu ma sens, bo impulsy do odchodzenia od paliw kopalnych zostaną zachowane. Jako ponure prawdopodobieństwo powraca jednak scenariusz Marcina Korolca. ETS2 okazuje się w nim przeciwskuteczny. – Dodatkowe opłaty, które pogorszą status materialny niezamożnych gospodarstw domowych, nie spowodują oczekiwanego rezultatu, czyli przejścia np. z kotła węglowego na pompę ciepła. ETS2 może więc być w pewnym sensie szkodliwy – mówi szef Instytutu Zrównoważonej Gospodarki.

Wskazuje zarazem na alternatywę w postaci przepisów o samochodach spalinowych. – Prawdziwym mechanizmem zmiany jest rozporządzenie określające limity emisji CO_2 z silników samochodowych, zmuszających producentów do oferowania na rynku aut o coraz mniejszych emisjach. Piękno tego rozporządzenia polega na tym, że to od producentów samochodów zależy, czy zaoferują pojazdy, które będą w odpowiedniej cenie i jakości – przekonuje Korolec.

Gra o śmierć programu

Jakie są polityczne reperkusje ETS2? „Brukselski podatek", wymierzony przede wszystkim w zwykłych ludzi, to w zasadzie samograj dla zwolenników polexitu albo przynajmniej odrzucenia polityki klimatycznej. Już wiadomo, że nasza przyszłoroczna kampania wyborcza będzie toczyć się w sporej mierze wokół tego tematu. Pierwsze tego oznaki widać w inicjatywie referendalnej prezydenta Karola Nawrockiego, który zaproponował zapytanie Polek i Polaków m.in. o ETS2. Pominąwszy kwestię tendencyjnego pytania, podkreślającego wyłącznie wyłącznie koszty, ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ trudno zaprzeczyć, że w sprawach żywotnie dotyczących społeczeństwa powinno mieć ono coś do powiedzenia. Spór o ETS2 dotyczy szerszych napięć między samostanowieniem państw członkowskich a bardziej odgórnym projektem europejskim – o widocznych w nim deficytach demokracji mówi się zresztą od dawna.

Społeczny opór nie dotyczy wyłącznie Polski, choć ze względu na najwyższy udział węgla w ogrzewnictwie skutki systemu będą u nas wyjątkowo dotkliwe. Jednak Marcin Korolec przewiduje, że losy regulacji mogą się jeszcze różnie potoczyć.

– W ciągu półtora roku w dwunastu państwach odbędą się europejskie wybory. Jestem zdania, że skoro już raz przesunęliśmy ETS2 o rok, to być może przesuniemy go jeszcze dalej, albo w ogóle nie wejdzie w życie. Spójrzmy na Francję. Niezależnie, czy wyścig do Pałacu Elizejskiego wygra Marine Le Pen czy Édouard Philippe, żadne z nich nie będzie chciało ryzykować powtórki z ruchu Żółtych Kamizelek, będącego reakcją na dużo delikatniejsze zmiany niż te, które ma wprowadzić ETS2. Spodziewam się więc dalszych dyplomatycznych działań w tej sprawie – mówi Korolec.

Zmiany klimatu nie zwalniają, o czym swoją drogą niedawno dobitnie przekonali się m.in. właśnie Francuzi. Ekstremalne temperatury i niski stan wód wyłączyły tego lata z użytku znaczną część bloków jądrowych, na których stoi nadsekwańska energetyka. Dostępne dane mówią też o ponad 10 tys. nadmiarowych zgonów, spowodowanych w Europie przez upały. Od konieczności redukcji emisji nie uciekniemy.

– Rezygnacja z importu paliw kopalnych to kwestia ochrony klimatu, ale też budowy naszego bezpieczeństwa ekonomicznego i energetycznego. Ostatnio kolejny raz pokazała to wojna na Bliskim Wschodzie i gwałtowny wzrost cen ropy – przypomina Marcin Korolec.

Czy oznacza to, że każda droga do tej rezygnacji jest równie dobra? Problemy wokół ETS2 uwidaczniają tyleż oczywistą, co często lekceważoną odpowiedź. Nie.

© SZYMON MAJEWSKI



ARCHIWUM PRYWATNE

Monika tłumaczy ludziom na TikToku, że z borderline można prowadzić satysfakcjonujące życie.

Życie na granicy

ANNA KORYTOWSKA

ZDROWIE | Krzywdzące stereotypy, lęk przed odrzuceniem i przytłaczające uczucia. Z tym na co dzień mierzą się osoby z zaburzeniem osobowości borderline. Monika, Ola i Justyna opowiadają nam, jak odzyskały wpływ na swe życie.

U mnie borderline objawia się przede wszystkim jako bardzo intensywne przeżywanie emocji i trudność w utrzymaniu stabilnego poczucia siebie. Często nie do końca wiem, kim jestem, czego chcę, co jest moje, co wynika z emocji lub lęku, a co z konkretnej sytuacji, w której się znajduję. Towarzyszy temu przewlekłe poczucie pustki i odklejenia od własnej tożsamości – mówi 23-letnia Monika Piotrowska.

Wszystkiego za dużo

Na co dzień Monika pracuje jako trenerka personalna fitness i twórczyni materiałów wideo na zlecenia znanych marek. Na TikToku @piotrxwskaa opowiada o życiu z zaburzeniami psychicznymi oraz szerzy świadomość na temat zdrowia psychicznego. O świecie emocji osób z borderline mówi tak: – Smutek potrafi być przeżywany jak żałoba, złość jak wewnętrzna furia, a radość przecho-

eprasa.pl 66b790add1

dzić w euforię. Wszystko jest bardzo intensywne, niezależnie od tego, czy emocja jest pozytywna, czy negatywna.

W przeszłości wiązało się to u niej z impulsywnością, wchodzeniem w niebezpieczne relacje, autoagresją oraz myślami samobójczymi. Dziś, dzięki psycho- i farmakoterapii, pracy nad sobą oraz wspierającej relacji objawy są znacznie łagodniejsze. Droga do diagnozy była jednak długa.

Już jako nastolatka zmagała się z depresją, przewlekłym smutkiem i poczuciem pustki. Później zachorowała na anoreksję i trafiła do szpitala. Korzystała z leczenia psychiatrycznego i terapii, jednak tak naprawdę nie była gotowa na przyjęcie pomocy. Po latach konsultacji ze specjalistami, testach i wywiadach diagnostycznych usłyszała, że cierpi na zaburzenie osobowości borderline. Rok później rozpoznano u niej również osobowość zależną, PTSD, autyzm i ADHD.

– Czasem wystarczy krótsza wiadomość, brak emotki czy zmiana tonu rozmowy, by pojawiła się lawina myśli, że ktoś mnie już nie kocha albo zaraz odejdzie – mówi Monika o jednym z najtrudniejszych aspektów borderline, czyli lęku przed porzuceniem, który każe nieustanne analizować cudze zachowania i reakcje. Osoba z borderline silnie przejmuje emocje otoczenia, a napięcie lub smutek bliskich odbiera niemal jak własne. Ogromnym wyzwaniem są też samotność i poczucie niezrozumienia. – W internecie ludzi z tym zaburzeniem często przedstawia się jako toksycznych, manipulujących czy niemożliwych do kochania. To bardzo krzywdzące, bo wielu z nich ogromnie cierpi, choć szczerze próbuje radzić sobie z własnymi emocjami – podkreśla Monika.

W silniejszych kryzysach mogą pojawiać się myśli rezygnacyjne, autoagresja i impulsywność, ale mimo wszystko da się z tym zaburzeniem prowadzić satysfakcjonujące życie. Mieć stabilny związek, przyjaźnie, pracę, pasje i plany na przyszłość. Wymaga to jednak, zdaniem Moniki, odpowiedniego wsparcia, terapii i świadomości własnych mechanizmów.

Żeby w ogóle przetrwać

Monice najbardziej pomogła terapia dialektyczno-behawioralna (DBT), która uczy regulowania emocji, radzenia sobie w kryzysach i budowania zdrowych relacji. Duże znaczenie miała także wspierająca relacja z partnerem. – To, że jestem z osobą wyrozumiałą i stabilną, bardzo pomogło mi nauczyć się innych schematów. Mój związek nie jest kolejnym źródłem przemocy albo chaosu – podkreśla. Pomocna okazała się również farmakoterapia oraz abstynencja. – Niedługo miną dwa lata, odkąd nie piję alkoholu, i ponad trzy i pół roku od odstawienia innych substancji. One tylko nasilały problemy z emocjami, prowadząc do większej liczby konfliktów, zachowań autoagresywnych i poczucia wstydu – przyznaje.

Dziś bardzo aktywnie działa na rzecz destygmatyzacji borderline, gdyż to zaburzenie nie jest wyborem. Często wiąże się z traumą, zaniedbaniem emocjonalnym lub trudnymi doświadczeniami z dzieciństwa. Monika podkreśla też, by nie przypisywać takim ludziom narcyzmu; osoby z tą diagnozą nie są z definicji toksyczne. Trudne zachowania najczęściej wynikają z lęku przed porzuceniem i trudnością w regulacji emocji, natomiast jeśli pojawia się agresja, to raczej skierowana wobec siebie, a nie innych.

– Jesteśmy ludźmi, którzy często bardzo długo walczyli o to, żeby w ogóle przetrwać – podkreśla Monika. – I dlatego, choć diagnoza nie zwalnia nas z odpowiedzialności, to jednak osoby, które podejmują leczenie i pracują nad sobą, zasługują na zrozumienie i wsparcie, a nie na stygmatyzację.

Zaburzenie osobowości borderline charakteryzuje się dużą impulsywnością i niestabilnością. Towarzyszy mu też silny lęk przed odrzuceniem i rozpadem relacji, nie tylko romantycznych. – Osoby z borderline bardzo szybko się przywiązują, ale wystarczy drobna rzecz, by ich emocje nagle przeszły z jednej skrajności w drugą – zauważa psycholożka Monika Kotlarek.

Borderline towarzyszy też brak poczucia bezpieczeństwa, zarówno w relacji z samym sobą (bo trudno jest sobie zaufać), jak z innymi ludźmi. To daje poczucie ciągłego zagrożenia, ale też niedopasowania. – Osoba z borderline widzi, że emocje, których doświadcza, są nieadekwatne do sytuacji. Odczuwa wówczas ogromny wstyd i wyrzuty sumienia – dodaje ekspertka. – Jeżeli zaburzenie nie jest zaopiekowane, czyli brakuje terapii, pracy nad sobą i zdobywania wiedzy, pojawia się życiowy chaos i wybuchy emocji, których źródło trudno zrozumieć.

Przejąć władzę nad sobą

29-letnia Ola Sadowska, twórczyni internetowa znana jako „olawpodrozy", przez lata chodziła na terapię, podczas której leczyła depresję. – W tych gorszych stanach cały czas czułam, że coś mi w diagnozie umyka. Dlatego postanowiłam drążyć temat – mówi. Informacja, że może mieć borderline, bardzo ją zaskoczyła. Wcześniej to słowo kojarzyło jej się bardziej jako element tzw. kultury emo. Szybko jednak dostrzegła, jak wiele rzeczy się zgadza. – Diagnoza bardzo mi pomogła. Wreszcie wiedziałam, z czym się mierzę – wspomina.

Jednym z najbardziej charakterystycznych objawów zaburzenia są intensywne uczucia. U Oli najmocniej dają one o sobie znać w relacjach romantycznych. – Kiedy coś dzieje się nagle, kiedy ktoś mnie zaskoczy albo zrobi coś, czego się nie spodziewam, pojawiają się wybuchy emocji – tłumaczy.

W świecie osób z borderline rozstanie może być totalną katastrofą, bo szczególnie mocno przywiązują się one do bliskich. – Kiedy taka relacja się kończy, znika też poczucie bezpieczeństwa. Wtedy łatwo o stany depresyjne i stany rezygnacyjne – wyjaśnia Ola. – Jestem wtedy wyczerpana psychicznie i fizycznie. Często towarzyszy mi też wstyd – przyznaje.

Silne reakcje emocjonalne nie ograniczają się tylko do najbliższych osób. Czasem wywołują je pozornie błahe sytuacje. Ola wspomina niedawną wizytę w sklepie. Chciała zwrócić ubranie, ale kolejka niemal się nie przesuwała. Patrzyła na dziesięć osób przed nią i czuła, jak narasta w niej napięcie. Postanowiła wyjść. Pomogło jej ćwiczenie myślowe: na co ma wpływ, a na co nie, czyli np. na tempo obsługi klientów. Świadomość, na czym polega sprawczość i jakie ma ograniczenia, może bowiem przyczynić się do zmiany schematu i przejęcia kontroli nad życiem, którym wcześniej kierowały tylko emocje. – To mnie ugruntowuje i przywraca do „tu i teraz" – mówi z mocą.

Po trafnej diagnozie Ola rozpoczęła terapię DBT, opracowaną z myślą ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ o osobach z borderline, a później również terapię schematów. Dziś dużą część pracy stanowi dla niej psychoedukacja i próby zrozumienia mechanizmów stojących za silnymi reakcjami. – Zastanawiam się w takich momentach, co było triggerem, co uruchomiło tak mocną odpowiedź organizmu – mówi. Wsparciem jest również joga nidra, gdyż nie wymaga aktywności, oprócz uruchomienia uważności na ciało i podążania za lektorem. Do tego dochodzi praktyka uważności i codzienne ćwiczenie wdzięczności. – Kiedyś wydawało mi się to sztuczne. Dziś nawet w najtrudniejszych dniach staram się znaleźć coś dobrego. To ważne, bo przy borderline bardzo łatwo wpaść w spiralę negatywnych myśli – podkreśla.

O swoim zaburzeniu Ola opowiada publicznie. Chce pokazać, że nie zawsze wygląda ono tak, jak podpowiadają ludziom stereotypy. Zresztą, sama często słyszy, że nie widać po niej „choroby". – Borderline wpływa na moje życie, ale nie definiuje mnie jako człowieka. Nie jesteśmy przecież swoją diagnozą. Mamy wpływ na wiele rzeczy i możemy uczyć się świadomie funkcjonować – podkreśla.

„Nie jestem zaburzeniem"

Justyna diagnozę usłyszała pięć lat temu, miała wtedy 23 lata i była młodą mamą. Odczuwała dużą niestabilność emocjonalną, miała wybuchy złości, wahania nastroju, napady niekontrolowanego objadania się, poczucie pustki. Pojawiały się też myśli rezygnacyjne.

Koleżanka, która studiowała psychologię, poradziła jej wizytę u psychiatry. – Myślałam, że to depresja poporodowa, ale lekarz szybko zdiagnozował borderline i wystawił receptę na leki – wspomina.

Po wizycie zaczęła szukać informacji w internecie. To, co przeczytała, przeraziło ją. Na forach ludzie pisali stereotypowe, upokarzające komentarze. Głównie o tym, że ludzie z borderline to wariaci, którzy krzywdzą innych. Bardzo ją to denerwowało. – Mam zaburzenie osobowości, ale nie jestem nim – podkreśla.

Dziś stara się uświadamiać ludzi, także w mediach społecznościowych, czym jest borderline. – Przeżywam emocje intensywniej, zdarza się, że jestem nierozumiana i odczuwam pustkę. Ale nigdy nie krzywdzę nikogo z premedytacją i jestem



JULIA GŁOWACKA

OLA SADOWSKA:

Borderline wpływa na moje życie, ale nie definiuje mnie jako człowieka. Nie jesteśmy przecież swoją diagnozą. Mamy wpływ na wiele rzeczy i możemy uczyć się świadomie funkcjonować.

w stanie tworzyć trwałe relacje. Nadal trudno mi kochać samą siebie, ale jestem na dobrej drodze – opowiada o swych doświadczeniach.

Rok po diagnozie rozpoczęła psychoterapię. – W międzyczasie zdiagnozowano u mnie także ADHD i zaburzenia lękowe. Sama świadomość, że potrafię nazwać to, czego doświadczam, i że są ludzie, którzy mają podobnie, sprawia, że czuję się mniej samotna – mówi.

Praca z zaburzeniem pozwoliła jej stać się na tyle stabilną osobą, że rozpoczęła studia pielęgniarskie. – Kiedy pojawiały się problemy w pracy czy na studiach, omawiałam je podczas psychoterapii. Najbardziej w życiu motywował mnie syn, który otrzymał diagnozę autyzmu. Uczę go, żeby wykorzystywał swoje mocne strony i nigdy nie czuł, że jest gorszy. Nasze trudności psychiczne nie muszą nas definiować – dodaje.

Jak można pomóc

Wiele osób z borderline nie ma świadomości choroby i nie leczy się. Taki stan może bardzo mocno determinować codzienność. – Trudno jest utrzymać relacje społeczne i romantyczne, pracę zawodową czy ukończyć studia. Pojawiają się problemy ze stabilnością finansową, która również wpływa na poczucie bezpieczeństwa i równowagę emocjonalną. To wszystko są naczynia połączone – wyjaśnia psycholożka Monika Kotlarek.

Dlatego tak ważne jest, by w porę zgłosić się po pomoc. Chociaż diagnoza najczęściej stawiana jest po 25. roku życia, pierwsze symptomy bywają widoczne znacznie wcześniej. – Mogą być jednak mylnie interpretowane jako okres buntu nastoletniego, konsekwencje traumatycznych doświadczeń czy reakcja na trudne sytuacje życiowe – zaznacza ekspertka.

Jeżeli równocześnie pojawiają się silne wahania emocjonalne, które dezorganizują życie, wtedy naprawdę nie warto już zwlekać z wizytą u specjalisty. Ten przeprowadzi odpowiednie testy i wywiady, które pozwolą postawić właściwą diagnozę. Potem rozpoczyna się praca terapeutyczna połączona z psychoedukacją. – Można skutecznie rozwijać umiejętności radzenia sobie z emocjami i uczyć się ich regulacji. Nie istnieje co prawda lek na borderline, ale farmakoterapia pomaga w lękach i stanach depresyjnych – podkreśla psycholożka.

Bardzo istotną rolę w procesie leczenia pełnią osoby z najbliższego otoczenia. Muszą one jednak mierzyć siły na zamiary i nie starać się wcielać w rolę terapeuty. Powinny pomagać, ale zarazem umieć dbać o siebie i stawiać granice. Np. mieć odwagę powiedzieć: „rozumiem, że przeżywasz trudne emocje, ale nie możesz mnie obrażać czy krzyczeć za każdym razem, gdy coś się wydarzy". Najgorsze jest bowiem przejmowanie odpowiedzialności za osobę z zaburzeniem. O wiele lepiej sprawdza się inna taktyka.

– Lepiej jest powiedzieć: widzę, że jest ci ciężko. Czy mogę ci jakoś pomóc? Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Bez narzucania się, ale z mądrą, wspierającą obecnością. To najlepiej działa – puentuje psycholożka. © ANNA KORYTOWSKA

eprasa.pl 66b790add1

OLGA

Drenda: *Prawda czasu, prawda monitora*



Nie wiem, jak dobrze pamiętane są dzisiaj żarty o Radiu Erewań, parodiujące „alternatywną prawdę" z propagandy ZSRR. Jeden z nich na pewno solidnie przeżył ten ustrój i bywa przytaczany do dzisiaj. Słuchacze pytają: czy to prawda, że w Moskwie rozdają samochody? Radio Erewań odpowiada: Tak, to prawda. Tylko że nie w Moskwie, a w Leningradzie, nie samochody, a rowery, i nie rozdają, a kradną.

To, że akurat ten żart przetrwał, wydaje mi się nieprzypadkowe, bo nadaje się na ilustrację tego, jak czasami rozpowszechniają się i utrwalają opowieści, po drodze przekształcając się kilkadziesiąt razy tak, że nie przypominają już wcale oryginału. Nieustannie nadają w naszych głowach odpowiedniki Radia Erewań, które wcale nie muszą być – na szczęście! – produkcji radzieckiej. Akurat dopowiadanie sobie i gra z samym sobą w znaną z przedszkola zabawę w „głuchy telefon" to zjawisko zupełnie uniwersalne, wynikające z faktu, że myślimy i postrzegamy świat przez opowieść.

Jak wyjaśniał dawno temu antropolog Clifford Geertz, to kultura jest stanem naturalnym człowieka – nie da się oddzielić „kultury" od rzekomej „natury", gdyż fizyczna ewolucja gatunku ludzkiego współistniała wraz z rozwojem jego kultury – języka, obyczaju, symboli czy zasad postępowania w grupie. Nie da się cofnąć do czasu „przed kulturą" ani poza nią wyjść. Elementem tego bazowego wyposażenia jest opowieść, narracja – mitologiczna, ale nie tylko – którą przed epoką pisma wyrażała mowa, pieśń czy rysunek. Nawet słynny brazylijski lud Pirahã, który żyje w teraźniejszości i bez rozbudowanych rytuałów, ma swoją kosmologię, wiarę w duchy i sny. A opowieść miewa umowny stelaż, w którym, podobnie jak samochody i rowery w żarcie o Radiu Erewań, poszczególne elementy mogą być całkiem swobodnie wymienialne.



OLGA DRENDA

Kotek wybiera prawdę monitora

Myślę o przykładzie, który ostatnio słyszę. „Dawno temu, w XIX wieku, malarze protestowali przeciwko fotografii i uważali, że to koniec sztuki!", lubią powtarzać dzisiaj entuzjaści generatywnej sztucznej inteligencji, przekonani, że to jest nieuchronna przyszłość twórczości. Bycia entuzjastą czegokolwiek, nawet placków ziemniaczanych z cukrem, nikt nie zabrania (podzielanie tego entuzjazmu to oczywiście inna sprawa). Ale sama historia o malarzach to właśnie współczesne radio Erewań: coś dzwoni, ale nie w tym kościele. Fotografia w swych wczesnych latach nie uchodziła za zagrożenie dla malarstwa, a za rodzaj pomocniczego gotowca, wstępnego studium. Takim rzemiosłem parał się wielki fotograf Paryża Eugène Atget – szyld na jego zakładzie głosił „dokumentacje dla artystów". Los chciał, że to w jego fotografiach szybko zauważono niepowtarzalność spojrzenia na miasto i to Atget został uznany za artystę.

Malarz Paul Delaroche rzekomo wykrzyknął na widok dagerotypu, że to zabójczy cios dla malarstwa. Taka krąży powtarzana do dziś opinia, choć prawdopodobnie nigdy te słowa nie padły (można dla odmiany znaleźć je w „Słowniku komunałów" Flauberta, co świadczy o tym, jak tę wróżbę traktowano jeszcze w wieku XIX). Delaroche w rzeczywistości był fotografią bardzo zainteresowany z praktycznych względów i uważał, że pomoże malarzom ćwiczyć warsztat. Fotografia portretowa nie zastąpiła nigdy malarstwa – za to przyjęła się szybko wśród ludzi, których na portret malowany nie było stać. Gdy jednak tylko mogli, starali się o podobiznę malarstwu najbliższą, unikatową – tak powstały dobrze znane z polskich (i, co ciekawe, także brazylijskich) domów monidła.

To jest jednak wiedza słabo rozpowszechniona, w przeciwieństwie do rzekomego cytatu z Delaroche'a. To on pobudza wyobraźnię, bo pasuje do opowieści: skoro rzemieślnicy protestowali przeciwko mechanizacji tkactwa, to malarze na pewno też musieli. A przede wszystkim pasuje do mitu o rzekomej walce starego z nowym, rzekomej konieczności dziejowej, o tym, że nowy wynalazek koniecznie musi wykorzenić poprzedni, a wraz z nim jego grzybiejących, konserwatywnych zwolenników, których opór jest daremny. Nie ma znaczenia, że to nieprawda. Jest bowiem prawda czasu i prawda monitora.

Układanie wydarzeń w następujące po sobie sekwencje, często na bazie znajomo brzmiących modeli, to sposób na organizowanie informacji, zapamiętywanie i dzielenie się. Bywa, że pamięć z automatu podsuwa już znane wzory opowieści. Opowiadający wierzy w nie z przekonaniem bezpośredniego i naocznego widza. Czujny folklorysta zapewne rozpozna w nich nieraz jeden z 2,5 tys. typów opowieści ludowej zawartych w klasyfikacji Aarne-Thompsona (która i tak obejmuje tylko część świata). „Mówią, że krasnoludki to przybysze z obcych planet", rozmawiają bohaterowie starego rysunku Andrzeja Czeczota. Nie różnimy się od nich pod względem podatności na baśnie. A opowieści o rzekomej nieuchronności rozwoju w jednym konkretnym kierunku to zdecydowanie baśnie – pokrewne opowieściom o przeznaczeniu. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 66b790add1

PSYCHE

SPOŁECZEŃSTWO BYWA MIŁE

AGATA SIKORA, ESEISTKA:

Milenialsom obiecano świat bez wielkich konfliktów – wystarczyło tylko dobrze sobie radzić. Ceną za spokój miało być wycofanie z życia publicznego i wiara, że liczy się tylko to, co prywatne.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Wedle danych WHO ponad 870 tys. osób umiera każdego roku z powodu samotności. To jakby cały Kraków zniknął nagle z mapy. Dlaczego tak się dzieje?

AGATA SIKORA: Bo rozluźniają się więzi społeczne, żyjemy w coraz większej izolacji. A dlaczego? W dużej mierze wynika to z faktu, że bardzo głęboko przyswoiliśmy sobie neoliberalną ideologię. Traktujemy siebie jako przedsiębiorców albo dokonujących wolnych wyborów konsumentów, a nie obywateli czy członków wspólnoty.

Każdy z nas ma być odpowiedzialny wyłącznie za siebie. Jeśli nie odniesie sukcesu – na przykład zostanie zwolniony z pracy albo zachoruje – sam jest sobie winny, bo przecież mógł więcej pracować, zmienić branżę, zdrowiej się odżywiać.

Zwykle mamy w takiej sytuacji wokół siebie rodzinę, która daje wsparcie.

Tyle że to właśnie w jej ramach dokonuje się akumulacja i międzypokoleniowe przekazanie kapitału. Rodzina nie jest żadną alternatywą dla logiki rynkowej: przeciwnie, stanowi dla niej wspaniałe alibi. Można przecież robić dużo rzeczy „aspołecznych", tłumacząc to najwyższym dobrem – własnych dzieci.

I teraz spójrz na wrażliwość naszego pokolenia, osób wchodzących w dorosłość na początku XXI w., czyli milenialsów. Udział w czymkolwiek poza pracą zarobkową, życiem rodzinnym albo swoiście pojętą „troską o siebie" wymaga ciągłego usprawiedliwiania.

W takiej sytuacji każdy aktywizm, działanie polityczne, a nawet pomaganie sąsiadce czy wzięcie wolnego, by pojechać wspierać koleżankę w kryzysie – jawią się jako fundamentalnie podejrzane. Bo czy w ten sposób nie „okradam" swojej rodziny, a szczególnie dzieci, z czasu, emocji, zaangażowania? Czy nie jestem frajerką, jeśli wykonuję jakieś działanie na rzecz kogoś, skoro mogłabym spędzić ten czas na jodze albo „fakturowalnej" pracy? A przecież właśnie takie działania budują społeczne połączenia. One mają ogromne znaczenie dla poczucia satysfakcji i sensu życia...

...no i to życie wydłużają. W niedawnym raporcie WHO na temat istoty społecznych więzi czytam, że nawet małe akty życzliwości, takie jak zagadnięcie sąsiada o jego samopoczucie, są skutecznym sposobem na zmniejszenie ryzyka samotności. Program zachęty do bycia sympatycznym nazwano „KIND challenge". Czy naprawdę potrzebujemy, by ktoś nam przypominał, że ważne jest bycie miłym i pomocnym dla innych?

Potrzebujemy takich programów nie dlatego, że jesteśmy tak bardzo „z natury" egoistyczni, ale ponieważ tę egoistyczną,

PIERRE ALBOUY / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl 66b790add1



sprywatyzowaną wizję świata przedstawiono nam jako racjonalną i bezalternatywną.

Jeśli nie wierzymy, że ktokolwiek nam pomoże w razie kłopotów albo po prostu wyciągnie pomocną dłoń, kiedy mamy gorszy nastrój, pozostaje nam poleganie na sobie i kupowanie odpowiednich usług. Powstał wokół tego cały rynek, który ma nam służyć w radzeniu sobie ze stresem, zapewnić zdrowie, dłuższe życie, sprawność.

Ten rynek wart jest dziś 6 bilionów dolarów. Trzy razy tyle, ile na wydatki publiczne przeznacza Francja.

Wellness jest ofertą premium: kupujemy kolejne suplementy, wizyty u kosmetyczki albo karnety na siłownię, by poprawić swoją kondycję psychiczną i fizyczną. Zbyt często rządzi się to logiką dyscypliny, optymalizacji – jesteśmy zasobem, o który musimy dbać, by mógł nam dłużej służyć. Musimy być przecież stale produktywni, nie wolno nam wziąć chorobowego, a poza tym – nikt inny o nas nie zadba.

To teraz podam przykład z Kapsztadu: poproszono tam emerytów, by odwiedzili swoich rówieśników w domach. Szybko przełożyło się to na spadek zachorowań na depresję w tej grupie, więcej osób zaczęło też prosić o pomoc. Wystarczyło wpaść na herbatę.

Człowiek jest istotą społeczną. Wedle aktualnej wiedzy naukowej więzi społeczne są najważniejsze dla naszego zdrowia psychicznego. Co znaczy, że kontakty z innymi nie są jakimś tam „marnowaniem czasu", kaprysem czy luksusem, ale podstawową potrzebą.

W książce „Jak wyjść z siebie" pokazuję, że relacje stanowią coś w rodzaju siatki asekuracyjnej: jak przechodzisz trudny moment, to nie jesteś z tym sama, bo wokół są ludzie, którzy jakoś na to reagują. Jak masz doła, pójdziesz na spacer z koleżanką; a jak zachorujesz, kolega podrzuci gorący rosół. Innym razem ty pomożesz naprawić rower sąsiadowi albo pojedziesz wesprzeć ciocię w szpitalu.

Natomiast jeżeli masz poczucie, że pod liną, po której idziesz, nie ma żadnej siatki bezpieczeństwa, jedyne, co możesz zrobić, to nieustannie ćwiczyć, dbać o formę i mięśnie, rozwijać swoje kompetencje. Im słabsza wiara w istnienie zabezpieczenia, tym większa presja, by doskonalić samą siebie.

Skąd się wzięło takie przerzucanie odpowiedzialności na jednostkę?

Ten rodzaj „dbania o siebie" i inwestowania w przyszłość jest odpowiedzią na bardzo realne lęki. W końcu od lat 70. XX w. trwa rozmontowywanie społecznej siatki asekuracyjnej zapewnianej przez państwa opiekuńcze. Mam na myśli np. stałe zatrudnienie z prawem do urlopu i chorobowego, emeryturę, publiczną ochronę zdrowia, mieszkania komunalne itd. ↦

Antigel Festival, Vernier, Szwajcaria, 21 lutego 2026 r.

eprasa.pl 66b790add1

↦ W ostatniej dekadzie w Polsce zamiast organizować system, który mógłby zapewnić wysokiej jakości usługi publiczne, dokonuje się transferów pieniędzy, żeby obywatele sami sobie kupowali te usługi na wolnym rynku. Słyszymy, że jeśli gospodarka będzie rosła, każdy będzie mógł kupić sobie prywatne ubezpieczenie czy prywatną opiekę zdrowotną.

A my uwierzyliśmy, że prywatne znaczy lepsze.

Pamiętam, jak lata temu znajomi, których akurat było na to stać, rozważali prywatny poród ze względu na ciążę wysokiego ryzyka. Ostatecznie zrezygnowali, bo wiedzieli, że gdyby pojawiły się komplikacje i tak zostaną przewiezieni do publicznego szpitala, gdzie pracują najlepsi specjaliści.

Celem prywatnych firm nie jest dostarczenie najlepszej opieki, ale wypracowywanie zysków dla udziałowców. To, że stać cię na pakiet medyczny, gdy masz 30 lat i dobrze zarabiasz, nie znaczy, że będzie cię stać na leczenie onkologiczne, kiedy będziesz miała lat 50 i po redukcji zespołu w pracy zostaniesz bezrobotna. Wiara, że problemy publicznej ochrony zdrowia nas nie dotyczą, bo kupiliśmy sobie bilet do lepszego świata, jest bardzo złudna.

Mimo wszystko kupujemy sobie krótsze kolejki do lekarza, zapisujemy dzieci do prywatnych szkół i przedszkoli...

...i posyłamy na chiński z francuskim w wieku lat trzech. Łatwo się z tego śmiać, ale to zrozumiała reakcja. Jeśli miałybyśmy poczucie, że nasze dzieci niezależnie od materialnego statusu będą miały w przyszłości zapewnioną opiekę medyczną, mieszkanie, możliwość godnego i pełnego życia, nie byłoby presji na to, by już od przedszkola traktować ich wychowanie jako inwestycję w edukacyjny projekt.

Jeżeli jednak czujemy, że przyszłość jest coraz mniej przewidywalna, zasoby są ograniczone i przetrwają tylko najsilniejsi, zaczynamy przygotowywać dzieci do rywalizacji, walki o przetrwanie.

Nie masz wrażenia, że z tego wynika napięcie, które charakteryzuje wielu rodziców z pokolenia milenialsów? Wychowywanych w poczuciu, że chodzą po linie, pod którą nie ma siatki zabezpieczającej upadek?

Nasze pokolenie z jednej strony było wychowywane bardziej autorytarnie – trzeba było być grzecznym, były kary cielesne i nikt nie chodził na palcach wokół uczuć dziecka. Ale z drugiej strony mieliśmy dużo więcej swobody, bo znaczną część swojego czasu spędzaliśmy bez nadzoru, poza radarem dorosłych.

Nasi rodzice nie mieli poczucia, że muszą od najwcześniejszych lat indywidualnie projektować naszą przyszłość. Transformacja była oczywiście trudna, ale dominująca – co nie znaczy, że adekwatna – narracja brzmiała: będzie lepiej. Polska wreszcie „dogoni Europę", będzie „normalnym krajem".

My postrzegamy przyszłość w ciemnych barwach?

Nie możemy powiedzieć: „Będzie dobrze, świat jest w miarę stabilny". Żyjemy w cieniu katastrofy klimatycznej, gwałtownych zmian technologicznych, rozwoju sztucznej inteligencji, radykalnych przemian geopolitycznych. Czasem trudno rozróżnić opis rzeczywistości od dystopijnej fantazji.

Do tego duże piętno odcisnęła na nas kultura terapeutyczna: w dorosłym życiu wiele osób przeszło trening przyglądania się temu, jak rodzice tłumili ich emocje, zawstydzali ich, zostawiali samym sobie. Mam wrażenie, że stąd wzięło się przekonanie, że jeśli będzie się dziecku nieustannie towarzyszyć, być zawsze uczuciowo dostępnym, to wszystko będzie dobrze. Dlatego stopień tego skupienia na dziecku, poziom interweniowania i nieustannej miękkiej kontroli jest bardzo wysoki.

Nie podważam tu znaczenia rozpoznawania i nazywania emocji – to jest oczywiście ważne. Problem polega na tym, że nie jest to magiczna różdżka rozwiązująca wszystkie trudności.

Kluczowe jest pytanie, czy troska o dzieci pozostaje prywatnym zadaniem rodziny, czy powinna być zadaniem całej społeczności.

Jeśli uznamy, że troska o dobrostan psychiczny dziecka zależy wyłącznie od zasobów jego rodziców, godzimy się na ogromne nierówności – co będzie miało katastrofalne skutki dla nas wszystkich.

Bo te prywatnie „wychuchane" dzieci zaczną być oddzielane od tych, którym na przykład nie dano narzędzi do radzenia sobie z agresją. Nastąpi – już następuje – segregacja, stereotypizowanie, nasilanie społecznego lęku. W efekcie rodzice stają się jednocześnie opiekunami i strażnikami. Z jednej strony nakładają na siebie coraz więcej obowiązków, bo muszą w pojedynkę sprostać absurdalnie wyśrubowanym standardom zarządzania emocjami. Z drugiej – coraz uważniej kontrolują innych, coraz bardziej boją się kontaktu z innymi.

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Bronisławy Siewiery

córkom, Agnieszce i Marcie
oraz ich rodzinom składamy najserdeczniejsze
wyrazy współczucia.

Wspieramy Was w żałobie
po śmierci mamy, teściowej, babci i prababci.

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"
i Fundacji Tygodnika Powszechnego

eprasa.pl 66b790add1

A może być inaczej – codziennie obserwuję to w angielskiej szkole podstawowej moich dzieci. Mieszają się tu ludzie z różnych krajów, religii, zawodów i pozycji społecznych – różnorodność w praktyce, a nie kolorowy folder.

Cała organizacja szkoły, program nauczania, sposób motywowania jest zorganizowany tak, by pozytywnie modelować relacje i emocje. Dzieci są uczone, by interweniować, jeśli widzą, że ktoś jest samotny, smutny czy dochodzi do jakiejś eskalacji konfliktu. Jeśli są nieporozumienia między uczniami, rodzice nie powinni kontaktować się bezpośrednio ze sobą. Zgłasza się sprawę nauczycielce, która bierze odpowiedzialność za rozwiązanie sytuacji. Kiedy opowiadam o tym znajomym w Polsce, często reagują zdziwieniem.

> Jeżeli masz poczucie, że pod liną, po której idziesz, nie ma żadnej siatki bezpieczeństwa, musisz nieustannie dbać o formę i rozwijać kompetencje. Im słabsza wiara w istnienie zabezpieczenia, **tym większa presja, by doskonalić siebie.**

Bo dla nas naturalnym odruchem jest natychmiastowa interwencja.

Jest takie pojęcie *restorative justice* – sprawiedliwości naprawczej. Wcześniej znałam je głównie z książek i podkastów: chodzi o sprawiedliwość rozumianą nie jako karanie sprawcy, ale skłonienie go do rozpoznania krzywdy i zadośćuczynienia ofierze. Brzmiało przekonująco jako teoria, ale trudno było mi sobie wyobrazić, jak miałoby działać w praktyce.

Tymczasem zobaczyłam to na bardzo prostym przykładzie szkolnym, kiedy jeden kolega w ramach nieśmiesznego żartu mówił coś obraźliwego do mojego dziecka. Po pierwsze, rówieśnicy sami zareagowali i powiedzieli, że powinien przeprosić – ale moje dziecko uważało, że te przeprosiny były na odczepnego.

Nauczycielka porozmawiała z każdym z nich na osobności, a potem ten chłopiec przyszedł do mojego dziecka w wybranym przez siebie momencie, by porozmawiać – co rozwiązało problem. Dzieci dostały wsparcie, żeby zrozumieć, co się wydarzyło, naprawić relację i wyjść z tej sytuacji z poczuciem godności.

Czy to nie jest jednak dość wyjątkowe podejście?

W Londynie, wobec napływu migrantów, szczególnie dużo wysiłku włożono w strategie edukacyjne – więc paradoksalnie te londyńskie wielokulturowe szkoły, gdzie wielu uczniów nie mówi w domu po angielsku, mogą być lepsze. Ale w Wielkiej Brytanii panuje przekonanie, że dla dobrej edukacji kluczowa nie jest charyzma czy empatia tego czy innego nauczyciela, ale kultura organizacyjna szkoły, procedury i szkolenia.

I ci nauczyciele, których ja obserwuję, są po prostu profesjonalistami: nie dysponują „naturalnym darem" czy nieskończonymi pokładami cierpliwości, ale całą masą narzędzi, technik, strategii.

I znów wracamy do pytania o wspólnotę. Im więcej dorosłych uczestniczy w wychowaniu dziecka – rodzice, nauczyciele, sąsiedzi, trenerzy, krewni – tym większa szansa, że ktoś je wesprze wtedy, kiedy rodzic nie będzie mógł tego zrobić.

Dziecko zyskuje dzięki temu dostęp do różnych wzorców, sposobów budowania relacji i rozwiązywania problemów. Może nie mieć ochoty porozmawiać o czymś z matką, ale otworzy się przed ciocią. Może znajdować poza domem to, czego z jakiegoś powodu w domu mu brakuje.

Oczywiście wszystko to prowadzi do bardzo trudnych pytań politycznych. Gdzie przebiega granica między autonomią rodziny a odpowiedzialnością społeczeństwa za dzieci? Jak daleko państwo powinno ingerować w życie rodzinne? Czy rodzice mają prawo odmówić leczenia dziecka w imię przekonań religijnych? Nie mam na to prostych odpowiedzi. Ale przekonanie, że samo bycie matką czy ojcem automatycznie daje najlepszą wiedzę o tym, co służy dziecku, jest fantazją.

Nie masz gotowych odpowiedzi, ale masz przykłady sytuacji, w których to zadziałało.

Opowiem o zdarzeniu sprzed kilku tygodni, kiedy musieliśmy pożegnać naszego bardzo starego psa, znajdę spod Łomży, która wraz z nami została emigrantem w Londynie. Od dłuższego czasu przygotowywałam do tego dzieci, ale wiadomo, że to trudne doświadczenie. Bardzo pomogli nam pracownicy gabinetu weterynaryjnego, choć oczywiście można to potraktować jako element usługi, za którą płacimy. W każdym razie mogliśmy się spokojnie pożegnać, potem ja zostałam u weterynarza z psem, a mój partner odwiózł dzieci do szkoły, bo uznaliśmy, że tak będzie lepiej. Dałam szkole tylko znać, żeby zwolniła je do domu, gdyby tego potrzebowały.

Nikt nie zadzwonił, więc odebrałam je o zwykłej porze. Dowiedziałam się, że gdy starsze powiedziało w szkole, co się stało, od razu zostało wysłane do osoby zajmującej się wsparciem emocjonalnym. Przez godzinę wspólnie robili książeczkę upamiętniającą psa i rozmawiali o tym, jak się przechodzi żałobę.

Kiedy to usłyszałam, chciało mi się płakać ze wzruszenia, bo uświadomiłam sobie, jak wielkie znaczenie miało dla mnie to, że nie byliśmy sami z tymi emocjami. Moje oczekiwania były znacznie skromniejsze: zakładałam, że szkoła pomoże odwrócić uwagę od smutnych myśli, ale nie spodziewałam się, że aktywnie włączy się w przepracowywanie żałoby.

Łatwo wyobrazić sobie zupełnie inny scenariusz: weterynarza, który traktuje całą sytuację rutynowo, oraz szkołę, która po prostu uznaje, że to wasza prywatna sprawa.

Moje dziecko wiedziało, że jeśli ma problem, może poprosić nauczycielkę o pomoc, bo wielokrotnie mu o tym mówiono; bo wcześniej mogło powiedzieć o innych rzeczach; bo zakłada się, że dzieci nie powinny się nauczycieli bać. Szablon książeczki upamiętniającej zwierzątko też był już gotowy – pewnie podobnie jak scenariusz tej wspierającej rozmowy. Tu w ogóle jest takie edukacyjne założenie, że dziecko musi się czuć bezpiecznie, by móc przyswajać wiedzę. ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ Bezpieczeństwo emocjonalne nie jest dodatkiem ani luksusem, ale warunkiem procesu edukacyjnego. Jeśli dziecko przeżywa stratę albo płacze po śmierci ukochanego zwierzęcia, nie ma sensu udawać, że najważniejsza jest matematyka.

To nie są „małe gesty", choć takie się wydają. Nie mamy tutaj rodziny, czyli „domyślnej" siatki bezpieczeństwa. Więc to, że instytucja zareagowała w taki sposób, miało olbrzymi wpływ na to, jak przeżyliśmy całą sytuację.

Ale ogromne znaczenie ma też to, czy idąc ulicą, masz poczucie bezpieczeństwa, czy obawiasz się, że zostaniesz zaatakowana. Albo czy wiesz, że jeśli zasłabniesz na chodniku, ktoś ci pomoże, a nie przejdzie obok. Właśnie z takich codziennych doświadczeń składa się społeczne poczucie, że nie jesteśmy pozostawieni samym sobie.



TOMASZ KACZOR / MATERIAŁY PRASOWE

DR AGATA SIKORA – kulturoznawczyni i eseistka nominowana do Nagrody Literackiej GDYNIA. Autorka książek „Wolność, równość, przemoc. Czego nie chcemy sobie powiedzieć" (Karakter, 2019), „Szczerość. O wyłanianiu się nowoczesnego porządku komunikacyjnego" (Wyd. UW, 2020) oraz „Jak wyjść z siebie. O złudzeniu niezależności i sile społecznych więzi" (Znak, 2026).

Na przekór temu, czego uczy popkultura, w sytuacjach kryzysowych reagujemy pomocą.

Bardzo silnie uwewnętrzniliśmy ideologię mówiącą, że człowiek jest z natury egoistyczny; że wystarczy, iż zelżeje lęk przed karą, albo pojawi się niebezpieczeństwo, a będziemy robić straszne rzeczy. Jest odwrotnie: jeśli nie reagujemy na cudze cierpienie, to właśnie dlatego, że wcześniej wykonano ogromną kulturową pracę, by przekonać nas, że cierpienie tej akurat grupy ludzi nie powinno nas obchodzić.

Cały czas czytamy doniesienia prasowe o osobach, które odruchowo, ponosząc olbrzymie ryzyko, rzuciły się ratować obcych. Przeżyłam w Londynie czas zamachów terrorystycznych i za każdym razem okazywało się, że przypadkowi przechodnie, zwykli ludzie, stawiali opór, ratowali rannych.

Czy to nie są wyjątki od reguły?

Badanie naukowe analizujące zachowania tłumu wobec ataku nożownika na stacji Leytonstone (akurat niesklasyfikowanego jako akt terroru) wskazywało, że heroizm nie był tam cechą jednostek, ale grupy. Przypadkowi ludzie spontanicznie podzielili się zadaniami: ktoś z wykształceniem medycznym zaczął udzielać pierwszej pomocy, choć sam był wciąż narażony na atak. Ktoś inny odwracał uwagę napastnika, ktoś rzucał w niego przedmiotami z bezpiecznej odległości, a jeszcze inny przechodzień blokował wejście na peron, by zapobiec narażeniu na niebezpieczeństwo kolejnych osób. To nie była panika ani realizacja fantazji o bohaterskim pojedynku, ale spontaniczne oddolne współorganizowanie się przypadkowej grupy.

Podobnie dzieje się podczas wielu katastrof. Filmy postapokaliptyczne i katastroficzne każą nam wierzyć, że w chwili bezpośredniego zagrożenia lub upadku władzy wybucha przemoc, chaos i panika. Tymczasem, jak pokazuje Rebecca Solnit w książce „A Paradise Built in Hell", podstawową reakcją jest samoorganizacja.

Dlaczego tak się dzieje?

W sytuacji katastrofy zawieszeniu ulegają codzienne mechanizmy rywalizacji i indywidualnej akumulacji. Kiedy liczy się tu i teraz, kiedy chodzi o przetrwanie wobec sił natury, współpraca okazuje się po prostu najbardziej oczywistym sposobem działania.

Solnit zauważa jednak, że ta oddolna organizacja jest z perspektywy władzy niewygodna. Bo jeśli okazuje się, że w wielu sytuacjach jesteśmy zdolni skutecznie współdziałać bez odgórnego kierowania, pojawia się pytanie, jak bardzo ta hierarchiczna władza jest nam potrzebna.

Bardzo lubię też inny tekst Rebecki Solnit, „When the Hero Is the Problem", który pokazuje, że mamy ogromną potrzebę opowiadania o zmianie społecznej poprzez postać jednej osoby, bohatera. Tymczasem jednostki mogą stać się symbolami, ale za każdą zmianą stoi praca całych zbiorowości. I ta praca jest zazwyczaj bardzo nieefektowna, frustrująca, nienadająca się na heroiczną opowieść. Każdy, kto kiedykolwiek próbował jakiegoś oddolnego aktywizmu, wie, jak to jest.

Tymczasem dziś – jak wynika z badań Narodowego Centrum Kultury – nie wierzymy nawet w to, że mieliśmy jako społeczność sprawczość w przeszłości. Że to dzięki wspólnemu działaniu zmieniliśmy ustrój państwa.

To ciekawy paradoks: byliśmy świadkami radykalnej transformacji porządku społecznego, a mimo to czujemy, że nie ma żadnej alternatywy, nie umiemy sobie nawet wyobrazić, że zmiana społeczna jest możliwa. To w jakiejś mierze zrozumiałe, bo nasze pokolenie wychowano w przekonaniu, że wszystko, co ważne, już się dokonało, że żyjemy w epoce „końca historii".

Pierwsze pokolenie niepodległej Polski. Nie poddaliśmy się zbyt łatwo?

Mieliśmy być pierwszym pokoleniem, które nie musi umierać w powstaniach. Naszym zadaniem było odnieść indywidualny sukces, uwewnętrznić kapitalistyczne cnoty i po prostu dobrze sobie radzić w świecie, w którym nie ma żadnej prawdziwej alternatywy dla liberalnej demokracji. Tyle że w praktyce oznaczało to również coś innego: nie musicie angażować się w politykę, uczestniczyć w debatach, działać w związkach zawodowych. Tylko wasza prywatność jest realna. Społeczeństwo jest niemiłe.

Maria Peszek śpiewała: „płacę abonament i za bilet płacę, chodzę na wybory, nie jeżdżę na gapę". Wystarczy za cały patriotyzm.

Wiesz, jako nastolatka chodziłam do eksperymentalnej, bardzo postępowej placówki, która starała się uczyć nas współpracy

eprasa.pl 66b790add1

i budowania dobrych relacji w klasie. Robiliśmy wiele rzeczy, działaliśmy w obrębie szkoły albo własnego środowiska towarzyskiego, ale nigdy nie przybierało to formy realnego zaangażowania społecznego czy politycznego.

I niedawno spotkałam nastoletnią córkę znajomych, chodzącą do zwykłego liceum. Opowiadała o tym, jak koalicja licealistów negocjuje z władzami miasta zniżki dla uczniów. I dosłownie opadła mi szczęka, bo to było całkowicie poza horyzontem mojego nastolęctwa. Nie przyszłoby nam do głowy, że można usiąść do rozmów z instytucjami, próbując wynegocjować konkretne zmiany.

Jako milenialsi byliśmy świadkami radykalnej transformacji porządku społecznego, a mimo to czujemy, że nie ma żadnej alternatywy, nie umiemy sobie nawet wyobrazić, **że zmiana społeczna jest możliwa.**

Wiesz, jakie są tego efekty? Ostatnio prezes UOKIK-u, opiniując projekt ustawy o książce, napisał, że nie wierzy, iż wydawcy mogą pracować dla społecznego dobra, w imię wyższych wartości. Przyjął za pewnik, że liczy się dla nich wyłącznie zysk.

Czyli uznał, że jedyna prawdziwa logika to logika rynkowa. A wszystko, co się w jej ramach nie mieści – kultura, sztuka, niewidzialna nieopłacana praca opiekuńcza i emocjonalna, zaangażowanie społeczne – po prostu nie istnieje.

Brakuje nam języka do opisywania tego, co robimy na co dzień, a co przeczy tej ideologii. Nie dostrzegamy relacji, które faktycznie podtrzymują nasze codzienne funkcjonowanie. Nie widzimy tych wszystkich więziotwórczych praktyk, bez których społeczeństwo po prostu nie mogłoby istnieć. Brakuje nam odpowiedniej soczewki, żeby je zauważyć.

I ja sama pewnie też bym tego tak bardzo nie dostrzegała, gdyby nie doświadczenie macierzyństwa i emigracji. Nagle zostałam wyrzucona z całej sieci najbardziej oczywistych relacji i musiałam budować je od podstaw. Dopiero kiedy trzeba stworzyć taką sieć od zera, uświadamiasz sobie, ile pracy i zaangażowania wymaga jej budowanie. Tyle że to wszystko musi pozostać nienazwane, bo nie mieści się w tym neoliberalnym wzorcu.

Chyba najwyższy czas to zmienić.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

REKLAMA

KWIATY INNYCH ŚWIATÓW

Muzeum Śląskie

FLOWERS OF OTHER WORLDS

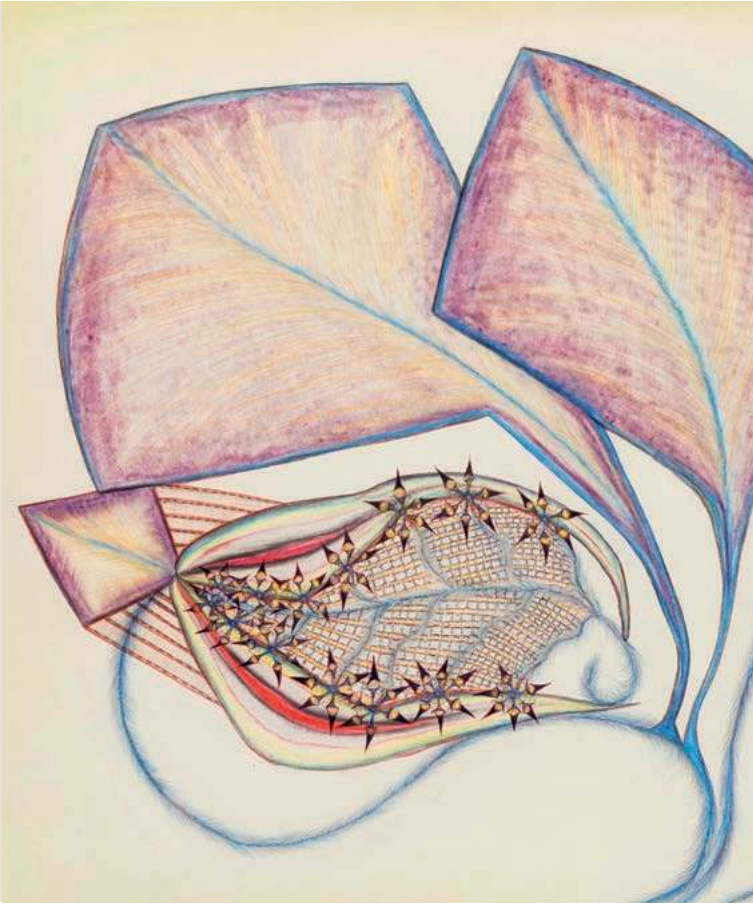

30.07–27.10.2026

Muzeum Śląskie w Katowicach / ul. T. Dobrowolskiego 1

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Województwo Śląskie
Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Muzeum Śląskie
Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl
Partner wystawy: MUO | MUZEUM UMĚNÍ OLOMOUC
Patron medialny: TYGODNIK POWSZECHNY

eprasa.pl 66b790add1

ŚWIAT

WYBÓR OSTATECZNY

Francja dołączyła do szczupłej wciąż grupy krajów w Europie, które dopuszczają eutanazję. Nowa ustawa, przyjęta po latach burzliwej batalii, napotyka mocny opór. Nie tylko z religijnych powodów.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA



Bilet powrotny? Nie ma. Cel podróży? Najczęściej Belgia i Szwajcaria. Data? Nieznana, o ile nie dotyczy znanych osób. Na przykład francuskiego reżysera Jeana-Luca Godarda, słynnego twórcy Nowej Fali.

Cztery lata temu Godard pojechał do szwajcarskiego miasteczka Rolle, aby poddać się tam tzw. wspomaganemu samobójstwu. Tam od dawna już legalnemu, ale zabronionemu nad Sekwaną. Według jego rodziny, 91-letni Godard nie cierpiał na ciężką chorobę, lecz był „po prostu wyczerpany" życiem.

Radio France Info szacuje, że w 2025 r. podobnego wyboru co Godard dokonało w Szwajcarii około pięćdziesięciorga Francuzów. Kolejnych co najmniej 110 francuskich obywateli wybrało w 2025 r. eutanazję w Belgii.

„Postęp" versus „nihilizm"

Już niedługo „ostatnie wyprawy" Francuzów za bliską granicę mają się zakończyć. Francuski parlament przyjął bowiem definitywnie 15 lipca ustawę legalizującą wspomagane samobójstwo. A także, w pewnych przypadkach, eutanazję w sensie ścisłym (patrz „Słowniczek" w ramce).

Tym samym Republika Francuska stała się ósmym państwem w Europie, które zalegalizowało eutanazję lub wspomagane samobójstwo (poza Starym Kontynentem zrobiło to kilka innych krajów, m.in. Kanada, Australia i część stanów USA).

„Wreszcie!" – obwieścił triumfalnie na pierwszej stronie lewicowy dziennik „Libération" przyjęcie tej ustawy. Zdaniem gazety, legalizacja „aktywnej pomocy w umieraniu" jest wyrazem „postępu społecznego" oraz „wybawieniem" dla nieuleczalnie chorych i cierpiących.

Oburzony decyzją parlamentu był natomiast „Le Figaro", główny konserwatywny dziennik Francji. „Nihilizm państwa", „arogancja i tchórzostwo władzy" – komentowała gazeta.

Niewielką większością

Burzliwa debata na ten temat zaczęła się cztery lata temu. Zainicjował ją w 2022 r. prezydent Emmanuel Macron, gdy, ubiegając się o reelekcję, obiecał nowe regulacje w tej dziedzinie. Niedługo potem zwołał „konwencję obywatelską w sprawie schyłku życia", złożoną z 184 wybranych losowo Francuzów. Większość członków tego gremium orzekła, że kraj dojrzał do jakiejś formy legalizacji medycznej eutanazji lub wspomaganego samobójstwa.

W efekcie ruszyła machina parlamentarna nad nową ustawą. Wprowadzono w niej „prawo do pomocy w umieraniu" – takie określenie jest w tekście. Twórcy projektu zrezygnowali ze źle kojarzących się słów „eutanazja" i „wspomagane samobójstwo".

Z biegiem czasu w parlamencie topniała przewaga zwolenników ustawy nad jej przeciwnikami. W decydującym, czwartym głosowaniu różnica między dwiema stronami była już niewielka: „za" głosowało 291 deputowanych, przeciw 241 (przy 29 wstrzymujących się).

Większość lewicy i centrum poparła projekt, przeciwne były centroprawica i prawica, łącznie ze skrajną prawicą Marine Le Pen. Jednak w tej kwestii, uznanej za głęboko etyczną i osobistą, nie obowiązywała partyjna dyscyplina. Można było zauważyć, jak wielu deputowanych z jednej czy drugiej strony sporu zmieniało zdanie w rezultacie długich debat.

Ustawa przeszła ostatecznie – mimo stanowczego oporu Senatu (ten trzykrotnie odrzucił projekt), w którym dominują

eprasa.pl 66b790add1



GEOFFROY VAN DER HASSELT / AFP / EAST NEWS

Protest przeciwników legalizacji eutanazji i wspomaganego samobójstwa podczas debaty nad ustawą we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Paryż, 12 maja 2026 r.

centrum i prawica. Bo wobec niemożności kompromisu między dwiema izbami, rząd skorzystał z konstytucyjnej furtki i ostateczną decyzję powierzył tylko Zgromadzeniu Narodowemu, izbie niższej. Taka sytuacja zdarza się rzadko – co pokazuje, jak silnie temat spolaryzował Francję.

Pięć warunków

Przyjrzyjmy się, co przewiduje nowa ustawa.

Dotąd francuskie prawo zabraniało wspomaganego samobójstwa, a eutanazję traktowało jak zabójstwo, za które groziło do 30 lat więzienia. Jednocześnie lekarze – za zgodą chorego – mieli prawo do przerwania tzw. uporczywej terapii. Oraz do zastosowania, w rygorystycznie określonych przypadkach, sedacji terminalnej (patrz „Słowniczek").

Obecna ustawa o „aktywnej pomocy w umieraniu" legalizuje wspomagane samobójstwo, a wyjątkowo także eutanazję. Ogólna zasada: chory sam przyjmuje śmiertelną substancję, dostarczoną mu przez lekarza. Jedynie w wypadku, gdy pacjent nie jest zdolny fizycznie do tego aktu, spoczywa to na personelu medycznym. Krok ten będzie się mógł odbywać w szpitalach, domach seniora, ośrodkach opieki paliatywnej lub w domu pacjenta.

Twórcy nowych przepisów bronią się, że nie chodzi w żadnym razie o „eutanazję na życzenie" (czego obawiają się przeciwnicy), i że ustawa rezerwuje prawo do „pomocy w umieraniu" dla ściśle określonej grupy chorych.

Musi być spełnionych pięć warunków: pełnoletność; bycie obywatelem Francji lub wieloletnim jej rezydentem; poważna i nieuleczalna choroba zagrażająca życiu, w stadium zaawansowanym lub terminalnym; odczuwanie cierpienia opornego na leczenie lub, w odczuciu pacjenta, niemożliwego do zniesienia; wreszcie: zdolność chorego do wyrażenia swojej woli w sposób „dobrowolny i świadomy" (wyklucza to, według tekstu, osoby o „ciężkim zaburzeniu" władz umysłowych).

Ponadto osoba musi w danym momencie sama potwierdzić prośbę w obecności lekarza (zgoda na eutanazję podpisana wcześniej przez pacjenta nie jest brana pod uwagę). Tylko łączne spełnienie przez chorego pięciu warunków umożliwia lekarską zgodę na wspomagane samobójstwo lub eutanazję.

Zapisy zbyt otwarte?

Ustawa zawiera „bezpieczniki", które mają zapobiec np. możliwym naciskom na chorego ze strony jego rodziny ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ czy lekarza. Na przykład: chory proszący o pozbawienie go życia ma – już po uzyskaniu zgody lekarza – czas (od dwóch dni do trzech miesięcy) na potwierdzenie swojej wcześniejszej prośby lub też wycofanie się z niej.

Tak jak w przypadku francuskiej ustawy aborcyjnej, ustawa o eutanazji zawiera klauzulę sumienia. Oznacza to, że każdy lekarz może odmówić prośbie chorego o skrócenie życia (w takim wypadku medyk musi wskazać inną osobę, która jest gotowa go zastąpić).

Ustawa precyzuje, że „samo cierpienie psychiczne" nie może być podstawą do prośby o skrócenie życia. Nie wszystkie ciężkie nieuleczalne choroby w stadium zaawansowanym spełniają wymienione wyżej kryteria. Na przykład wyłączona jest choroba Alzheimera ze względu na zaburzenie umysłowe w jej zaawansowanym stadium (uniemożliwiają one wspomnianą wyżej „dobrowolną i świadomą" decyzję chorego).

Tekst nie rozstrzyga jednoznacznie, czy „wybieralne" będą na przykład osoby z lekką niepełnosprawnością umysłową, jeśli cierpią one jednocześnie na ciężkie nieuleczalne choroby. Otwarte zapisy w tej kwestii niepokoją stowarzyszenia opiekujące się tymi osobami.

Nie jest też zawsze jasna definicja „zaawansowanego stadium" choroby. Tak szerokie sformułowanie otwiera furtkę do „pomocy w umieraniu" dla pacjentów, którzy mogą jeszcze żyć wiele lat (np. w przypadku niektórych nowotworów).

Śmierć godna, czyli jaka?

Jakie argumenty „za" i „przeciw" padały w debacie?

Zwolennicy ustawy powoływali się zwłaszcza na prawo jednostki do decydowania o czasie i sposobie swojej śmierci. Używali często pojęć „godna śmierć" i „współczucie". Ich zdaniem, mimo postępów medycyny paliatywnej są medyczne przypadki, gdy eutanazja lub wspomagane samobójstwo pozostają jedynym sposobem na oszczędzenie choremu nieludzkich cierpień.

Wprowadzenie „aktywnej pomocy w umieraniu" uzasadniono też demokratyczną wolą większości, wyrażoną przez wspomnianą „obywatelską konwencję".

– Uważam, że nie powinniśmy zmuszać do życia tych, którzy chcą odejść. To kwestia osobistej wolności. Znam wielu ciężko chorych opuszczonych, niepełnosprawnych, którzy ogromnie cierpią, a nie mają dostępu do opieki paliatywnej – mówi „Tygodnikowi" Monique Dugué ze Stowarzyszenia na rzecz Prawa do Godnego Umierania (ADMD), od pół wieku walczącego o legalizację eutanazji.

Dugué wyjaśnia, że jej stosunek do eutanazji wynika po części z doświadczeń osobistych: – Moja matka, cierpiąca na chorobę Alzheimera, gasła długo jak świeczka. Przez ostatnie miesiące leżała na łóżku nieruchomo, pod kroplówką. W takich sytuacjach czuje się rozdarcie między poczuciem winy z powodu myśli: „Oby to już się skończyło" a obowiązkiem opieki nad bliskim.

– Teraz mam 70 lat i jestem w dobrym zdrowiu, ale co będzie potem? Uspokaja mnie myśl, że dzięki nowej ustawie będę miała furtkę ratunkową. Nawet jak nie będę musiała z niej skorzystać – dodaje Monique Dugué.

Bunt medyków i Kościoła

Sprzeciw wobec ustawy objął we Francji bardzo różne środowiska. Na pierwszej linii są lekarze i personel pielęgniarski. Argumentują oni, że eutanazja jest sprzeczna z ich misją; niektórzy przywołują przysięgę Hipokratesa: „Nikomu, nawet na żądanie, nie dam śmiercionośnej trucizny, ani nikomu nie będę jej doradzał".

Jedną z „twarzy" tego sprzeciwu stała się 27-letnia Jeanne Amourous, pielęgniarka z ośrodka opieki paliatywnej w regionie paryskim. „To od nas – lekarzy, pielęgniarek, opiekunek medycznych – wymagać się będzie podawania pacjentom śmiertelnej substancji. Nie po to robiliśmy studia medyczne, by skracać życie pacjentom" – oburzała się Amourous w telewizji ARTE zaraz po przyjęciu ustawy.

W walkę z ustawą włączył się też francuski Episkopat, zwykle stroniący od publicznych debat. Sekundowali mu przedstawiciele innych wyznań, w tym wielki rabin Francji, Haïm Korsia i rektor Wielkiego Meczetu, Chems-Eddine Mohamed Hafiz. W kontrze do argumentu o „godnej śmierci" biskupi mówili o „godności przysługującej każdemu ludzkiemu życiu", w tym temu naznaczonemu chorobą czy niepełnosprawnością.

Przeciwnicy eutanazji wyszli na ulice w końcu czerwca: protest stowarzyszeń katolickich zgromadził 4-5 tys. ludzi. Dużo mniej, zauważmy, niż kilkanaście lat temu, gdy przez kraj przetoczyły się, ze wsparciem Kościoła, masowe protesty przeciw legalizacji małżeństw jednopłciowych.

Prawo ochroni najsłabszych?

Jezuita Albert Evrard, prawnik i wykładowca Instytutu Katolickiego w Tuluzie, komentuje dla „Tygodnika": – Uważam, że ustawa nie chroni osób słabych i wrażliwych przed możliwymi nadużyciami, a one zapłacą za nie życiem. Można się obawiać, że, jak stało się w innych krajach, z biegiem czasu kryteria dostępu do eutanazji poszerzą się, obejmą też dzieci [tak jest w Holandii i Belgii – red.] czy dorosłe osoby zdrowe, ale „zmęczone życiem".

Słowniczek kluczowych pojęć

■ **AKTYWNA POMOC W UMIERANIU** – we Francji termin prawny określający zarówno eutanazję, jak też wspomagane samobójstwo.

■ **EUTANAZJA** – pozbawienie życia osoby cierpiącej, zwykle śmiertelnie chorej, na jej żądanie. W sensie ścisłym odróżniana od wspomaganego samobójstwa (patrz niżej).

■ **SEDACJA TERMINALNA** – sztuczne wprowadzanie w stan snu pacjenta będącego w stadium agonalnym (od kilku godzin do kilku dni od spodziewanej śmierci). Wiąże się to zwykle z zatrzymaniem sztucznego odżywiania i nawadniania. Nie jest tożsama z eutanazją. We Francji sedacja terminalna jest legalna od 2016 r., za zgodą pacjenta.

■ **UPORCZYWA (DAREMNA) TERAPIA** – działania lecznicze, które podtrzymują funkcje życiowe u nieuleczalnie chorego, narażając go na dodatkowe cierpienia. We Francji od 2005 r. pacjent ma prawo odmówić takiej terapii, nawet jeśli może to skrócić jego życie.

■ **WSPOMAGANE SAMOBÓJSTWO** – akt pokrewny eutanazji, z tą różnicą, że sam chory przyjmuje śmiertelną substancję, dostarczoną mu przez personel medyczny. Niektóre kraje (np. Szwajcaria, Austria) dopuszczają wspomagane samobójstwo, ale zakazują eutanazji. ©

Opracował SZYMON ŁUCYK, na podstawie medycznych źr ódeł francuskich i polskich, m.in. czasopisma „Medycyna paliatywna".

eprasa.pl 66b790add1



STEPHANE DE SAKUTIN / AFP / EAST NEWS

PISARZ MICHEL HOUELLEBECQ, *gorzki prorok zmierzchu cywilizacji Zachodu, uważa, że legalizując eutanazję, Francja „chce dokonać jej na samej sobie". Na zdjęciu: w Paryżu, luty 2026 r.*

Duchowny uważa, że ustawa kuleje też pod względem prawnym. Że, wbrew zapisowi, nie daje gwarancji, iż chorzy będą mogli podjąć decyzję „dobrowolnie i świadomie". – Czy nie jest fikcją założenie, że osoba głęboko cierpiąca może być zdolna do takiego dobrowolnego i świadomego wyboru? – pyta o. Evrard.

Przeciw ustawie zbuntowały się niektóre katolickie placówki. Zgromadzenie zakonne Małe Siostry Ubogich, prowadzące liczne domy seniora, przed głosowaniem zapowiedziało, że w swoich murach nie będzie dokonywać wspomaganego samobójstwa ani eutanazji.

W obecnej wersji klauzula sumienia obowiązuje osoby, a nie instytucje. Kościół domaga się więc teraz wprowadzenia klauzuli kolektywnej dla swoich ośrodków medyczno-opiekuńczych.

Ten spór o klauzulę sumienia – i szerzej: o konstytucyjność niektórych zapisów – ma rozstrzygnąć wkrótce Rada Konstytucyjna. Już po przyjęciu ustawy zwrócili się do niej premier Sébastien Lecornu i marszałek Senatu Gérard Larcher, obaj przeciwni ustawie.

Decyzja Rady nie zmieni istoty rzeczy: ustawa legalizująca wspomagane samobójstwo i eutanazję ma wejść we Francji w życie w pierwszej połowie 2027 r.

Houellebecq zabiera głos

Dwa miesiące przed ustawą o prawie do eutanazji parlament przyjął – niejako dla zrównoważenia tej pierwszej – inny tekst: o programie rozwoju medycyny paliatywnej. Dziś tylko co drugi obywatel francuski w potrzebie ma dostęp do placówek z taką opieką. Ambitny plan zakłada, że w ciągu następnej dekady w każdym z setki departamentów ma powstać co najmniej jeden ośrodek opieki paliatywnej.

Pytanie tylko, jak zawsze: jak znaleźć na to pieniądze, gdy Francja tonie w długach? Czy w decydującej chwili głosowania budżetu deputowanym nie zadrżą ręce?

Pisarz Michel Houellebecq – ten wielki pesymista, gorzki prorok zmierzchu cywilizacji Zachodu, autor powieści „Unicestwianie" (gdzie francuskie domy seniora przedstawia jako „wstrętne umieralnie") – należy od lat do zagorzałych przeciwników prawa do eutanazji.

W ostatnich tygodniach pisarz, zwykle jak najdalszy od moralizowania, wiele razy zabierał głos w mediach. Alarmował, że Francja, uchwalając ustawę o „pomocy w umieraniu", „chce dokonać eutanazji na samej sobie".

Pytania fundamentalne

Tuż przed decydującym głosowaniem Houellebecq i prawnik Laurent Frémont opublikowali wspólnie tekst w tygodniku „Le Point". Dowodzą w nim, że za poparciem dla eutanazji kryje się logika buchalterskiej oszczędności: „Liczby mówią same za siebie. Umierający kosztuje, umarły – już nie".

Pomijając prowokacyjny styl i sarkazm (znaki fabryczne Houellebecqa), stawia on celne pytanie: czy i w jakim stopniu odwracamy się jako zbiorowość od ludzi starych, słabych i chorych? I jak to zatrzymać?

Powrót na czołówki mediów tych i innych fundamentalnych pytań można uznać za pożytek z francuskiej debaty o eutanazji. Debaty, która, czy tego chcemy czy nie, dotrze także do Polski.

© SZYMON ŁUCYK



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 66b790add1

Brama wojny i pokoju

MAREK KĘSKRAWIEC

BLISKI WSCHÓD | Sytuacja wokół Zatoki Perskiej jest tak napięta, a wojsk tak dużo, że do pełnoskalowego starcia brakuje właściwie tylko spektakularnego incydentu. Jeśli obie strony się nie opamiętają, zapłaci za to cały świat.

Amerykańskie naloty, powtarzające się od dwóch tygodni, oficjalnie mają zmusić Iran do zaprzestania ataków na tankowce, które próbują przepłynąć cieśninę Ormuz szlakiem obok wybrzeży Omanu, ignorując trasy wytyczane przez Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej.

Cele tych ataków układają się jednak w coraz wyraźniejszy plan. Oprócz radarów, portów, stanowisk obrony powietrznej, składów rakiet i dronów, Amerykanie bombardują też maszty telekomunikacyjne, mosty, drogi i linie kolejowe w prowincji Hormozgan. Wygląda to tak, jakby armia USA szykowała się do lądowej inwazji na wyspy w Zatoce Perskiej i na wybrzeże Iranu, a także do odparcia wówczas ewentualnego irańskiego kontrataku.

NIEUDANY PLAN | Gdyby taka inwazja faktycznie miała miejsce, nie byłaby to operacja w stylu Afganistanu czy Iraku. Nie ma mowy, by doszło do okupacji kraju pięć razy większego od Polski, w większości górzystego, którego armia od lat przygotowuje się do nieuchronnej konfrontacji z „wielkim szatanem", jak w Iranie nazywane są Stany. Byłaby to misja skazana na porażkę i liczne straty w ludziach, więc nikt, kto w Waszyngtonie zachował rozsądek, nie zlekceważy eksperckich raportów, wykluczających widok pojazdów U.S. Army na ulicach Teheranu czy Isfahanu.

Jednak wojna nie musi mieć aż tak wygórowanych celów. Zwłaszcza dziś, gdy klęskę poniósł plan, który zakładał, że po zabójstwie Alego Chameneiego i kierownictwa armii irański system się rozpadnie, bo ludzie, którzy w styczniu tego roku demonstrowali tysiącami na ulicach irańskich miast, po raz wtóry zaryzykują życiem.

Do niczego takiego nie doszło. A po śmierci 168 dzieci w szkole w Minab, trafionej pociskami Tomahawk, oraz po katastrofie ekologicznej wywołanej izraelskimi nalotami na zbiorniki ropy pod Teheranem – liczba zwolenników rozprawy z reżimem w samym Iranie radykalnie spadła.

Dziś Irańczycy nie wierzą, że USA i Izrael – gotowe atakować ludność cywilną i infrastrukturę, w tym elektrownie, a przy tym grożące zniszczeniem całej cywilizacji irańskiej – w ogóle myślą o prawach człowieka.

ZMIANA NASTROJÓW | Z moich rozmów z Irańczykami z Teheranu wynika, że w kraju panuje ciężka atmosfera. Ludzie przeciwni islamskiej republice są zniechęceni, wielu straciło pracę w wyniku kryzysu wojennego, wielu czuje się jak w pułapce i nie ma nadziei na lepsze życie.

Jedna z aktywistek opowiadała mi o kłótni ze swym przyjacielem, który wziął udział w propagandowym pogrzebie Alego Chameneiego – choć wcześniej, w styczniu, stracił brata, który został zastrzelony podczas demonstracji. Dziś jednak wybrał stronę ówczesnych przeciwników.

Atmosfera w Iranie determinuje postawę tamtejszych władz, które po zawarciu w połowie czerwca poniżającego dla USA memorandum, mającego zakończyć ostrą fazę konfliktu, widziały się na wygranej pozycji. W związku z tym przygotowywały już nawet system opłat za bezpieczną przeprawę przez cieśninę Ormuz. W tyle głowy miały zaś zapewne przekonanie, iż Ormuz stał się przetestowaną w boju „bramą", którą zawsze można zamknąć, paraliżując światową gospodarkę.

USA GROMADZĄ SIŁY | Jednak dla Stanów, których potęga zasadza się na petrodolarze i gwarantowanej przez armię swobodzie żeglugi na świecie, taki irański szantaż jest nie do przyjęcia. I to nawet jeśli administracja Trumpa uznaje pewien rodzaj kontroli Iranu nad wodami Zatoki Perskiej po tym, jak Persowie nie dali się złamać Ameryce i wydrenowali jej magazyny najnowocześniejszej broni.

Konfrontacyjna postawa władz – ajatollaha Modżtaby Chameneiego (o ile on żyje), dowództwa Korpusu Strażników Rewolucji, prezydenta Masuda Pezeszkiana i szefa negocjatorów Mohammada Ghalibafa – zmusza dziś jednak Waszyngton do co najmniej przywrócenia równowagi.

Nie przypadkiem w ostatnich dniach Teheran opuścili dyplomaci Francji, Niemiec i Wielkiej Brytanii. Nie przypadkiem też w krajach wokół Iranu zgromadzono ponad 50 tys. żołnierzy USA, wśród których są siły specjalne i cały korpus *marines*. A przede wszystkim dwie grupy lotniskowców z kilkunastoma niszczycielami, okrętami podwodnymi i okrętami walki przybrzeżnej, nie wspominając o ponad 250 samolotach bojowych. W ostatnich dniach do regionu przerzucono też 150 lekarzy i szpitale polowe. To może być symboliczne.

SCENARIUSZE INWAZJI | Wiele wskazuje na to, że desant na wybrzeże Iranu, który miałby zarazem odciąć dowództwo w Teheranie od irańskich oddziałów na południu (przez zniszczenie infrastruktury transportowej na lądzie), może nastąpić w każdej chwili.

Zadanie to bardzo ambitne. Wojskowi stratedzy twierdzą, że Amerykanie musieliby sparaliżować perską obronę w promieniu ok. 120 km, by móc w ogóle myśleć o wysadzeniu większych wojsk na terytorium kraju, który ma ogromną armię, tradycje państwowości sięgające 2,5 tys. lat i wyjątkową niechęć do obcych ingerencji.

To zaś oznacza, że nawet jeśli udałoby się początkowo stłamsić Irańczyków jednoczesnymi atakami na cele wojskowe i zastraszającymi nalotami na największe miasta, pozostaje pytanie, co dalej. Czy cofanie Iranu „do epoki kamienia" złamie opór władz, które ledwie pół roku temu przetrwały największy w historii islamskiej republiki bunt społeczny? Czy w takiej sytuacji Teheran się podda?

eprasa.pl 66b790add1

Można przeczytać w tej sprawie dziesiątki wnikliwych analiz, ale wnioski z nich nie są czytelne. W najbardziej optymistycznym dla świata wariancie Amerykanie przeprowadzają spektakularny, ale ograniczony atak, który będzie kubłem zimnej wody na rozpalone głowy ajatollahów i dowódców Korpusu Strażników, i zmusi ich do powrotu do negocjacji, których dziś Teheran unika.

CENA DLA ŚWIATA | Nie jest to jedyny scenariusz. Jeśli przywództwo Iranu nie da się złamać i nie zostanie zabite (zapewne w razie gwałtownej eskalacji Amerykanie spróbują zrobić to samo, co uczynili już na początku wojny, wtedy wraz z Izraelczykami) lub sprawnie zastąpione – to nie sposób wyobrazić sobie, co mogłoby nastąpić później. A może inaczej: można sobie wyobrazić niemal wszystko.

Szansą Teheranu, gdyby zdecydował się na pełnoskalową wojnę – mimo postępujących, degradujących militarnie i cywilizacyjnie nalotów ze strony USA – byłaby maksymalizacja kosztów drugiej strony. A tak naprawdę całego świata, który będzie się szybko mierzył z ceną ropy szybującą w stronę 150 dolarów za baryłkę.

Nawet jeśli Amerykanie zajmą wybrzeże, muszą w końcu zawrzeć jakiś kompromis. Nie da się odblokować cieśniny Ormuz na dłużej bez rozejmu, pokoju lub kapitulacji przeciwnika (i jego sojusznika w postaci Hutich, grożących blokadą tzw. Bramy Łez na drodze do Suezu). Żadna firma ubezpieczeniowa nie zawrze umowy z armatorem tankowców, jeśli będzie istnieć niebezpieczeństwo ataku dronem czy ręczną rakietą.

WOJNA SZARPANA? | To nie muszą być zresztą nieustanne ataki – wystarczy skuteczne uderzenie raz na kilka dni, aby liczba chętnych do przeprawy przez Ormuz spadła do wąskiego grona desperatów. Takie działania zaś, w rozległym regionie pełnym skał, ukrytych tuneli i ludności, której nie da się w pełni kontrolować, jest niemal pewne.

Mało tego, przez Ormuz coś musi płynąć. Tymczasem najprostsze, co w scenariuszu desperackiej obrony Iranu można sobie wyobrazić, to ciągłe salwy rakietowe wymierzone w infrastrukturę naftową i gazową oraz w odsalarnie wody w regionie Zatoki Perskiej; od tych ostatnich zależy wprost życie ludności państw arabskich. Skoro zezwoliły na amerykańskie ataki z baz na swoim terytorium, to zdaniem Teheranu są legalnym celem.

Nie do końca wiadomo, jak mocno zniszczone zostały podziemne oraz mobilne wyrzutnie irańskich rakiet balistycznych (dane wywiadu USA mówią o eliminacji maksymalnie 30 proc.). Ale pewne jest, że mimo wysokiej skuteczności obrony przeciwlotniczej państw Zatoki, Iran udowodnił, iż przy gęstych nalotach jest w stanie skutecznie przedzierać się przez wspomagane przez USA „tarcze" nad Bahrajnem, Kuwejtem i Jordanią, niszcząc też mocno infrastrukturę i sprzęt w bazach USA.

IZRAEL: JEDYNY WYGRANY | Ataki na sąsiadów Iranu (wyłączono z nich chwilowo Emiraty i Arabię Saudyjską) musiałyby przynieść w końcu arabski odwet, jakiego dotychczas zwłaszcza małe kraje Zatoki próbowały unikać. Jednak w sytuacji zagrożenia ruiną gospodarczą i exodusem ludności pozbawionej wody, to może być jedyna opcja.

Wtedy jednak mielibyśmy cały ten region w ogniu – i straty w infrastrukturze energetycznej, których naprawa potrwać może ponad dekadę. Na to świat nie może się zgodzić, więc wszystkie ważne kraje będą dążyć do deeskalacji.

Na dziś wszyscy w tej wojnie są przegrani. Wszyscy – poza Izraelem, który, wciągając Donalda Trumpa w wojnę, doprowadził do osłabienia Iranu, swojego największego wroga. Samemu ponosząc przy tym umiarkowane straty – i mając teraz w swoim sąsiedztwie zszokowane irańskim odwetem, osłabione kraje arabskie.

ATOMOWA ARABIA? | Tym zaś zostały dwa wyjścia. Albo pójdą na układ z Iranem, błagając go o pokój (ale bez gwarancji, co zrobią USA), albo staną się autokracjami totalnie uzależnionymi od pomocy Stanów. Zmuszających je do normalizacji stosunków z Izraelem wbrew własnym obywatelom, za to w zamian za pewne koncesje, np. technologię jądrową, wraz ze zgodą na wzbogacanie uranu przez Królestwo Saudów (o ile będzie gdzie te reaktory w ogóle bezpiecznie budować).

Cokolwiek w najbliższych tygodniach nastąpi, Bliski Wschód za rok już nie będzie taki sam. Tamto *status quo* sprzed 28 lutego jest niemożliwe do przywrócenia. ©℗

Tekst ukończono 24 lipca.



Pogrzeb Alego Chameneiego i jego rodziny, zabitych 28 lutego w nalocie izraelsko-amerykańskim, stał się wielką prorządową manifestacją. Teheran, 6 lipca 2026 r.



ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES

Według jednych zasypia, według jego otoczenia tylko przymyka oczy i nadal uważnie słucha: Donald Trump w Gabinecie Owalnym podczas ogłoszenia obniżki cen leków na odchudzanie. Waszyngton, 6 listopada 2025 r

Sędziwe głowy władają Ameryką

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | 80-letni Donald Trump to tylko jeden z przejawów amerykańskiej gerontokracji. Gdzie nie spojrzeć, w Stanach rządzą ludzie z pokolenia boomersów, wyżu demograficznego po II wojnie światowej. Jakie ma to skutki?

Czerwcowy poniedziałek, trwa trzeci mecz finału ligi NBA: koszykarze z New York Knicks mierzą się z drużyną San Antonio Spurs. Donald Trump, śledzący to spotkanie w hali Madison Square Garden, je kawałek pizzy złożony w pół – tak jak przystało na Nowojorczyka. Innym razem kamery pokażą, jak z miną zadowolonego chłopca pochłania frytki, jedna za drugą, z papierowej tacki.

Uwadze mediów nie umykają nie tylko upodobania kulinarne Trumpa, niezbyt zdrowe, ale też chwile, gdy przymyka na dłużej oczy, jakby walczył z sennością. Takie sytuacje zdarzały mu się już wielokrotnie w Gabinecie Owalnym. Nie szukając daleko: cztery dni przed nowojorskim meczem, gdy siedział na krześle przechylony na bok, z zamkniętymi oczami – w czasie, kiedy podwładni opowiadali reporterom o inwestycjach w przemysł węglowy.

Medyczny ogląd Trumpa

W takich sytuacjach otoczenie prezydenta zwykło twierdzić, że 80-letni szef wcale nie zapada w drzemkę, lecz tylko przymyka oczy i rzecz jasna uważnie słucha swoich rozmówców. Biały Dom ma też gotowe wytłumaczenie, gdy kamery uchwycą posiniaczone dłonie Trumpa: fioletowe plamy na skórze, maskowane makijażem, mają być efektem częstych uścisków dłoni i codziennego zażywania aspiryny (zmniejsza to ryzyko zakrzepów, pomaga w profilaktyce zawału serca i udaru mózgu).

Gdy z kolei w zeszłym roku media zainteresowały się opuchniętymi kostkami prezydenta, rzeczniczka Białego Domu zapewniała, że to efekt przewlekłej, ale nieznaczącej niewydolności żylnej, a nie jakichś bardziej poważnych schorzeń.

Co na to lekarze? Według najnowszego raportu medycznego, ważący 108 kilogramów Trump powinien co prawda schudnąć, ale ogólnie „cieszy się doskonałym

eprasa.pl 66b790add1

zdrowiem" – z uwagi na dobry stan serca, płuc, układu nerwowego i sprawność fizyczną.

W ramach badań okresowych, które odbyły się pod koniec maja, prezydent miał przejść m.in. kompleksowy ogląd neurologiczny, w tym badanie w kierunku depresji i zaburzeń lękowych. Nieprawidłowości nie stwierdzono też podczas testu na zaburzenia funkcji poznawczych.

Buty dla Bidena

Takiego testu nie przeprowadzono natomiast ani razu u poprzedniego prezydenta, Joego Bidena – choć w momencie objęcia urzędu, w styczniu 2021 r., miał już 78 lat.

To, w jakim stanie fizycznym i psychicznym był Biden pod koniec swojej prezydentury, pokazało jego wystąpienie podczas debaty telewizyjnej w czerwcu 2024 r. Było dla niego katastrofalne: w starciu z Trumpem, transmitowanym na żywo, Biden mamrotał, gubił wątki i zacinał się. To ostatecznie pogrzebało jego szanse na reelekcję.

Przy okazji sprowadziło też krytykę na dziennikarzy – za to, że wcześniej nie dociekali zbytnio, w jakim stanie jest Biden. Choć powinno ich zastanowić, dlaczego np. rzadziej od Trumpa i innych poprzedników organizował konferencje prasowe i udzielał wywiadów.

Niektórzy jednak dociekali. W drugiej połowie kadencji Bidena portal Axios zwracał uwagę na kilka szczegółów: że ze śmigłowca Marine One wychodzi on zawsze w otoczeniu współpracowników, asekurujących go, oraz że coraz częściej nosi specjalne sportowe buty, które pomagają zachować równowagę.

Czy to tylko osobowość?

Doświadczenia związane ze zdrowiem Bidena – oraz inne, wcześniejsze przypadki w historii USA, gdy ukrywano stan zdrowia prezydentów (np. Johna F. Kennedy'ego, który prezentował młodzieńczy wręcz wizerunek, choć, jak dziś wiemy, był bardzo schorowany) – sprawiają, że Amerykanie nie ufają oficjalnym komunikatom.

W czerwcowym sondażu Quinnipiac University prawie 60 proc. respondentów deklarowało, że ich zdaniem Biały Dom nie mówi całej prawdy o zdrowiu obecnego prezydenta. Niemal tyle samo – według innego badania – uważało, że Trump z wiekiem stał się nieobliczalny.

To, że Donald Trump ma emocjonalność nastolatka, wiadomo od dawna: szybko się niecierpliwi, potrzebuje ciągłej uwagi otoczenia i wybucha gniewem, gdy nie dostanie tego, czego chce. Być może stąd jego impulsywne wpisy w social mediach, ataki na dziennikarzy i generalnie ubliżanie wszystkim tym, którzy ośmielą się go skrytykować.

W ostatnich miesiącach przybywa jednak zachowań, które nawet według standardów Trumpa wydają się niepokojące.

Nocne posty na Truth Social

Oto ten sam prezydent, który w ciągu dnia walczy z sennością w Gabinecie Owalnym, potrafi w ciągu jednej nocy napisać i udostępnić w swoim serwisie Truth Social nawet 160 postów – z czego wiele pełnych jest teorii spiskowych i gwałtownych ataków na oponentów.

W kwietniu cały świat łapał się za głowę, gdy Trump groził zniszczeniem irańskiej cywilizacji, jeśli Teheran nie odblokuje cieśniny Ormuz. Kilka dni później wzbudził oburzenie nawet wśród części zwolenników, gdy opublikował grafikę, sporządzoną przy pomocy sztucznej inteligencji i przedstawiającą go jako Jezusa uzdrawiającego chorego. Jeszcze innym razem upublicznił obraz, na którym siedzi na złotym tronie w stroju papieża.

Ostatnio stan psychiczny Trumpa kwestionują nie tylko politycy Partii Demokratycznej i zabierający głos psychiatrzy (wielu z nich od lat diagnozuje go na odległość jako narcyza i socjopatę), ale też jego niegdysiejsi sojusznicy – jak była kongresmenka Marjorie Taylor Greene czy siewca teorii spiskowych Alex Jones. Z kolei Ty Cobb, prawnik Białego Domu za pierwszej kadencji Trumpa, stwierdził, że nocne posty prezydenta jedynie potwierdzają „skalę jego szaleństwa i zdeprawowania".

Gerontokracja w USA

W reakcji na wspomnianą kwietniową szarżę Trumpa w social mediach wśród Demokratów odżyły apele, by usunąć go z urzędu na podstawie 25. poprawki do konstytucji USA. To wymagałoby jednak współpracy ze strony wiceprezydenta J.D. Vance'a i większości członków rządu, którzy musieliby stwierdzić, że prezydent nie jest w stanie dalej wykonywać swoich obowiązków.

Taką diagnozę mogłaby również postawić specjalna komisja parlamentarna. Jednak jest to scenariusz równie nierealny jak opcja pierwsza – gdyż ustawę Kongresu powołującą takie gremium mógłby zawetować główny zainteresowany, czyli Trump.

W tym momencie warto się zastanowić, jak do tego doszło, że Stany stały się w istocie gerontokracją – systemem, w którym, zgodnie z definicją (pojęcie to łączy greckie słowa „*gérōn*" i „*krátos*", starzec i władza), stery trzymają głównie seniorzy. Bo nie tylko władza wykonawcza (Biały Dom), ale też ustawodawcza (Kongres) i sądownicza są w dużej mierze kontrolowane przez ludzi w wieku senioralnym lub nawet bardzo już zaawansowanym.

Biden noszący specjalne buty albo nieprzewidywalny Trump – to wierzchołek góry lodowej. Średnia wieku członków Kongresu to dziś prawie 59 lat, a sędziów federalnych 69 lat. Ani jedni, ani drudzy nie spieszą się z przejściem na emeryturę. Telewizja NBC News wyliczyła, że ponad połowa tych członków Kongresu, którzy mają powyżej 80 lat, ubiega się o reelekcję w listopadowych wyborach (tzw. połówkowych).

Na urzędzie aż do śmierci

Co to oznacza w praktyce? Kilka przykładów.

Jeśli Jim Risch, urodzony w 1943 r. republikański senator ze stanu Idaho, zdobędzie w listopadzie kolejną kadencję, będzie sprawować swój urząd niemal do dziewięćdziesiątki. Nie będąc wyjątkiem – w Senacie zasiadają dziś starsi od niego.

Najstarszy urzędujący senator Chuck Grassley ma 92 lata. Inny prominentny Republikanin, Mitch McConnell, ma 84 lata, a funkcję senatora pełni przez niemal połowę swojego życia. Ostatnio stał się on zresztą bohaterem zdrowotnych spekulacji w Waszyngtonie: McConnell trafił do szpitala, po czym przepadł bez wieści na prawie miesiąc, co napędzało domysły, czy w ogóle żyje.

Rzecz dotyczy nie tylko Republikanów. Kilka lat temu głośny był przypadek 90-letniej Dianne Feinstein, senatorki z Kalifornii z ramienia Partii Demokratycznej, która nie chciała odejść ze stanowiska przed upływem kadencji, choć miała poważne problemy z pamięcią. ↦

eprasa.pl 66b790add1



J. SCOTT APPLEWHITE / GETTY IMAGES

Dianne Feinstein, senatorka z Partii Demokratycznej, w otoczeniu asystentek na posiedzeniu senackiej komisji sądownictwa, maj 2023 r. Feinstein nie chciała odejść z Senatu mimo kłopotów z pamięcią i częstych nieobecności na obradach komisji, przez co nie mogła ona rozpatrzyć wielu nominacji sędziowskich Joego Bidena. Senatorka zmarła we wrześniu 2023 r., w wieku 90 lat.

↦ Ostatecznie jej urzędowanie przerwała śmierć.

Nie inaczej było z Ruth Bader Ginsburg, słynną liberalną sędzią Sądu Najwyższego. Zmarła w wieku 87 lat, na półtora miesiąca przed wyborami prezydenckimi w 2020 r., co wykorzystał Trump, wysyłając do Sądu Najwyższego swoją konserwatywną nominatkę. To przechyliło ideologiczny układ sił w tym gremium na korzyść amerykańskiej prawicy.

Niektórzy twierdzą, że gdyby nie upór Ginsburg, by trzymać się uparcie urzędu, to kobiety w USA nie straciłyby federalnego prawa do aborcji na życzenie. W 2022 r. zniosła je bowiem konserwatywna większość w Sądzie, „sprezentowana" w zasadzie przez feministkę Ginsburg.

System, który sprzyja trwaniu

Dlaczego sędziwi Amerykanie i Amerykanki mogą w ogóle tak kurczowo trzymać się urzędów? Jest to możliwe ze względu na brak górnego limitu wieku dla osób je sprawujących. W przypadku sędziów federalnych kadencja ma charakter dożywotni. Coraz częściej słychać głosy, że ma to złe skutki dla amerykańskiego państwa i społeczeństwa, i że potrzebne jest wprowadzenie obostrzeń dotyczących wieku.

Tym bardziej że polityk, który raz dostanie się do Kongresu, ma potem ułatwione zadanie, aby trwać na stanowisku członka Izby Reprezentantów czy Senatu bez końca, wygrywając kolejne wybory.

Dzieje się tak dlatego, że taki polityk zwykle nie ma poważnej konkurencji. Jeśli reprezentuje bowiem okręg będący tradycyjnym bastionem Partii Republikańskiej lub Partii Demokratycznej, to jego jedynym zadaniem jest odtąd pokonywanie w kolejnych prawyborach kandydata z własnej partii. Ten zwykle jest mniej znany i ma gorszą siatkę darczyńców, co w amerykańskiej polityce jest sprawą fundamentalną.

> Nie tylko Biały Dom, ale także Kongres i władza sądownicza są kontrolowane w dużej mierze przez ludzi **w wieku mocno senioralnym.**

W takim systemie kolejny etap wyborów, czyli ostateczny bój o miejsce w Kongresie, staje się w większości przypadków tylko formalnością.

W USA jeszcze trudniej jest startować w wyborach prezydenckich, gdzie potrzebne są naprawdę duże pieniądze i rozpoznawalność w skali kraju. Tu znów łatwiej mają politycy zasiadający już w Kongresie – lub tacy ludzie jak Trump. Przez 11 lat prowadził on telewizyjne *reality show* „The Apprentice", którego uczestnicy rywalizowali o posadę w imperium deweloperskim Trump Organization. Ogłaszając start w wyścigu o Biały Dom w 2015 r., był więc już znany, a do tego miał dostęp do pieniędzy, by opłacić kampanię.

Między pokoleniami

Zjawisko gerontokracji nie ogranicza się w USA do polityki. Boomersi, czyli osoby z pokolenia wyżu demograficznego po II wojnie światowej (przyjmuje się tu przedział lat 1946-1964), zajmują nadal wysokie stanowiska także na uczelniach i na czele dużych amerykańskich firm. Ułatwiło to zniesienie w 1986 r. obowiązku przejścia na emeryturę w wieku 70 lat.

W efekcie starsi Amerykanie mogą dłużej cieszyć się swoją pozycją społeczną i statusem materialnym. W dużej mierze, przyznajmy, zdobytymi zresztą własną ciężką pracą w czasach, gdy *American Dream* był bardziej osiągalny niż obecnie.

Jak duża przepaść dzieli dziś młodsze i starsze pokolenia, pokazuje dobrze analiza ekonomisty Edwarda N. Wolffa. Podczas gdy w 1983 r. majątek amerykańskich gospodarstw domowych, prowadzonych przez osoby w wieku co najmniej 75 lat, był o 5 proc. wyższy od średniej krajowej, to w 2022 r. było to już 55 proc. (można to tłumaczyć m.in. wzrostem wartości domów i innych zasobów inwestycyjnych posiadanych przez seniorów).

Trump i inni

I tutaj wracamy do polityki. Bo jeśli starsi Amerykanie są statystycznie bardziej majętni (choć absolutnie nie jest to żadna reguła), to niektórych z nich stać na finansowanie kampanii tych kandydatów, którzy obiecują korzystne dla boomersów zmiany, jak obniżenie podatków dla zamożniejszych.

Samuel Moyn, profesor Uniwersytetu Yale i autor wydanej niedawno książki „Gerontocracy in America" przekonuje, że jeśli Stany są oligarchią, to jest to taka oligarchia, w której zasoby materialne i władzę trzymają w rękach ludzie starsi.

Jeśli dać się ponieść takiej tezie, Donald Trump byłby „tylko" emanacją zjawiska – jedną z wielu wpływowych sędziwych głów w Ameryce. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

eprasa.pl 66b790add1

ELIZA

Kącka: *Pani się nie stawia*



Autobus 116, jazda wieczorna na Mokotów. Blisko, w przegubie autobusu, trzech dwudziestolatków z kebabami, uchichranych. Starsza z siedzenia przy mnie: „Panowie, z jedzeniem się nie jeździ!". Pierwszy: „Ale to kebab". Starsza do mnie: „Wie pani, co to za mania? Wnuczek tylko czeka, aż mu ojciec kebaba kupi. Nie chce do babci na schabowe". Trójka śmieje się z aplauzem. „Jakaś mania. Słucha pani: ostatnia niedziela. Obiad zawsze u mnie po kościele. A ten płacze, że chce kraftowe rzeczy. Czyli kebaby?". Drugi się ożywił: „Kraft to jak dają własne mięso, nie mielonkę". Starsza: „To jakiś bełkot: własne. Sami świnie hodują?". Trzeci: „Że lokal sam się zajmuje mięsem". „Też się sama zajmuję mięsem". Pierwszy: „Dajesz babcia krafta!". Śmieją się. Drugi: „Wnuk się cieszy, że babcia kulki nie skrawa". Starsza: „Kulki? Skrawa? Słyszy to pani?!". Ja: „Aha". „To jakiś burdel! A mój syn niewinne dziecko tam prowadza".

Bus do Olsztyna, ciasno i upalnie na drodze z Lidzbarka. A że toczymy się powoli na zakrętach, laser słoneczny ma czas na długie operacje. Znów dostaję po oczach. Przystanek w Dobrym Mieście, wymiana walut ludzkich. Starszy, na oko po siedemdziesiątce, przychyla się ku mnie: „Pani mruży oczy jak mój dzieciak. Nigdy nie chciała nosić okularów słonecznych". „Też rzadko używam". Westchnął: „Jaki dobry czas był kiedyś. Wiem, ludzie zawsze tak gadają, ale był. Żona żyła, córka nie chorowała. Wszystko się zeszło z początkiem tej przeklętej wojny". „Ech". „Żona zmarła, córka – diagnoza raka. I cień Putina na tym wszystkim". „Ciemny czas". „Miałem sen wczoraj. Szedłem w stronę domu z zakupami. Ludka zaczęła mrużyć oczka, jak zwykle. I raptem: »Boli, tatuś!«. Pytam, co boli. »Głowa, bardzo«. Wyprzedziła mnie, znikła za zakrętem. Przyspieszyłem w przeczuciu złego. Stanąłem na górce i zobaczyłem dom mój wypchany ludźmi; aż napierali na okna. Ludka biła piąstkami w drzwi ganku. »Córciu, nie wchodź!«. Porzuciłem siaty, biegłem. Wpuścili ją! Co to był za widok. Okrążałem dom, błagałem, by mnie też wzięli, ale chyba zabrakło już miejsca, nie mogłem się dopchać". „Straszne". „Wiedziałem, że w środku, pewnie w piwnicach jest żona. I że to koniec. Wie pani, oni tam wszyscy wskoczyli, by zginąć. Pojąłem to we śnie". „Uhm". „Pamiętam obraz kolejnego okrążenia: ciał ludzkich rozpłaszczonych na szybach, miny sąsiada, który z piętra prosił mnie spojrzeniem o ratunek, a ja nic nie mogłem. Odwróciłem twarz, by nie oszaleć. Obudziłem się z uciskiem w piersi". „Nic dziwnego". „Przestałem lubić mój dom. Myślę, że ich uwięził, wszystkich". „Aha". „Ludki nie obroniłem. Ani przed chorobą, ani przed śmiercią tam we śnie...". „Nie mógł pan". „To nic nie zmienia. Jak przyjdzie wojna, chcę się w nią rzucić. Rzucić się w wojnę. Chyba tylko tak się ułożę. Z tym snem".

Lidzbark Warmiński, kolejka w aptece, rozmowy. Dwie po pięćdziesiątce. Pierwsza: „Tak pani nic nie załatwi". Druga: „No to co mam robić? Tylko prawnik zostaje". „Prawnik? Jeszcze czego!". „No to co...?". „Dogadać się". „Ja się nie będę dogadywać". Starsza kiele osiemdziesiątki zza moich pleców: „Pani młoda, mało żyje. Ja długo, dużo. To pani powiem: pani się nie stawia, dogada". Pierwsza: „Nie opierać się, nie kombinować". Aptekarka od półki: „Święte słowa, dogadać się". Starsza: „Ustąpić, nie wdawać się w awantury". Druga: „Ja chcę tylko rozwiązania". Starsza: „No to je pani ma: ustąpić. Mężem się zająć". Pierwsza: „Ototo". Starsza: „Tu się tak żyje: trzeba z ludźmi być, ustąpić". Pierwsza: „Nie jeżyć się". Stara: „Jeży się młode, głupie. Potem ustępuje. Pani tych prawników cofnie. Z ludźmi nie drażnić się, tylko dogadać".

Tramwaj 16, jazda ku Śródmieściu. Na pokładzie ja, obok gość w moim wieku z tobołkiem książek. Po lewej ojciec z córeczką. Za nami ruchomy skład stojących, rotujących co minutę przy kasownikach. Zakręt ze Zbawiciela ku Politechnice, a tu raptem wrzask. Głos żeński: „Pan się nie tyka moich pleców!". Głos męski: „Ja tylko chciałem pokazać...". „Pan uważa. Mam odruch, tak powiem. Jakbym użyła odruchu, to bym panu wybiła oko". „Dobra". Toczymy się kilka metrów ku stacji metra. Głos żeński nie ustaje: „No i pan mi obudził odruch, tyle powiem". Czuję, że ktoś mi się przygląda. „Pani się zdaje, że pani nie widzi, że ja widzę". „Że mnie?" – pytam. „A tak, pani sobie notuje i siedzi, i myśli, że ja nic". „Ależ ja nic nie oczekuję". „Nie no, zupełnie nic. A klepnąć panią?". Myślę. „No proszę". I dostałam w ramię, lekko. Uśmiecham się. Patrzy się na mnie badawczo: „Co się pani tak śmieje?". „Taki odruch". I widzę, że uśmiecha się serdecznie. Wyskakuje przy Hożej.

Tramwaj 14, dwie kiele sześćdziesiątki. „Pani się córki niepotrzebnie czepia. Ślub, emocje. Można psa pobłogosławić". „Księdza się czepiam". „Eee tam, jak jajka można poświęcić...". „O! Poświęcić, nie pobłogosławić". „Co pani tak skarbi tych błogosławieństw? Limit jakiś?". „Tak, to Boga obraża". „Błogosławienie pieskom?". Włącza się gość z sąsiedniego, z jamnikiem na kolanach: „Co pani ma do psów?". „Nie są do Boga podobne". „A pani jest? To już Tuptuś bardziej". „Ten tramwaj bluźni". „Może. Ale niech pani spojrzy, jakie on ma oczka. Ja tam bym chciał takie". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl 66b790add1

WIARA

JEDNA LITURGIA, WIELE KULTUR

Pod złotą kopułą szczecińskiej Cerkwi św. Mikołaja krzyżują się losy Polaków, Ukraińców, Greków, Gruzinów, Rosjan i Białorusinów. Szczecińska parafia prawosławna, świętująca swoje 80-lecie, to jedna z najbardziej wielokulturowych parafii w Polsce.

MARTA ZABŁOCKA



MATERIAŁY PRASOWE

Trzy dekady temu losem ks. Pawła Stefanowskiego pokierował sen. Śniącym był ówczesny ordynariusz diecezji wrocławsko-szczecińskiej Jeremiasz Anchimiuk, późniejszy arcybiskup. – Opowiedział mi o swojej wizji. Wynikało z niej, że moim przeznaczeniem jest Szczecin. Wraz z żoną Olgą mieliśmy wtedy zupełnie inne plany związane z Nowym Jorkiem. Ona miała studiować tam bizantynologię, ja teologię. Arcybiskup cofnął zgodę na mój wyjazd do USA – wspomina duchowny.

I tak marzenie senne biskupa pokierowało drogą młodego małżeństwa. 8 grudnia 1996 r. ks. Paweł przyjął święcenia kapłańskie we wrocławskiej katedrze, a w kilka dni później, 19 grudnia, w dniu święta parafialnego, po raz pierwszy uczestniczył w nabożeństwie w szczecińskiej parafii, którą kieruje do dziś.

– Na początku szukałam centrum, tradycyjnego Starego Miasta i rynku, których Szczecin po prostu nie ma – mówi matuszka Olga Wasienko-Stefanowska, wspominając swoje pierwsze zderzenie z miastem. Rozmowę przerywa nam dzwonek. Matuszka zrywa się, by otworzyć drzwi, w których stoi jedna z parafianek. Szept kobiet nie dociera do naszych uszów.

Drewniany budynek stojący jakieś 20 kroków od cerkwi pełni podwójną funkcję – jest domem parafialnym i mieszkaniem Stefanowskich. Drzwi do niego są stale otwarte dla każdego.

– Z zasady przychodzą do nas ludzie w potrzebie i nie mam na myśli wyłącznie potrzeb materialnych. Ludzie mogą być szczęśliwi, ale biedni. Mogą być bogaci, ale nieszczęśliwi. Zazwyczaj jest jakiś dysonans, jakaś ukryta potrzeba – mówi matuszka Olga, wracając do rozmowy. – Mamy świadomość, że nasz dom ma właśnie im służyć. Zdecydowana większość odwiedzających nie przekracza tego progu po to, by podzielić się z nami energią do dalszej pracy. Tę siłę zazwyczaj musimy zdobywać sami – dodaje.

Moi rozmówcy przyznają, że trudno im oddzielić prywatność od obowiązków duszpasterskich. Stała dostępność sprawia, że parafianie chętnie szukają wsparcia u Stefanowskich. Widząc w nich zgrane małżeństwo i doświadczonych rodziców, łatwiej im zaufać i otworzyć się przed nimi. To jednak ma swoją cenę, którą – jak przyznają – płacą życiem rodzinnym. – Trudno powiedzieć, czy podjąłbym się tego zadania raz jeszcze z wiedzą, którą mam obecnie. To nie była prosta droga, a budowa cerkwi kosztowała nas najwięcej sił – wyznaje ks. Paweł.

Odzyskana radość

Świątynia to cel, który powinien przyświecać każdej wspólnocie, stąd determinacja proboszcza i jego parafian. Gdy Stefanowski rozpoczynał swoją misję,

eprasa.pl 66b790add1



Święto parafialne w Cerkwi św. Mikołaja w Szczecinie

liturgię odprawiano na drugim piętrze ceglanego budynku na ul. Wawrzyniaka 7. Stanowi on część XIX-wiecznego ewangelickiego kompleksu opiekuńczo-szpitalnego Betania. W ocenie proboszcza „tamto miejsce utrudniało radość spotkania z Bogiem", gdyż nie spełniało wielu religijnych wymogów architektonicznych, uniemożliwiając m.in. tradycyjną orientację ołtarza ku wschodowi.

– Mieliśmy duże trudności z przeprowadzeniem procesji wokół świątyni, bo tuż przed wejściem była kratka ściekowa. Kładliśmy na nią dywanik i krzyż, wokół którego chodziliśmy w kółko. Ale procesja wokół tego krzyża wiązała się z mijaniem za każdym razem śmietnika – wspomina proboszcz. Dodaje, że w bezpośrednim sąsiedztwie, bo piętro niżej, swoje nabożeństwa w tym samym czasie prowadził Zbór Kościoła Zielonoświątkowego, co przez obecność głośnych instrumentów muzycznych zakłócało „rytm i intymność nabożeństw prawosławnych".

Pragnienie posiadania własnej cerkwi towarzyszyło już pierwszym parafianom, którzy w późnych latach 40. spotykali się na liturgii w jednym z mieszkań w kamienicy przy ul. Bogusława 14, w centrum Szczecina. Starania o pozwolenie na budowę podejmowano przez kolejne dekady, ale przełom przyniósł dopiero początek nowego stulecia. Budowa trwająca blisko osiem lat oparta była niemal w stu procentach na datkach parafian i darczyńców z zagranicy, głównie z Grecji, Szwajcarii i USA. ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ Budynek w stylu bizantyjskim wpasował się między Park Żeromskiego a stare kamienice, które prowadzą do Wałów Chrobrego i nadodrzańskiego wybrzeża. Przyciągający wzrok blask złotej kopuły wśród zielonych liści widać z z jednego z trzech zaledwie okien szczecińskiej filharmonii.

Kronika zapisana w ikonach

Cerkiew to żywa kronika, w której losy parafii wiążą się nierozerwalnie z dziejami miasta. W nowej świątyni znalazły swoje miejsce pochodzące z przełomu XIX i XX w. ikony przywiezione przez wysiedleńców w 1947 r. z cerkwi w Zdyni w Beskidzie Niskim.

W trzech oknach w absydzie wstawiono witraże pochodzące z cerkwi przy ulicy Wawrzyniaka. Stamtąd też przeniesiono żyrandole, kandelabry i świecznik, znajdujący się przy ołtarzu, za ikonostasem. Historia tych przedmiotów sięga niemieckiego Stettina, gdyż stanowiły one wyposażenie Domu Koncertowego (Konzerthaus), który powstał w 1884 r. w pobliżu dzisiejszej filharmonii. Dwa zabytkowe żyrandole zostały uratowane z alianckiego nalotu. Najpierw trafiły do budynku dzisiejszego szczecińskiego magistratu, potem do Betanii, by ostatecznie powrócić, po ponad 120 latach, niemal dokładnie w to samo miejsce na mapie, dla którego zostały pierwotnie stworzone.

Światło z witraży i żyrandoli oświetla ściany pokryte polichromią. Widać na nich sceny biblijne oraz około 200 postaci – apostołów, proroków, hierarchów i świętych z Kościoła wschodniego i zachodniego. Gdy podniesiemy wzrok, ujrzymy w centrum kopuły ikonę Chrystusa Pantokratora, a poniżej Bogurodzicę w otoczeniu archaniołów i aniołów.

W części prezbiterialnej, niedostępnej dla wiernych, za ikonostasem znajduje się ołtarz główny pod wezwaniem św. Mikołaja z Mir Licyjskich. Ten jeden z najbardziej czczonych świętych w Kościele prawosławnym przynosił otuchę powojennym przesiedleńcom w Szczecinie. Ks. Stefanowski, zapytany o św. Mikołaja. przypomniał, że jest to patron marynarzy, rybaków i flisaków, co nawiązuje do portowego znaczenia miasta.

Przed ikoną św. Mikołaja, w nawie, po prawej stronie od ołtarza, wierni zapalają cieniutkie woskowe świeczki. Cudowny wizerunek sprowadzono do Szczecina ze Świętej Góry Athos w Grecji wraz z Iwerską ikoną Matki Boskiej. Obie zawieszone są w przeszklonych, bogato zdobionych szafkach zwanych kiwotami.

Po przeciwnej stronie znajduje się ikona Matki Bożej Częstochowskiej, której obecność w cerkwi często budzi zaskoczenie katolików. Proboszcz przypomina legendę, że ten namalowany w stylu bizantyjskim wizerunek powstał jeszcze przed Wielką Schizmą Wschodnią z 1054 r., czyli w czasach jedności chrześcijaństwa. Szczecińska kopia obrazu Czarnej Madonny ma wyjątkowe znaczenie ekumeniczne, ponieważ jest darem od poprzedniego metropolity szczecińsko-kamieńskiego, arcybiskupa Andrzeja Dzięgi.

– To namacalny symbol budowania pomostu między Kościołem katolickim a prawosławnym – zaznacza Stefanowski.

Wiara naszym łącznikiem

Podczas niedzielnej liturgii cerkiew wypełniają głosy, w których słychać różne życiowe ścieżki. 76-letnia Elwira Sokołowska to Szczecinianka, która pamięta jeszcze czasy pierwszego proboszcza parafii, ks. Jana Ignatowicza. To on podczas chrztu dał jej na imię Ludmiła. Jej śpiew splata się z głosem Igora Plysiuka, który czyta w języku cerkiewnosłowiańskim fragmenty Biblii. Mężczyzna, pochodzący z Winnicy, schronił się wraz z dziećmi w Szczecinie po rozpoczęciu rosyjskich ataków na Ukrainę w 2022 r. Z boku przy ołtarzu w skupieniu asystuje jako prysłużnik 18-letni Tymoteusz Gapiński. Choć dorastał w ateistycznym domu, trzy lata zgłębiania teologii doprowadziły go do przyjęcia prawosławia. Kilka metrów dalej modli się Ekaterini Ewangelu, przewodnicząca Stowarzyszenia Greków Pomorza Zachodniego „Ellas – Parea". Proboszcz prosi, aby po nabożeństwie parafianie zostali chwilę, bo na dzieci czekają świadectwa po zakończeniu roku szkolnego w parafialnym punkcie katechetycznym oraz w niedzielnej szkółce gruzińskiej. Na wszystkich czeka poczęstunek przygotowany przez wiernych pochodzących z Gruzji.

80 lat prawosławnej parafii w Szczecinie

PRAWOSŁAWNE ŻYCIE

w powojennym Szczecinie zaczął budować w 1946 r. ks. Jan Ignatowicz wraz z matuszką Zinaidą oraz córką. Pierwsza wspólnota parafialna liczyła 25 rodzin. Cerkiew urządzono na drugim piętrze kamienicy na ul. Bogusława 14, w centrum miasta. Do parafii należeli Polacy, w tym repatrianci ze Związku Radzieckiego, Ukraińcy i Łemkowie przymusowo wysiedleni w ramach akcji „Wisła", uchodźcy z Grecji, którzy znaleźli schronienie po wojnie domowej, a także Białorusini i Rosjanie.

Ze względu na wzrost liczby parafian (w latach 50. już ok. 700 osób) rozpoczęto starania w magistracie o przydział nowego miejsca kultu. Kolejny proboszcz ks. Aleksy Baranow przejął w 1963 r. budynek przy ul. Wawrzyniaka 7, gdzie przed wojną mieścił się ewangelicki dom opiekuńczy. W tym miejscu swoją posługę pełnili kolejni proboszczowie: ks. Aleksander Surel, ks. Mikołaj Sidoruk i ks. Paweł Stefanowski.

W 2000 r. ks. Stefanowski rozpoczął, wraz z parafianami, kolejne starania o przyznanie działki budowlanej pod budowę cerkwi. Dwa lata później otrzymał plac w centrum Szczecina, u zbiegu ulic Zygmunta Starego i Teofila Starzyńskiego. Po roku rozpoczęto budowę. W grudniu 2008 r. odprawiono w nowej cerkwi pierwsze nabożeństwo, a we wrześniu 2011 r. jej uroczystego poświęcenia dokonał zwierzchnik Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego abp Sawa Hrycuniak.

Budowa świątyni wzmocniła życie religijne wiernych, których obecnie większość stanowią emigranci z Ukrainy, ale też z Białorusi, Gruzji, Mołdawii i Rumunii. Ks. Stefanowski szacuje, że w niedzielnej liturgii uczestniczy około 300 parafian. Na ważne święta kościelne, jak Wielkanoc, ich liczba wzrasta nawet do 10 tysięcy osób. Do parafialnej szkółki zapisanych jest ponad 130 dzieci.

W maju 2026 r. świętowano 80-lecie parafii. Uroczystości przewodniczył ordynariusz Prawosławnej Diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej abp Jerzy Pańkowski. © MZ

eprasa.pl 66b790add1

Jako Łemkowie, Stefanowscy doskonale wiedzą, czym jest bycie mniejszością. Dlatego z tak wielkim szacunkiem odnoszą się do dbałości o tożsamość narodową innych członków parafii. Nabożeństwa odprawiane są w języku cerkiewnosłowiańskim, ale kazania można usłyszeć po polsku czy ukraińsku. W święta świątynia rozbrzmiewa wieloma językami.

– Chcemy, aby każdy mógł zaistnieć po swojemu, by poczuł się choć przez chwilę jak u siebie – oświadcza ks. Paweł.

– Nie jesteśmy kościołem narodowościowym. Jesteśmy cerkwią prawosławną, otwartą na każdego. Ludzie przybywają do nas z różnych części świata. Ostatnio w liturgii uczestniczył prawosławny Etiopczyk, student z Erasmusa. Byli także żołnierze – Koptowie – stacjonujący w dowództwie NATO w Szczecinie. Naszych parafian zaskoczył ich zwyczaj ściągania butów przed wejściem do świątyni. Wielokulturowość to wielki dar, ale też ważna lekcja życia – mówi matuszka Olga.

Nakarmić głodnego

Potwierdza to w rozmowie Ewangelu, reprezentująca parafian pochodzących z Grecji.

– Jesteśmy małą grupą, bo na samym Pomorzu Zachodnim jest nas może ze 280 osób. Całe piękno naszej parafii polega na tym, że jesteśmy tak bardzo inni, ale potrafimy się zjednoczyć w tym samym miejscu. Utrzymujemy własne tradycje, ale szanujemy cudze. Naszym łącznikiem jest religia – podkreśla.

Obecnie większość parafian stanowią Ukraińcy, którzy uciekli przed rosyjską agresją w lutym 2022 r. Stefanowscy od razu ruszyli im z pomocą – od pierwszego dnia wojny przy cerkwi przez siedem miesięcy działał punkt pomocowy. W najtrudniejszych momentach, gdy uchodźcy masowo docierali pociągami, zgłaszało się do nich nawet cztery tysiące ludzi tygodniowo. Pytali o wszystko: pracę, szkołę dla dzieci, mieszkania czy leki. Dostawali jedzenie, ubrania i realne wsparcie.

– Chodziło o to, by nakarmić głodnego, napoić spragnionego, przygarnąć każdego w potrzebie. To był czysty chrześcijański odruch – wspomina matuszka Olga, nie ukrywając, że po miesiącach pracy wolontariusze byli na skraju wytrzymałości.

O udzielonej wówczas pomocy z wdzięcznością mówi Igor Plysiuk. Dziś jako lektor podczas nabożeństw nie wyobraża sobie innego życia dla swojej rodziny. – Nie ma życia bez wiary. Cerkiew znalazłem sam, szukając na mapach Google. Teraz prowadzę takie samo życie, jak w Ukrainie: robota, dom, cerkiew. Tak było i tak samo mam tutaj – przyznaje.

Co przyniesie przyszłość?

– To, co budujemy, robimy dla następnych pokoleń. Nie wiemy, kto za kilkadziesiąt lat będzie się modlił w naszej cerkwi: Polacy, Ukraińcy, Serbowie, Rosjanie czy ktoś zupełnie inny – odpowiada ks. Stefanowski. Jego zdaniem kluczem jest otwartość, której uczy Pismo Święte. – Jezus mówi, że mamy być dla siebie braćmi i siostrami, wzajemnie się miłować i żyć dla siebie. Tylko tyle – dodaje.

© MARTA ZABŁOCKA

POŻEGNANIA

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

ks. prof. Andrzeja Szostka

wybitnego filozofa i etyka, kapłana,
nauczyciela akademickiego, człowieka dialogu
i wieloletniego Przyjaciela „Tygodnika Powszechnego”.

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy szczerego współczucia.

„Tygodnik Powszechny”

Z głębokim żalem żegnamy

ks. prof. Andrzeja Szostka

naszego klubowicza, rekolekcjonistę,
duszpasterza i przyjaciela.
Łączymy się w smutku z jego siostrami Jolantą i Teresą
oraz wszystkimi bliskimi pogrążonymi w żałobie.

Członkowie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

eprasa.pl 66b790add1



GRAŻYNA MAKARA

Ksiądz profesor Andrzej Szostek. Lublin, 28 czerwca 2016 r.

Portret z serca

KS. ALFRED MAREK WIERZBICKI

WSPOMNIENIE | Bezkompromisowo cenił prawdę i wolność jej głoszenia. Osobiste wspomnienie o ks. prof. Andrzeju Szostku – wybitnym etyku, rektorze KUL i wiernym przyjacielu.

Zostałem poproszony o portret ks. prof. Andrzeja Szostka. O pośmiertne wspomnienie. Nie stać mnie jeszcze na taką próbę. Nawet po wyciszeniu emocji, jakie przynosi czas, jest to niemożliwe wobec osób bliskich. Wiedziała o tym Julia Hartwig, pozostawiając niedokończony wiersz poświęcony swym braciom.

Spróbuję wydobyć kilka impresji, tkwiących w moim wewnętrznym zapisie ponad czterdziestu lat znajomości, współpracy, przyjaźni.

POCZĄTKI | Formalnie zaczęliśmy współpracę, gdy po doktoracie zostałem pracownikiem Katedry Etyki, której kierownikiem był ks. Tadeusz Styczeń, a Szostek – świeżo upieczonym docentem. Otrzymałem od niego jego pracę habilitacyjną „Natura, rozum, wolność" z dedykacją nawiązującą do tytułu: „Alfredowi z nadzieją na owocną – bo naturalną, rozumną i wolną – współpracę". I taką była przez kilka dekad.

Ale znaliśmy się już wcześniej. Gdy w 1983 r. podjąłem studia z filozofii z zamiarem przygotowania doktoratu, Szostek był już legendą na KUL-u. Należał do tej grupy uczniów, do których ich mistrz, będąc już papieżem, w osobistych listach podpisywał się „Wuj". Jeden z takich listów, napisany w drodze na konklawe w październiku 1978 r. z uwagami o rozprawie doktorskiej Andrzeja, został później uznany przez Radę Wydziału Filozofii jako jej recenzja. Powołano jeszcze dwóch recenzentów, zgodnie z przepisami, ale udział aż trzech był osobliwością. Zwłaszcza że jednym z nich był papież.

Andrzej był zaskoczony, gdy już po moim doktoracie powiedziałem, że właściwie przez 8 lat byłem ciągle uczestnikiem jego proseminarium (wtedy jeszcze były obowiązkowe w dydaktyce filozoficznej) na temat walki bez przemocy. Zainspirowało mnie to do zajęcia się tą problematyką w pracy doktorskiej. Ks. Szostek, nie będąc jej promotorem, nie tylko interesował się rezultatami moich badań i przemyśleń, ale wiele wniósł w jej rozwój w trakcie konsultacji i dyskusji.

MISTRZOSTWO | Podobnie jak Wojtyła i Styczeń, uważał, że seminarium jest sercem uniwersytetu, dzięki któremu student dojrzewa poprzez dyskusję z mistrzem i koleżeństwem. Na seminariach

eprasa.pl 66b790add1

kierowanych przez ks. prof. Stycznia pierwsze skrzypce grał zawsze Andrzej, nazywany przez profesora Jędrusiem. Styczeń zwykł mawiać: „lubelska szkoła etyki to Wojtyła-Szostek, a ja – mostek". Podczas gdy Styczeń był wizjonerem, skupiającym się najczęściej nad tym, co go porywało, Szostek miał talent do porządkowania myśli, dostrzegania różnych stron zagadnienia, możliwości różnych ujęć, ich zalet i jednocześnie słabości. Świetnie się dopełniali, a studenci doświadczali, że poszukiwanie prawdy nie jest łatwym zajęciem.

Wśród studentów KUL-u zawsze było sporo osób oczekujących prostych, jednoznacznych formuł, dających się zastosować w ideologicznych konfrontacjach. Obydwaj, Styczeń i Szostek, opowiadali się za realizmem i jednocześnie uważali, że używanie prawdy jako narzędzia przeciwko komukolwiek byłoby sprzeniewierzaniem się samej prawdzie. Byli przekonani, że szacunek dla prawdy zawsze powinien wyrażać się w dialogu. Studenci nastawieni konfrontacyjnie – wcześniej do komunizmu, a później do liberalizmu – raczej nie zaglądali na seminaria Stycznia i Szostka.

WSPÓLNOTA | W czasie seminarium dochodziło nieraz do rozgrzania umysłów, dlatego dla dobra dyskusji zdarzało się, że nie kończono ich w wyznaczonym czasie. Mimo że prowadzili je dwaj znakomici mistrzowie, żaden z nich nie przybierał pozy guru. Jeśli trzeba było, wysłuchiwano nawet najbardziej niezdarnych wypowiedzi. Mistrzostwo dydaktyczne Szostka przejawiało się w zdolności wyłuskiwania okruchów prawdy, jądra problemu, a przede wszystkim niepokoju i bólu, z których wyrastały. Umiłowanie prawdy kazało cenić doświadczenie i świadectwo. Pamiętam, że w moich studenckich latach co najmniej dwukrotnie seminaria nie odbyły się i prowadzący nie żądali ich „odrobienia", ponieważ w uniwersytecie wydarzało się coś, co nie jest ważne „obok etyki", lecz jest „lekcją etyki u źródeł". Te dwa razy, gdy seminarium etyki odbyło się „gdzie indziej", to recital Joan Baez w 1984 r. i wykład Victora Frankla w 1985 r. Potem komentowaliśmy te spotkania. Szostek okazał się dobrym znawcą songów amerykańskiej pieśniarki, był na jej koncercie w USA.

BLISKOŚĆ | Wspominam lata studenckie, ale przecież głębsza współpraca z Szostkiem zaczęła się, gdy zostałem asystentem, a zaraz potem adiunktem w Katedrze Etyki i współpracownikiem Instytutu Jana Pawła II, w którym wydawano kwartalnik „Ethos". Od 1993 r. ks. prof. Szostek był prorektorem, a w latach 1998-2004 rektorem KUL. Było go już coraz mniej w pracach katedry i instytutu, pochłaniały go obowiązki rektorskie. Ale to w tych latach zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, dzięki zaskakująco częstym spotkaniom prywatnym w wąskim kręgu. Bywało, że spotykaliśmy się we trzech: Styczeń, Szostek i ja. Słuchaliśmy muzyki, dyskutowaliśmy i biesiadowaliśmy przy stole. Okazało się, że na kuchni najlepiej się znałem ja, więc chętnie przychodzili do mnie. W tym samym czasie zacząłem bywać u Elżbiety Wolickiej razem z Szostkiem i Marią Filipiak. Obydwaj z Szostkiem bywaliśmy także u Isi i Jurka Gałkowskich, a w późniejszych latach w gościnnych domach Andrzeja Budzisza, Mirki Hanusiewicz, Piotra Gutowskiego. Te nieoficjalne spotkania odbywały się w atmosferze przyjaźni, rodziły zaufanie, budowały wspólnotę myślenia. Życie prawdą domaga się obiektywnej weryfikacji poglądów w krytycznej dyskusji, ale jeszcze bardziej potrzebne mu są ciepłe ludzkie relacje, towarzyszące dyskusjom.

Niezapomnianym miejscem spotkań z Andrzejem były wizyty u abp. Józefa Życińskiego. Każdy z nas bywał często zapraszany indywidualnie, aby omówić jakąś pilną sprawę, były też takie spotkania, na które arcybiskup zapraszał całą trójkę: Stycznia, Szostka i mnie. Gościł kilka innych podobnych grup. Był to jego styl, w jakiś sposób antycypujący Franciszkową wizję Kościoła synodalnego. W takich rozmowach u arcybiskupa podziwiałem odwagę i rozwagę Andrzeja, ale przede wszystkim bliską abp. Józefowi wrażliwość na krzywdę i biedę ludzką.

PASJE | Należałoby więcej napisać o osiągnięciach akademickich księdza profesora, jego publikacjach, respekcie, jakim się cieszył w środowisku naukowym polskich i zagranicznych uczelni. Doceniano jego kompetencję, skromność i osobisty urok. Wolę jednak ograniczyć się w tym szkicu do osobistych wspomnień ze świadomością, że dają one obraz cząstkowy, przesycony „logiką serca". Inni, którzy podobnie znali go z bliska, wiedzą, jak wielki miał dar mówienia z serca do serca, i to bez patosu, nie stroniąc od żartobliwości czy wręcz ironii.

Nie miał dobrego zdrowia, ale tylko jakoś między zdaniami mówił przyjaciołom o trapiących go dolegliwościach. Ze sportów z pasją grał w szachy i brydża, nie wiadomo, jak to możliwe, ale zawsze miał na nie czas. Gdy lekarz zalecił mu jazdę na rowerze, bardzo go to wciągnęło. Nie przepuścił transmisji rozgrywek w tenisa i snookera. Ileż miał komentarzy po każdej rozgrywce! Ukończył średnią szkołę muzyczną, kochał fortepian, z równym zapałem jak ulubione sporty śledził przebieg Konkursu Chopinowskiego, pamiętając uczestników i laureatów z dawnych lat i całe frazy wykonywanych przez nich utworów.

WIERNOŚĆ | Ciągnęło go do duszpasterstwa. Błogosławił małżeństwa, chrzcił dzieci, prowadził pogrzeby. Z jasnością i prostotą mówił homilie, znajdował czas na przewodniczenie rekolekcjom. Był współzałożycielem Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Lublinie i prawie zawsze był obecny na spotkaniach, niektóre z nich prowadził, a chyba zawsze zabierał głos w dyskusji. Sam miał potrzebę rozmowy, dlatego zdawał sobie sprawę, jak bardzo potrzebują jej ludzie zdezorientowani, wkurzeni skandalami w Kościele, łamaniem praworządności w państwie, rozpadem solidarności, pogardą dla obcych i innych.

Chyba na wielu dworcach da się odczuć jego brak, przemierzał Polskę zazwyczaj pociągiem. Do Krakowa jeździł na posiedzenia NCN i PAU. Do Łodzi na obrady Kapituły Nagrody Kotarbińskiego po przeczytaniu dziesiątek książek rocznie z humanistyki. Regularnie co tydzień wyjeżdżał na seminaria na Wydziale Artes Liberales UW. Wciągnął mnie w rozmowę o „Raju utraconym" Miltona, który tam omawiano, i zainspirował do przeczytania tego arcydzieła.

Ale to nie rozmach intelektualny i wielość miejsc „posługi myślenia" stanowi sekret jego pięknego życia. Umiał uczestniczyć w losach innych ludzi. Osobiście tego doświadczyłem, gdy ogłosił zerwanie współpracy z KUL-em w proteście przeciwko postępowaniu dyscyplinarnemu wobec mnie. Bezkompromisowo cenił prawdę i wolność jej głoszenia. ©

eprasa.pl 66b790add1

Bliźni homoseksualista

JAKUB SLAWIK, BIBLISTA:

BIBLIA | Zwykle zbyt szybko sięgamy po Biblię przeciwko homoseksualistom. Warto zbadać, co autorzy biblijni chcieli powiedzieć.

PAULINA MODEL: Jak to się stało, że 16 lat temu napisałeś z żoną duży artykuł o homoseksualnych bliźnich w Biblii i Kościele ewangelicko-augsburskim? W tamtym czasie w Kościele rzymskokatolickim w Polsce ten temat siedział w szafie, rodził się dopiero chrześcijański ruch Wiara i Tęcza...

JAKUB SLAWIK: Bezpośrednim impulsem były wybory biskupa naszego Kościoła. W ramach wywiadu zapytano kandydatów o ich stanowisko wobec osób homoseksualnych. Wszyscy stwierdzili, że błogosławienie takich związków jest wykluczone i niezgodne z Biblią. Zorientowałem się, że jeśli temat pojawi się na Synodzie, może zostać potraktowany w sposób uproszczony, z góry rozstrzygnięty. Dlatego uznałem, że dobrze będzie pokazać, co teksty biblijne naprawdę mówią – albo czego wcale nie mówią.

Ten temat pojawił się potem na poziomie oficjalnych dyskusji nad zmianami w Kościele?

Nie. W tamtym okresie istniała jednak obawa, że po wyborach biskupa zostanie wprowadzony na poziom synodalny. Synod to najwyższa władza, kościelny parlament. Biskupi nie mają rozstrzygającego głosu. Mógłby zostać potraktowany jako oczywisty, bez głębszej analizy. Chodziło mi o to, by – jeśli już dojdzie do dyskusji – nie zaczynać od przesądzających tez, jakoby Biblia potępiała związki homoseksualne.

A Biblia jest bardzo ważna dla ewangelików.

Jest kluczowa, więc trzeba było rzetelnie pokazać, o czym te teksty biblijne mówią albo o czym nie mówią.

Porozmawiajmy o tych fragmentach, które są odnoszone zwykle do związków homoseksualnych. Czym naprawdę jest tzw. grzech sodomski?

Popularnie pod tym pojęciem rozumie się współżycie homoseksualne, co jednak nie ma nic wspólnego z tekstem biblijnym Rdz 19. W starożytnym świecie gwałt homoseksualny był formą przemocy i narzędziem upokorzenia przeciwnika, podważenia statusu społecznego innego mężczyzny, wroga, co oczywiście nie ma żadnego związku z miłością homoseksualną. Nie chodziło o orientację, tylko o demonstrację siły. W opowieści o Locie do drzwi przychodzą wszyscy mieszkańcy miasta, wszyscy przecież nie mogli mieć orientacji homoseksualnej. Przez przemoc łamią prawo gościnności. Taka niegodziwość staje się uzasadnieniem zniszczenia Sodomy. Historia ta pokazuje, że Bóg nie może i nie chce więcej tolerować takiego zła.

Jak to właściwie było z Dawidem i Jonatanem?

Jest to jedna z najbardziej poruszających relacji w Biblii Hebrajskiej. Politycznym tłem tej historii jest przejęcie tronu po Saulu przez Dawida, który nie należy do dynastii królewskiej, jest więc uzurpatorem. Tym bardziej uderza, że Jonatan – jego rywal z punktu widzenia sukcesji – kocha go i traktuje jak równego sobie. Więcej, całe społeczeństwo i rodzina królewska uwielbiają Dawida. Otrzymuje córkę króla za żonę.

Powieść ma jednak wiele wątków, które pokazują, że ich relacja nie ograniczała się wyłącznie do polityki i następstwa na tronie. Łączy ich głęboka przyjaźń – dla Jonatana ważniejsza niż objęcie tronu po ojcu. Więcej, spotykają się w polu, całują się, wymieniają ubraniami, tak że zdaje się łączyć ich intymna relacja. Podobne motywy spotykamy w Pnp. W elegii po śmierci Jonatana Dawid mówi: „Twoja miłość była dla mnie cudowniejsza niż miłość kobiet!" (2 Sm 1, 26). Najlepiej interpretować to jako homoseksualną miłość. Nawet jeśli inna interpretacja w wymiarze czysto politycznym jest możliwa, to trudno uniknąć wrażenia, że obu łączyła głęboka, seksualna zażyłość. Na marginesie można dodać, że oznaczałoby to, iż Dawid był w rzeczywistości biseksualny.

W tym kontekście przypomina się sumeryjski „Epos o Gilgameszu" i relacja tytułowego bohatera z Enkidu.

Związek z Enkidu ma dla Gilgamesza ogromne znaczenie. Oba starożytne teksty pokazują głębokie, emocjonalne więzi między mężczyznami, opisywane miłosnym językiem. To naturalny kontekst kulturowy dla zrozumienia relacji Dawida i Jonatana.

W Biblii Hebrajskiej pojawiają się też wyraźne zakazy seksu homoseksualnego. O co w nich chodziło?

Przepisy w Kpł 18 i 20 trzeba czytać w ich świecie kulturowym, nie odnoszą się do orientacji seksualnej. Chronią ówczesne rozumienie męskiej roli społecznej, genderowej. Mężczyzna nie miał prawa sprowadzać innego mężczyzny do roli społecznej kobiety, niejako go sfeminizować. Dlatego w najstarszym zakazie karze się nie obu, ale aktywnego mężczyznę, tego, który penetrował drugiego. Penetrowanego prawo postrzegało jako ofiarę, sprowadzoną do niższej roli społecznej. Taki mężczyzna był w ten sposób zhańbiony, pozbawiony swojej społecznej pozycji. To logika patriarchalna, a nie etyka miłości.

Patriarchalny świat, gdzie kobiecość oznacza bycie gorszym...

Nasz świat też jest wciąż patriarchalny. Co nie oznacza, że w starożytności nie spotykamy silnych, dominujących postaci kobiecych.

Mówi się czasem o biblijnym modelu rodziny, w domyśle mając rodzinę wielodzietną, z tradycyjnymi rolami płciowymi. Czy słusznie?

eprasa.pl 66b790add1



HERITAGE IMAGE / ALAMY / BE&W

Dawid i Jonatan, fragment manuskryptu, ok. 1300 r.

Gdy słyszę o „biblijnej rodzinie", to mam ochotę zapytać, o jaki wzór rodziny może chodzić. Jak znaleźć w Biblii pozytywny przykład rodziny? W Starym Testamencie dominują sytuacje konfliktowe. Rodzina Abrahama? Pełna napięć. Abram i Saraj (później nazywani Abrahamem i Sarą) uciekają przed głodem do Egiptu (Rdz 12). Abram decyduje się przedstawić faraonowi Saraj jako swoją siostrę, bo jest ona taka piękna, że miałoby to grozić jego życiu. Ale dlaczego Abram miałby się bać śmierci z powodu Saraj? Tego nikt nie wie. Groźba śmierci jest po prostu szantażem wobec Saraj. Jest to straszna historia o mężu, który oddaje swoją żonę drugiemu mężczyźnie, żeby stać się bogatym. Historia Abrama, bohatera wiary, który okazuje się stręczycielem własnej żony.

Historia Sary i Hagar? Bardzo trudna. Sara nie może mieć dzieci, więc podsuwa Abrahamowi Hagar, by zyskać potomka. W starożytności przyszłość rodziny zależała od tego, czy się posiadało dziecko. Jednak ich wzajemne relacje stają się niezwykle skomplikowane, Hagar z synem w końcu ucieka.

Dawid? Przykład chaosu rodzinnego. W Starym Testamencie mamy opowiadania o życiu – i podobnie jak w filmie – jest to życie pełne konfliktów.

Poza opowieściami mamy też prawo.

Przepisy zakazują najczęściej takiego czy innego postępowania, więc jak będziemy brać pod uwagę prawo, to uzyskamy bardzo ciemny obraz. Pozytywne przedstawienie miłości odnajdujemy w „Pieśni nad Pieśniami". Choć często interpretuje się ją symbolicznie czy alegorycznie, niemniej jednak na podstawowym poziomie opisuje miłość, i to nie jest żaden formalny związek. Młodzi spotykają się w ogrodzie, kobieta z mężczyzną umawiają się w nocy, poza domem rodziców, tj. oddając się „wolnej" miłości. Księga jest pełna erotycznych motywów.

A Nowy Testament?

Nawet opowieści o matce Jezusa nie tworzą żadnego wzorcowego obrazu. Maria pojawia się w Nowym Testamencie sporadycznie, a stosunek jej Syna do niej nie jest jednoznaczny. W Ewangelii Mateusza 10 czytamy: „Kto miłuje ojca albo matkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien...". To są słowa samego Jezusa, dla którego nowy porządek w Królestwie Bożym stoi ponad relacjami rodzinnymi. W czasie wesela w Kanie Galilejskiej Jezus pyta z wyrzutem: „Czego chcesz ode mnie, kobieto?".

Bywa jednak, że wyobrażenia o rodzinie i związkach w Biblii są traktowane jako wiążące i np. sankcjonujące podejście do relacji jednopłciowych – dodajmy: w opozycji do dyskursu naukowego.

Operowanie kategoriami „prawdy", „błędu", opozycją „nauka a Biblia" jest obudowane dużymi nieporozumieniami. Biblia to literatura religijna, a nie podręcznik socjologii. Powstała ona przez wieki i była świadectwem drogi społeczności izraelskiej z Bogiem – tego, jak ludzie odczytywali Boże działanie. Autorzy starali się nadać sens własnym doświadczeniom, interpretując je w świetle Bożego działania. Nie ma konfliktu między Biblią a nauką – byłby to konflikt literatury z nauką.

Literatura nie opowiada po prostu faktów historycznych.

Nawet podręczniki historii są narracją stworzoną po to, żeby spróbować zrozumieć i nadać sens temu, co się wydarzało. Celem Biblii nie jest kronikarska opowieść o dawnych czasach, ale nadanie sensu przeszłości i opowiedzenie, w jaki sposób może ona mieć znaczenie w czasach autora i jego domniemanych odbiorców. Nie inaczej ma się sprawa z Sienkiewiczem. Żyjemy narracjami, one nadają sens. Autorzy biblijni chcieli nadać sens ówczesnemu życiu, odwołując się do Bożej aktywności w świecie, historii i życiu ludzi. Nie ma więc pola do konfliktu ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ z nauką, bo nauka operuje na innej płaszczyźnie. Konflikt pojawia się dopiero wtedy, gdy ktoś usiłuje z Biblii tworzyć pseudonaukową teorię.

Historycy mogą jednak mieć żal do Sienkiewicza, że jego opowieść buduje mit narodowy, którym żyjemy do dziś, a który nie ma oparcia w rzeczywistości. A co do Biblii: że na podstawie interpretacji tekstu źródłowego nadbudowano opowieści, które mają z nim mało wspólnego.

Z perspektywy egzegezy jesteśmy zainteresowani, jakie przesłanie o Bogu i życiu z Bogiem autorzy chcieli przekazać swojemu wyobrażonemu odbiorcy, temu, którego mogli mieć na uwadze (na pewno nie nas!). Egzegeza próbuje dotrzeć do podstawowego, pierwszego przesłania. Nie tylko księgi biblijne powstawały w różnych czasach, ale i pojedyncze księgi powstawały przez wieki. I w międzyczasie rozumienie doświadczania życia z i przed Bogiem się zmieniało. Dzisiaj pisano by komentarze, ale w starożytności nowe interpretacje stawały się częścią tekstu biblijnego. Dlatego każda księga, szczególnie starotestamentowa, jest wielowiekową biblioteczką. Stąd obecne są sprzeczności, napięcia, bo z biegiem czasu zmieniała się optyka.

Współcześnie też czytamy „po swojemu"?

Oczywiście! Teksty czytamy przez współczesne okulary, co nie jest też niczym dziwnym. Poznanie jest w swej istocie subiektywne, wydarza się w naszych głowach. Obiektywna lektura czy interpretacja Biblii? Nie ma czegoś takiego. Co dotyczy nie tylko Biblii, ale całej otaczającej nas rzeczywistości.

Posługując się tą samą metodologią jesteśmy w stanie wyczytać nieraz i sprzeczne treści, choćby w interpretacji wersetów odnoszonych do współżycia homoseksualnego.

Jeżeli nie jestem gotowy podać w wątpliwość własnych przekonań, to cała ta metodologia jest na nic. Ulepszy moje argumenty, ale nic poza tym. Musimy sobie uświadamiać bardzo trzeźwą prawdę hermeneutyczną: interpretator wpływa na odczytanie tekstu. Badacz wnosi język, narzędzia, doświadczenia. Dlatego nie istnieje „czysta", neutralna lektura Biblii. I dlatego trzeba uczciwie pytać o założenia, które każdy z nas wnosi do interpretacji.



ARCHIWUM PRYWATNE

JAKUB SLAWIK (ur. 1966) jest teologiem ewangelickim, profesorem nauk biblijnych w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.

To jakie znaczenie dziś mają teksty biblijne?

Jako ludzie wierzący ciągle jesteśmy przywiązani do tych starożytnych tekstów, stojących u podstaw naszej wiary. Nie tylko czytamy o tym, co Bóg dla nas uczynił w historii, ale szukamy w nich również pryncypiów, którymi powinniśmy się kierować. Niektóre wprost prezentowane są jako najistotniejsze. Jezus pytany o to, jakie jest najważniejsze przykazanie, odpowiedział: „Będziesz miłował Pana, Boga swego całym sercem swoim, całym życiem swoim i całym umysłem swoim. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie jest mu równe: Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy" (Mt 22, 37-40). Apostoł Paweł pisze z naciskiem, że całe Prawo w miłości znajduje wypełnienie (Rz 13, 8). Najważniejszą zasadą etyki chrześcijańskiej jest miłość bliźniego, co znaczy: troska o jego dobro.

Czyli?

Wiem, że kategoria „dobro bliźniego" nie jest jeszcze taka jednoznaczna, jakbyśmy chcieli. Niemniej oznacza ono, również w języku biblijnym, przyczynianie się do pozytywnego rozwoju drugiego człowieka, do tego, by mógł on wieść harmonijne życie, życie w zgodzie z samym sobą. Jestem zobowiązany jako wyznawca Chrystusa do tego, żeby wszystko mierzyć tą naczelną regułą. Interpretacja Biblii niezgodna w tym podstawowym kryterium miłości bliźniego jest egzystencjalnie nic niewarta. Nie wolno mi podążyć za żadną interpretacją godzącą w dobro bliźniego. Przykazanie miłości ma priorytetowe znaczenie w chrześcijaństwie.

Jak to przykładasz do naszych tęczowych braci i sióstr?

Zaczynam od pytania: co jest dla niego, dla niej dobre? Jeżeli dwóch kochających się mężczyzn, dwie kochające się kobiety chcą ze sobą żyć, chcą się wspierać, w harmonii kształtować swoje życie, to nie mam prawa przeszkadzać. To jest ich dobro, więc jestem zobowiązany, żeby się opowiadać po ich stronie. Nawet jeśli ktoś by mnie przekonał, że rzeczywiście Paweł miał na myśli homoseksualnych mężczyzn, którzy kierowali się miłością wzajemną, i ich potępiał, to powiedziałbym, że Paweł się mylił. Chciał w najlepszy sposób przekazać, jak rozumie dzieło Chrystusa dla nas, ale w tej sprawie się pomylił.

Małżeństwo to jedno, a ordynacja na duchownych osób ze społeczności LGBT+?

Pytanie o seksualność kierowane pod adresem kandydatów i kandydatek do ordynacji jest w ogóle nie na miejscu. Zakładam zwyczajną sytuację – nie mam na myśli wyjątków, gdy ludzie ewidentnie sobie nie radzą ze swoją seksualnością. Dlaczego miano by pytać, z kim pastor czy pastorka chce układać sobie życie? Jeżeli ktoś czuje się powołany i chciałby taką pracę wykonywać, jest do niej przygotowany i ma przekonanie, że będzie ją dobrze spełniał, to orientacja i tożsamość seksualna nie powinna mieć znaczenia.

W tej optyce niemalże wszystkie Kościoły w Polsce nie opowiadają się za miłością bliźniego.

To przykra, by nie powiedzieć dla Kościoła tragiczna konstatacja. Zmuszanie drugiego człowieka, by nie realizował swej orientacji i tożsamości seksualnej, na pewno nie służy jego dobru. Mówienie w tym kontekście o grzechu jest moim zdaniem niechrześcijańskie. Życzyłbym sobie, żeby Kościoły wspierały zmiany prawne. Prawo ma służyć ludziom, temu, by ludzie mogli „dobrze", w zgodzie ze sobą samym żyć.

© Rozmawiała PAULINA MODEL

eprasa.pl 66b790add1

NATALIA

de Barbaro:
Dąb, czereśnia i świat



Obudziłam się rano i zamiast popatrzeć za okno na dąb i czereśnię, zaczęłam scrollować portale informacyjne. „Rosja uderzyła w ukraińską infrastrukturę energetyczną", „Iran przeprowadza kolejne egzekucje polityczne", „Ulewne deszcze. Zagrożenie powodziowe w południowej Europie", „Pożary wymykają się spod kontroli", „Brutalne zabójstwo. Policja szuka sprawcy", „Lekarze alarmują: liczba zachorowań rośnie".

Mechanizm działania algorytmów jest nieco psychopatyczny. Podobnie jak psychopata, algorytm ani nie próbuje wydobyć z człowieka jego odwagi, czułości czy zdolności do współpracy. Szuka raczej tego, co najłatwiej przejąć: lęku, podziału na „my" i „oni", fascynacji tym, co skrajne. Algorytmowi, podobnie jak psychopacie, jest obojętne, w jakim stanie jesteś, kiedy zaczyna cię przeżuwać, i w jakim stanie będziesz, kiedy cię już wypluje. Algorytm, podobnie jak psychopata, chce tylko dostać swoje.

My, po drugiej stronie, często śledzimy mroczne strony świata wierząc, że jest to wyrazem i świadectwem naszej wrażliwości. Czasami wręcz utrzymywanie siebie w stanie napięcia staje się wymogiem moralnym. Czytałaś? Słyszałeś? Nie czytałaś?? Nie słyszałeś?? Czujemy się zobowiązani wiedzieć i ciągle się dowiadywać o wszystkich nieszczęściach świata, jakby nasza uwaga temu poświęcona miała te nieszczęścia redukować.

Poniekąd mamy rację: obojętność byłaby aktem niesolidarnym. Trzeba wiedzieć. Ale czy mamy uwierzyć, że świat jest taki, jakby to wynikało z nagłówków portali informacyjnych czy żółtych pasków płynących nieprzerwanym strumieniem przez ekran telewizora? Czy regułą świata jest wzajemna wrogość, katastrofy i zbrodnie wojenne?

W ciągu ostatnich 50 lat śmiertelność dzieci na świecie spadła z ok. 16 proc. do 4 proc., średnia długość życia wzrosła z 59 do ponad 71 lat, skrajne ubóstwo zmniejszyło się z ponad 40 proc. do ok. 9 proc. I, choć wojny dominują w nagłówkach, zdecydowana większość mieszkańców Ziemi nigdy nie obudzi się odgłosem wybuchów. Piszę to i drżę, jakbym łamała jakiś niewidzialny nakaz patrzenia w ciemną jedynie stronę. A jednak – świat jest dobry i zły, pokojowy i wojenny. I, chociaż zdajemy się o tym zapominać, zatopieni w naszych telefonach, reguła świata jest jasna. Zdecydowana większość z nas wraca wieczorem do domu, który nie spłonął, gdzie czeka na nas ktoś, kto może nawet nas kocha. Częściej słyszymy „dzień dobry" niż wyzwisko. Częściej jesteśmy syci niż głodni.

Pytaniem, które dobrze pokazuje jasną regułę świata, jest pytanie Eckharta Tolle'a, autora świetnej „Potęgi teraźniejszości". Brzmi ono: „Czy masz problem w tej chwili?". W pierwszym odruchu umysł odpowiada oczywiście twierdząco. Mam problem, niejeden! Ile mam czasu, żeby wszystkie wyliczyć? Ale Tolle nie pyta o to, czy masz chorą mamę, kredyt do spłacenia, obrażonego nastolatka z zagrożeniem z chemii. Czy masz problem teraz, pyta Tolle. Teraz – ten pokój, ten przedział pociągu, ta poczekalnia, ten leżak, taras, ten koc na łące. W tej chwili.

Tolle odsyła nas do miejsca, w którym spędzamy zdumiewająco mało czasu: bezpośredniego doświadczenia naszego życia. Nuda, panie. Sąsiadka podlewa pelargonie, ojciec poprawia daszek wózka, żeby Franiowi nie świeciło w oczy, dziewczyna na ławce z niebieskim tatuażem na chwilę odkłada telefon i wystawia twarz do słońca. Nuda. Nasza codzienność się nie klika. I często my sami zapominamy w nią kliknąć.

Angielskie pojęcie *lived experience* wyrasta z fenomenologii Edmunda Husserla i jego namysłu nad bezpośrednio przeżywanym doświadczeniem. Najczęściej tłumaczone jest właśnie jako „przeżyte doświadczenie". Bezpośrednie doświadczenie życia – życia takiego, jakie wydarza się, teraz. Podnieś głowę. Rozejrzyj się po swoim „teraz".

Może to spojrzenie pomoże ci odnaleźć jakąś trzecią trasę: nieobojętność wobec cierpień tego świata, ale też obecność w twojej codzienności? Może dzięki temu będziesz mieć więcej sił, żeby w nią wnosić spokój i pokój, których tak światu brakuje? ©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki", „Przędzy" i „Przejść".

eprasa.pl 66b790add1



Od lewej: Katarzyna Żbel, Anna Rokita oraz Marcin Kobierski wykonujący utwór „Ty nie odmawiaj mi”



Prowadzący benefis: Piotr Mucharski i Ewelina Burda oraz redaktorka Anna Goc podczas interpretacji utworu „O, Kutno”



Kardynał Grzegorz Ryś z jubilatem, wokół nich księża (od lewej): Piotr Studnicki, Jacek Prusak, Arkadiusz Lechowski oraz Piotr Kieniewicz



Zastępczyni redaktora naczelnego Ewelina Burda podczas konkursu wiedzy o jubilacie, w tle nagroda – wino „Il Redattore”

BENEFIS KS. BONIECKIEGO

O czym pisał Jeremi Przybora? Odpowiedzi na to pytanie dawało przez lata wielu interpretatorów. Ale chyba tylko my w „Tygodniku” dostrzegliśmy, że piosenki do Kabaretu Starszych Panów powstawały z myślą o... Adamie Bonieckim.

TEKST: EWELINA BURDA | ZDJĘCIA: GRAŻYNA MAKARA

Na benefisie z okazji 92. urodzin naszego redaktora-seniora, który odbył się 26 lipca, postanowiliśmy to udowodnić. Pamiętając, że świętujemy urodziny człowieka z poczuciem humoru.

Ale zanim zaprosiliśmy na część artystyczną do krakowskiego Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, w pobliskim Kościele św. Stanisława Kostki na Dębnikach odbyła się msza święta, której przewodniczył kard. Grzegorz Ryś. W homilii metropolita krakowski mówił o darze rozumu, który jest jednocześnie darem serca. Co było komentarzem do pierwszego czytania, ale też zwróceniem uwagi na szczególną zdolność i wrażliwość Solenizanta.

Przez pozostałą część wieczoru, gdy już przenieśliśmy się do Mangghi, prowadziły nas utwory wybrane ze spektaklu „Stacyjka Zdrój” Teatru Bagatela. Wykonywali je aktorzy: Anna Rokita, Justyna Schneider, Katarzyna Żbel, Krzysztof Bochenek i Marcin Kobierski. Tytułowa piosenka stała się klamrą spinającą wszystkie kolejne – śpiewane i wypowiadane ze sceny teksty.

Utwór „Ty nie odmawiaj mi” zinterpretował Edward Augustyn, szef działu Wiara, powołując się na badania, które dowodziły, że piosenka powstała w hołdzie dla trzech najważniejszych w życiu księdza Bonieckiego odmów. Czy były to historie prawdziwe? Odpowiedź znają tylko ci, którzy byli z nami.

Dalej wybraliśmy się w podróż do kilku miast z utworem „O, Kutno”, którego interpretacji podjęła się, z reporterskim zacięciem, dziennikarka Anna Goc. Była to opowieść o latach, które ks. Adam spędził, jako katecheta, w Grudziądzu. Pomocnym rekwizytem okazały się dwa dzienniki szkolne, znalezione w klasztornej szafie.

Monika Ochędowska, szefowa działu Kultura, również odniosła się do „badań lingwistycznych”, interpretując utwór „Zosia i ułani”. Przy okazji ucząc nas, czym są „katecheza terenowa” i „asymetria śpiewalności narracyjnej” (choć radzę uważać, jeśli ktoś zechce zabłysnąć tymi terminami w towarzystwie).

Michał Kuźmiński, dziennikarz, który wielokrotnie zajmował się tematyką kulinarną, wyjaśniał prawdziwy sens piosenki „Addio, pomidory”, zauważając, że „pomidory – podobnie jak Boniecki – dojrzewają z końcem lipca”.

eprasa.pl 66b790add1



Prezes Fundacji Tygodnika Powszechnego Aleksander Kardyś, redaktor naczelny Jacek Stawiski oraz jubilat – redaktor-senior ks. Adam Boniecki



Wielki finał benefisu. Na scenie solenizant, aktorzy Teatru Bagatela i zespół „Tygodnika Powszechnego”



Ks. Adam Boniecki z urodzinowymi prezentami

Po takim gruntownym szkoleniu z życiorysu ks. Adama goście zostali zaproszenie do quizu, w którym nagrodami było specjalne wino „Il Redattore”, sygnowane przez Solenizanta.

Przyszedł czas na życzenia: rozpoczął je wskazany przez algorytmy „statystyczny czytelnik” tekstów ks. Bonieckiego, który – szczęśliwym trafem – znalazł się na sali. Gdy z jednego z ostatnich rzędów zabrzmiał jego głos, stało się jasne, że całkiem przypadkowo czytelnikiem tym jest... Wojciech Mann.

Kolejne życzenia złożyli Solenizantowi: Stanisław Kracik, pełniący obowiązki Prezydenta Miasta Krakowa, oraz Zarząd Spółki i Fundacji „Tygodnika Powszechnego”. Obdarowaliśmy ks. Adama wydaniem pierwszej książki, jaką przeczytał w dzieciństwie, a także kapeluszem panama, który – jak widzą Państwo na zdjęciach obok – wyraźnie się Solenizantowi spodobał.

„Jest niedziela, ciepły dzień, a wy jesteście tutaj dla mnie” – mówił jakby zaskoczony, a na pewno wzruszony ks. Adam, dziękując wszystkim, którzy przyszli świętować jego urodziny. Mówił też o tym, czym jest dojrzałość, a także o „Tygodniku Powszechnym”, który „wciąż jest ten sam, choć na szczęście nie taki sam”.

A potem był tort, dmuchanie świeczek, toasty i śpiewanie „Sto lat”, które, jeśli chodzi o przypadek Solenizanta takiego jak nasz redaktor-senior, miało wymiar wyłącznie symboliczny. Bo przecież to oczywiste, że życzymy Ci, Adamie, wszyscy i wszędzie – nie stu, ale jak najwięcej lat. ©℗

ORGANIZATORZY
PARTNERZY
PARTNER GŁÓWNY WYDARZENIA
PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl 66b790add1

O. WACŁAW

Oszajca:
Skończyć z żebraniną



Będąc na mszy i innych nabożeństwach, zwłaszcza tak zwanych ludowych, można odnieść wrażenie, że robimy wszystko, aby tego polecenia Jezusa nie usłyszeć i nie spełnić. Nasze modlitwy to nieustanne namawianie Boga, aby zajął się właśnie tym, czego Bóg od nas oczekuje. W Ewangelii Mateusza czytamy: „Wieczorem podeszli do Jezusa uczniowie i rzekli: »Miejsce to jest odludne i jest już późno. Odeślij ludzi do wsi, aby kupili sobie żywności«. Lecz Jezus odpowiedział: »Nie muszą odchodzić. Wy dajcie im jeść!«", i nie chodzi tylko o fizyczny pokarm, ale o duchowy przede wszystkim.

Zanim jednak zdecydujemy się kogokolwiek karmić, zwróćmy uwagę na jakość proponowanego pokarmu, żeby komuś nie zaszkodził. Na tym polega błąd i grzech faryzeizmu, że chcąc dobrze, robi się źle. Jezus mówi: „Biada wam, obłudni nauczyciele Pisma i faryzeusze, bo przemierzacie morza i lądy, aby zdobyć jednego współwyznawcę, a kiedy go zdobędziecie, czynicie go bardziej winnym potępienia niż wy sami". Czyli nie próbujcie nawracać, obiecując np. długie życie przy czerstwym zdrowiu. Jezus mówi: „Powstaną fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i robić będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych". Prawdziwe „znaki i cuda" nie dzieją się na życzenie jakiegoś rozhisteryzowanego lidera, ale tam i wtedy, gdy człowiek zdobywa umiejętność bycia winnym i własnej winy nie przykrywa frazesami na tyle wzniosłymi, co fałszywymi.

Na ateńskim Areopagu, w cywilizacyjnym centrum ówczesnego świata, Paweł Apostoł mówił: „Bóg, który stworzył świat i wszystko, co jest na nim, jest władcą nieba i ziemi (...) W Nim bowiem żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. »Jesteśmy z Jego rodu« – jak to powiedzieli niektórzy wasi poeci (...) Dlatego nie mieszka w świątyniach zbudowanych przez ludzi. Nie oczekuje żadnej posługi od człowieka, jak gdyby czegoś potrzebował, gdyż On sam każdemu daje życie, tchnienie i wszystko". A zwracając się do współwyznawców, mówi: „Czyż nie wiecie, że jesteście świątynią Boga i że Duch Boży w was mieszka? Wy jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią". Przestańmy przychodzić do Boga po żebraninę, dajmy się Bogu nakarmić Jego pokarmem i zanim zaczniemy kogokolwiek nawracać, zabierzmy się za siebie – Kościół. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Apostołka Apostołów



W minionym tygodniu, w święto św. Marii Magdaleny, Liturgia uczyniła nas świadkami takiego spotkania: „Jezus rzekł do niej: »Mario!« A ona, obróciwszy się powiedziała do Niego po hebrajsku: »Rabbuni«, to znaczy: Mój Nauczycielu! Rzekł do niej Jezus: »Nie zatrzymuj Mnie (...). Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego«" (zob. J 20, 1. 11-18). Opis tego, co papież Benedykt XVI nazwał „początkiem bycia chrześcijaninem": prawdziwe, głęboko osobiste („Mario!"), bliskie spotkanie człowieka ze zmartwychwstałym Jezusem. Kiedyście je ostatnio przeżyli? Ja ostatni raz dwa tygodnie temu...

Byłem w Jerozolimie, w bazylice Bożego Grobu, na mszy św. w rocznicę poświęcenia tego kościoła. Po zakończeniu psalmu zaczęliśmy śpiewać „Alleluja!". Wszyscy wstali. I wtedy... zobaczyłem diakona, jak wychodzi z pustego Grobu Pana i wysoko nad głową wynosi ewangeliarz. Wiedziałem to jedno: Chrystus, żyjący w swoim słowie, na naszych oczach wychodzi z Grobu i mówi: „Pokój wam!". Słyszałem nieraz od liturgistów, że ambona w kościele jest symbolem pustego Grobu Pana, ale nigdy nie przeżyłem tego tak dosłownie i z taką siłą.

Piszę o tym, bo te spotkania nigdy nie są przeznaczone wyłącznie dla nas samych („Nie zatrzymuj Mnie [dla siebie]!"). One zawsze są posłaniem – Maria idzie do apostołów, aby im powiedzieć nie tylko to, że Jezus zmartwychwstał, ale również to, co to wnosi w ich życie: że oto właśnie stali się braćmi Pana – stali się wspólnotą prawdziwie rodzinną. I taki też będą budować Kościół – wspólnotę, w której ostatecznym celem nie będzie wiedza, lecz miłość. Właśnie ten cel nam ostatecznie objaśnia posłanie Marii do apostołów. W pierwszej chwili bowiem może się ono nam nie wydawać konieczne: apostołowie (Piotr i Jan) byli wszak u grobu (J 20, 2-10) i po wejściu do niego uwierzyli (Jan mówi tak przynajmniej o sobie) – „zrozumieli wreszcie Pisma" zapowiadające zmartwychwstanie. Z tym odkryciem i wiarą wrócili do siebie. Więc? Wygląda na to, że wszystko to jeszcze nie wystarcza! Nie wystarcza widzenie pustego Grobu, zrozumienie Pism i zawierzenie im. Potrzebne jest jeszcze doświadczenie wiary przeżywanej we wspólnocie! Piotr i Jan potrzebują Magdaleny. Wzajemnie – również ona ich potrzebuje. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 66b790add1

ZUZANNA

Radzik:
Miękka głoska



Chłopak bardzo się pilnuje. Przeraża mnie to. Od razu przebiega mi przez głowę seria okupacyjnych skojarzeń. Skoro wszyscy tu żyjemy historią, zamiast teraźniejszością i przyszłością, to ja też mogę.

Patrzę więc na lęk przed tym nowym szmalcownictwem, które dogaduje, gardzi, odsyła na Ukrainę, ale zaczęło i bić. Nawet dzieci. Nastroje społeczne falują – słyszymy – jakby to był naturalny żywioł, a nie paskudne uprzedzenia karmione rosyjską propagandą i własnym grzechem. Uprzedzenia pompowane również przez nasze, rodzime partie dla politycznych korzyści. Chciałoby się, żeby reakcja na te nastroje była zdecydowana i brzmiała: *non possumus*. Dziś jest dziś, przeszłość nie przysłoni nam tego, co teraz jest ważne.

Przez ladę wypełnioną rzemieślniczymi lodami obserwuję, jak chłopak stara się, by go nie zdradził akcent. W końcu jednak, przy zachwalaniu smaku „podwójny jogurt", wymyka mu się zbyt miękka głoska.

Zostaję z tym obrazkiem przed oczami, idąc zaraz potem na Marsz Pamięci getta warszawskiego. Idąc przez moje rodzinne miasto i moją dawną dzielnicę, zbudowaną na prochach i gruzach żydowskiego życia Warszawy. Tak się składa, że akurat czytam teraz sporo o Zofii Kossak-Szczuckiej. Jej ulotka „Protest" z sierpnia 1942 r. zaczynała się od empatii z cierpieniem Żydów w getcie, ale następuje w niej szybki zwrot, stwardnienie serca. Żydom trzeba pomagać, bo to jednak bliźni, choć wrogi. Trzeba, bo co pomyśli świat o Polakach. Niesamowite, że w środku Wielkiej Akcji to właśnie było jej troską. Choć w sumie czemu się dziwić. Ta sama katolicka autorka w maju tego samego roku boleje nad postawami polskiej ludności, odnosząc się najprawdopodobniej do zbrodni w Jedwabnem (które nazywa Jagodnem), ale też widzi w żydowskim losie wypełnienie się kary za zabicie Chrystusa. „Z logiką straszliwą mszczą się na Żydach wszystkie ich występki" – nie waha się napisać z głębi przedsoborowej chrześcijańskiej teologii o Żydach, ujawniając jej paskudne oblicze. Karę Bóg zasądził, nie ma wątpliwości, ale biada Polakom, którzy wezmą udział w jej wykonaniu.

Wielkie narracje patriotyczno-religijne zasłaniają jej rzeczywistość, choć jednocześnie widzi, co się dzieje. Nie składa się to w spójny obraz. Wstrząsająca jest ta umiejętność religijnego myślenia, które wyłącza współczucie, wszystkiemu nadaje sens w szerszym planie dziejów, ale zatwardza serce. Ten antysemityzm i pogarda, które zabierze ze sobą nawet do Auschwitz-Birkenau i które potem zapisze we wspomnieniach z obozu. Właściwie jej wojenne teksty powinny być lekturą obowiązkową dla polskich katolików. W końcu to jedyna znana nam religijna refleksja o Zagładzie pisana w czasie rzeczywistym. Jednak nie dlatego trzeba ją czytać, byśmy się nią jak zwykle pocieszali, że nawet antysemitka ratowała Żydów. Tylko żeby zobaczyć, jak ktoś, kto cały czas w obozie się modlił, kto widział los polskich więźniarek w kategoriach dobrowolnej ofiary na podobieństwo Chrystusa, może jednocześnie nieść w sercu nienawiść i religijno-nacjonalistyczne uprzedzenia.

Trzeba przyznać, że Kossak-Szczucka i tak się jakoś broni. Apelując o pomoc, a potem ją organizując, przerosła to, co pisała i myślała. „Lepiej odczuwała i czyniła, niż pisała?" – pytała, rozważając tajemnicę rozdarcia między słowami a czynami Kossak-Szczuckiej, w swoim eseju o niej Maria Janion.

Lepiej odczuwasz i działasz, niż myślisz lub piszesz? Myśli i słowa determinują twoje czyny? Czy jednak przekraczasz – działając – to, co masz w głowie? Wielkie narracje zasłaniają bliźniego zbyt skutecznie, czy jednak widać człowieka zza opowieści? Proponuję takie sierpniowe rekolekcje z Zofią Kossak-Szczucką.

Zostaje pytanie, gdzie jest Kościół i jego duszpasterska praca, gdy nastroje rosną niby bezwolnie i naturalnie, jak jakaś fala powodziowa? Możliwe, że tam, gdzie zawsze, uwikłany w swój czas, we własne ograniczenia, kontekst, w którym żyjemy. W czasie Zagłady polskich Żydów, bliźnich i sąsiadów, biskupi milczeli. Jak dowiadujemy się z watykańskich archiwów, właśnie przez swoje uprzedzenia nie widzieli bliźniego, przekonani, że Żydzi jako komuniści sami są sobie winni. A dziś? Co mają do powiedzenia chłopakowi z rzemieślniczej lodziarni, który uważnie pilnuje swojego akcentu? Co mają do przekazania nam, czyli tym, których on się boi. Pewnie jak zawsze nic. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl 66b790add1



MARYJA Z POWSTANIA

Kapliczki wpisały się w krajobraz podwórek Warszawy. Te, które przetrwały powstanie w 1944 r., są także częścią wojennej historii miasta i jego mieszkańców. Oto opowieść o nich.

PATRYCJA BUKALSKA

Gdy nadchodzi wiosna, otaczają ją konwalie i bzy – kamienną Madonnę, która stoi na podwórku domu przy ul. Mickiewicza 27, na Żoliborzu. Teraz, w środku lata, poza niewielkimi hortensjami dominuje jednak głęboka zieleń okolicznych drzew.

Pod wieczór podwórko pachnie deszczem. Przed figurą kilka zniczy, w wazonie bukiet kwiatów. Obok ławka, można na niej przysiąść.

Matka Boża: smukła, z lekko pochyloną głową, otoczoną gwieździstym nimbem. Spokojna, zamyślona, może trochę smutna. Figurę wykonano z jasnego wapienia pińczowskiego. Nie wiadomo, kto jest jej autorem.

Stoi w tym samym miejscu niezmiennie od 1944 r., gdy ustawiono ją tutaj z inicjatywy lokatorów. Wtedy wiele się wokół niej działo: w czasie powstania od-

eprasa.pl 66b790add1



SYLWESTER BRAUN „KRIS" / ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Podczas powstania pomagały budować poczucie wspólnoty i solidarności: podwórkowe kapliczki.
Na zdjęciu: jedna z nich, na podwórku przy ul. Złotej 24. Warszawa, sierpień 1944 r.

prawiano tu msze, z tego podwórka powstańcy ruszali do walki. Z czasem wokół niej zaczęto chować poległych i zmarłych.

LISTA | Nazwiska są wypisane na głazie umieszczonym przy figurze. To kilkunastu lokatorów Mickiewicza 27, którzy stracili wtedy życie. Wszystkie ciała ekshumowano w kwietniu 1945 r.

Wśród nazwisk mieszkańców jest czworo żołnierzy Armii Krajowej: Halina Stompor (sanitariuszka), Mieczysław Lehman, Tadeusz Kryzar i Witold Jabłoński (ojciec Witolda, inżynier architektury Adam Jabłoński, zaprojektował cokół, na którym stoi Madonna). Cywile to Maria Pawłowska (pochowana jako pierwsza, 8 sierpnia), Zofia Czeczelowa, Tadeusz Tomaszewski (lat 12), Jan Borsukiewicz, Stefan Jachimowski, Jan Wesołowski z synkiem Wojtusiem, Czesław Czernicki i jego syn.

Chowali ich sąsiedzi i sąsiedzi zachowali pamięć o nich.

W czasie powstania mieszkańcy chronili się w piwnicy. Wśród nich 12-letnia Danusia Molenda. Na prośbę mamy notowała, co się dzieje wokół. Tak powstał jej dziennik. Zapisała w nim też nazwiska grzebanych na podwórku. Po wojnie lista trafiła do rąk jej cioci, a ta przekazała ją sąsiadce Irenie Heine, która przechowała zapiski. W 2011 r. z inicjatywy innej wieloletniej mieszkanki domu, Urszuli Zaniewskiej, ustawiono kamień z nazwiskami.

IRENA | Rocznik 1925, zamieszkała wraz z rodziną w bloku przy Mickiewicza w 1931 r., zaraz po tym, jak został oddany do użytku. Był to wtedy najdłuższy budynek w Warszawie (jego najdłuższe skrzydło, wzdłuż ul. Mickiewicza, ma 250 metrów, a ciągnie się też wzdłuż pierzei Pl. Wilsona).

– Był nowoczesny! Było centralne ogrzewanie, woda w kranie. Nawet miała być ciepła na zachętę, był specjalny kran w kuchni, ale to akurat nie działało. Było tu sympatycznie, spokojnie – wspomina Irena Heine, dziś stuletnia, gdy spotykamy się w jej mieszkaniu przy Mickiewicza. Tym samym, w którym zastała ją wojna.

Z balkonu widać figurę Maryi. – Ustawiono ją jeszcze przed powstaniem. Ludzie zbierali się wokół niej na nabożeństwa majowe, czasem ksiądz przychodził, czasem sami się modlili – opowiada Irena Heine. – Ludzie tu się znali, wiadomości czy gazetki przekazywano.

W czasie powstania przy figurze kapelan AK odprawiał msze polowe. – Na pogrzeby, gdy chowano kogoś z ich klatki, ludzie się gromadzili. W miarę możliwości, bo nie wszyscy mieli odwagę – wspomina pani Irena. – Najbliżsi sąsiedzi przychodzili.

Odwaga była potrzebna, bo w miarę czasu rosło zagrożenie – w tym ze strony niemieckich snajperów, usadowionych w okolicy. Od kuli snajpera na podwórku zginął sąsiad Ireny, pan Borsukiewicz. – Podobno wyszedł na chwilę z piwnicy, żeby zapalić papierosa – wspomina. Inny sąsiad, pan Wesołowski, zginął wraz z kilkuletnim synkiem, gdy w budynek uderzył pocisk niemieckiej artylerii.

W PIWNICY | – Powstanie było oczekiwane, szykowane. Mówiono, że lada moment coś będzie. Już na dzień, dwa dni wcześniej koledzy, którzy byli w konspiracji, przychodzili się żegnać – wspomina pani Irena.

Na Żoliborzu pierwsze strzały padły już około godziny 14.00, gdy grupa transportująca broń natknęła się na niemiecki patrol. Po początkowym chaosie, wieczorem 1 sierpnia większość oddziałów żoliborskich wyszła do Puszczy Kampinoskiej, aby potem zaraz wrócić i opanować sporą część dzielnicy.

Odcięty od innych walczących dzielnic, Żoliborz tworzył niezależny powstańczy organizm z cywilnymi władzami samorządowymi. Nazywano go Republiką Żoliborską. Nie znaczy to jednak, by życie tu było wolne od zagrożeń: na dzielnicę padały pociski dział kolejowych z Dworca Gdańskiego, od bomb zapalających płonęły dachy, powszechną grozę budziły „krowy" – pociski niemieckich wyrzutni rakietowych.

Irena, podobnie jak inni mieszkańcy domu, chroniła się w piwnicy. Przez cały okres walk była bardzo chora, miała ciężkie zapalenie płuc. – Leżałam cały czas. Jakoś się z tym oswoiłam, ale był we mnie taki niepokój, bo nie mogłam wstać. Kiedyś był straszny ostrzał i zaproponowano, żebyśmy przeszli do piwnicy na drugą stronę, do sąsiadów. Wstałam, ale od razu musiałam się położyć, ponieważ nie mogłam złapać powietrza – opowiada.

Przy Mickiewicza 27 był punkt sanitarny: mały powstańczy szpitalik i lekarz. Niewiele mógł zdziałać, ale zapisał Irenie kamforową maść. – Moja sąsiadka pracowała w aptece na Placu Inwalidów, tu niedaleko. Miała klucze, poszła tam i zrobiła mi tę maść. Odważna była – mówi pani Irena. – To była ciocia tej Danusi, która notowała nazwiska poległych.

CODZIENNOŚĆ | Wspomnienia o tych dwóch miesiącach składają się z okruchów wydarzeń. Np. pani Irena pamięta, że przy Mickiewicza 27 działały dwie kuchnie. – Gotowano w nich dla tych, którzy nic nie mieli w domu, i dla tych, co uciekli z Marymontu. Tam było okropnie, ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ bo byli nie tylko Niemcy, ale też własowcy [tak nazywano oddziały złożone z byłych jeńców sowieckich – red.]. Wszystko się paliło, ludzie uciekali, jak stali – opowiada.

Na pobliski Marymont w połowie września Niemcy i ich kolaboranci przypuścili szturm; w ciągu dwóch dni przeprowadzili pacyfikację, zabijając kilkuset cywilów.

Na Mickiewicza, jak wszędzie, problemem był brak wody. Najpierw, gdy przestały działać wodociągi, wykorzystano tę z kaloryferów. Potem trzeba było iść do studni. W pobliżu były dwie, kolejka formowała się już przed świtem.

Pierwszym rannym w punkcie sanitarnym był powstaniec. Opatrywała go Janina Jankowska „Jasia", mieszkanka domu i sanitariuszka II Obwodu AK „Żywiciel". W wywiadzie dla Muzeum Powstania Warszawskiego opowiadała o koncercie zorganizowanym na Mickiewicza 34, a także o nieoczyszczonym oleju z olejarni na Marymoncie, którą zdobyli powstańcy. Co jadła w czasie powstania? Tego nie pamiętała. Pamięta tylko, że była bardzo głodna.

Wiesława Przybyszewska też mieszkała przy Mickiewicza. Swoimi wspomnieniami podzieliła się listownie z Urszulą Zaniewską, wiedząc, że ta zajmuje się historią budynku i jego lokatorów. Pisała m.in. o mszy odprawionej przy figurze Matki Boskiej na podwórzu „w dniu, kiedy partyzanci z Kampinosu przedarli się przez Powązki i poszli potem na pomoc walczącej Starówce. Odpoczęli u nas chyba tylko jedną dobę". Oraz o innym miejscu, gdzie też odprawiano msze: przy ołtarzyku, umieszczonym w ślepej odnodze korytarza w piwnicy.

ENKLAWY | Nie wiadomo dokładnie, ile było podwórkowych kapliczek w Warszawie i ile z nich przetrwało. Zapewne kilkaset. Są przeróżne: wolnostojące, we wnęce, wieszane na murze. Najczęściej z Maryją, czasem z Chrystusem. Najwięcej, ponad sto, jest dziś na Pradze, na prawym brzegu Wisły. Tam powstanie wygasło szybko, dzielnica nie była zniszczona.

– Kapliczki w Warszawie powstawały już pod koniec XIX w., ale wojna to ich prawdziwy wysyp. Powodów tego było wiele – opowiada Katarzyna Utracka, historyczka z Muzeum Powstania Warszawskiego.



Irena Heine, rocznik 1925, całe życie mieszka przy ul. Mickiewicza 27. U góry: zdjęcie powojenne. Dołem: Irena Heine dzisiaj.



ARCHIWUM PRYWATNE x2

Dawały możliwość manifestowania religijności bez ryzyka wychodzenia poza obręb domu, gdzie można było np. trafić na łapankę. Były też przejawem patriotyzmu: przy nich celebrowano święta narodowe, śpiewano pieśni patriotyczne. Sąsiadów się znało, więc obawa, że ktoś doniesie, była mniejsza. Czasem były po prostu miejscem spotkań, gdzie można było wymienić informacje. To dawało poczucie solidarności i wspólnoty.

DWIE FUNKCJE | – Szczególnie dużo kapliczek powstało w 1943 r., gdy zaostrzył się niemiecki terror – wyjaśnia Katarzyna Utracka. – Te modlitwy to była namiastka normalności, łapanie się nadziei, że można przetrwać najgorszy czas. Że się przeżyje. Kiedy zaś wybuchło powstanie, budowano kolejne. Często też, gdy nie było czasu, powstawały charakterystyczne ołtarze tymczasowe.

Widać je na zdjęciach z powstania: stół, obrus, krzyż, czasem kwiatki w doniczkach.

W sierpniu 1944 r. kapliczki stały się, jak podkreśla Katarzyna Utracka, jeszcze ważniejsze: – Pojawiają się dwa nowe elementy. Po pierwsze, odprawiane są msze święte dla żołnierzy, jest spowiedź powszechna, odbierane są też przysięgi wojskowe od ochotników, cywilów, którzy dołączają do walki. Po drugie, otoczenie kapliczek zamienia się w cmentarze.

Jak na Mickiewicza 27.

Z czasem, w miarę jak nasilały się bombardowania i ostrzał, msze wokół kapliczek były coraz bardziej ryzykowne. Wtedy również życie religijne przenosiło się do piwnicy, gdzie ludzie modlili się przy małych ołtarzykach.

ŚLADY PAMIĘCI | – Te trzy gliniane odlewy ryngrafów przyniósł nam niedawno pewien mężczyzna. Pochodzą one z nieistniejącej kapliczki przy ul. Żurawiej 18 – Katarzyna Utracka pokazuje mi zdjęcie. Na obramowaniu widać napis: „Kto się w opiekę poda" i rok „44", napisany rzymskimi cyframi.

– Na Żurawiej 18 był punkt werbunkowy batalionu „Bełt". Może stąd te ryngrafy? Miały chronić ochotników? Bo wiemy, że było ich więcej, choć ocalały tylko te trzy – zastanawia się historyczka.

Za każdym kolejnym zdjęciem kryje się jakaś historia. Jak w przypadku tego, które przedstawia mszę odprawioną 15 sierpnia na podwórku przy ul. Poznańskiej 12, gdzie mieściła się kwatera dowództwa Zgrupowania „Zaremba-Piorun". To był ważny dzień i podwójne święto: Wojska Polskiego i Matki Boskiej Zielnej. Na podwórku typu studnia zbudowano ołtarz, nad którym górował wielki krzyż.

– Ten krzyż zrobiono z nadpalonych belek wyciągniętych z ruin sąsiedniej kamienicy. Obecnie znajduje się w Kościele św.św. Apostołów Piotra i Pawła, a miejsce odprawienia mszy upamiętnia tablica w podwórzu budynku – mówi Katarzyna Utracka.

– Mamy też w naszych zbiorach ścienną drewnianą kapliczkę z ul. Leszno 73 (dziś to Aleja Solidarności 145). Przekazała ją parafia pw. Narodzenia NMP wraz z informacją, że mieszkańcy wierzyli, iż kapliczka uchroniła ich, jak i samą kamienicę czterokrotnie: podczas bombardowań w 1939 r., zagłady dzielnicy żydowskiej (budynek

eprasa.pl 66b790add1

w 1940 r. znalazł się w granicach tzw. małego getta), podczas powstania w 1944 r. oraz po wojnie, gdy kamienicy nie wyburzono. To dobry przykład przekazywania pamięci – dodaje historyczka.

Kapliczka była pusta, więc pracownicy Muzeum umieścili w niej gipsową figurkę Madonny, znalezioną na podwórku przy ul. Grzybowskiej 24 – jej kapliczka była zniszczona.

POWROTY | Powstanie na Żoliborzu zakończyło się 30 września. Tak jak i gdzie indziej, mieszkańców wygarnięto z piwnic i innych schronień i popędzono do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Także Irenę i jej rodziców. – Sama nie wiem, jak dałam radę wstać i iść. Chyba ta maść kamforowa mi pomogła – wspomina dziś. – W grubym palcie zimowym, w grubych butach jakoś doszłam do Dworca Zachodniego. Pamiętam, że przy Sądach stało wiadro z wodą i kubek, a obok Niemiec. Pomyślałam, że wolę umrzeć, niż się napić wody przy tym Szwabie. I poszłam dalej.

Na Mickiewicza Irena wróciła w kwietniu 1945 r., jako ostatnia z rodziny. Sąsiedzi też wracali. Pierwsi od razu, jak tylko Niemcy opuścili Warszawę. Inni dopiero w listopadzie. Dom stał, choć niektóre mieszkania były zniszczone, zwłaszcza na parterze. – Jak Niemcy opuszczali Warszawę, wrzucali do piwnic granaty. Widziałam to na własne oczy – mówi pani Irena.

W lokalu powyżej jej mieszkania pocisk uszkodził podłogę i tamtędy przedostawały się woda i śnieg. – Podstawiałam różne miski, miednice i garnki, łapałam tę wodę, żeby nie zalewała podłogi. Dość długo ta dziura tam była, ale dało się żyć – wspomina.

A kapliczka? – Kapliczka istniała. Ale specjalnie ludzie się nią nie interesowali. Każdy chciał przede wszystkim swoje mieszkanie oczyścić, pracę zdobyć – przyznaje.

Pani Irena wróciła do szkoły, życie toczyło się dalej. O Matkę Boską dbała jedna z lokatorek, pani Radkowa. Ze składek lokatorów zapłacono za ogrodzenie, zasadzono kwiaty. Po jej śmierci pałeczkę przejęli inni.

Z wojny Maryja z ul. Mickiewicza wyszła jednak nie bez szwanku. Gdy w 2005 r. dokonano jej profesjonalnej konserwacji. Okazało się, że ma ubytki od postrzałów, uzupełniane na bieżąco cementem. Dopiero po jego usunięciu Madonna odzyskała dawne proporcje i lekkość. Zdjęto też wiele warstw nakładanej po amatorsku farby olejnej.

W 2009 r., dzięki staraniom Urszuli Zaniewskiej, figurę wpisano do rejestru zabytków.

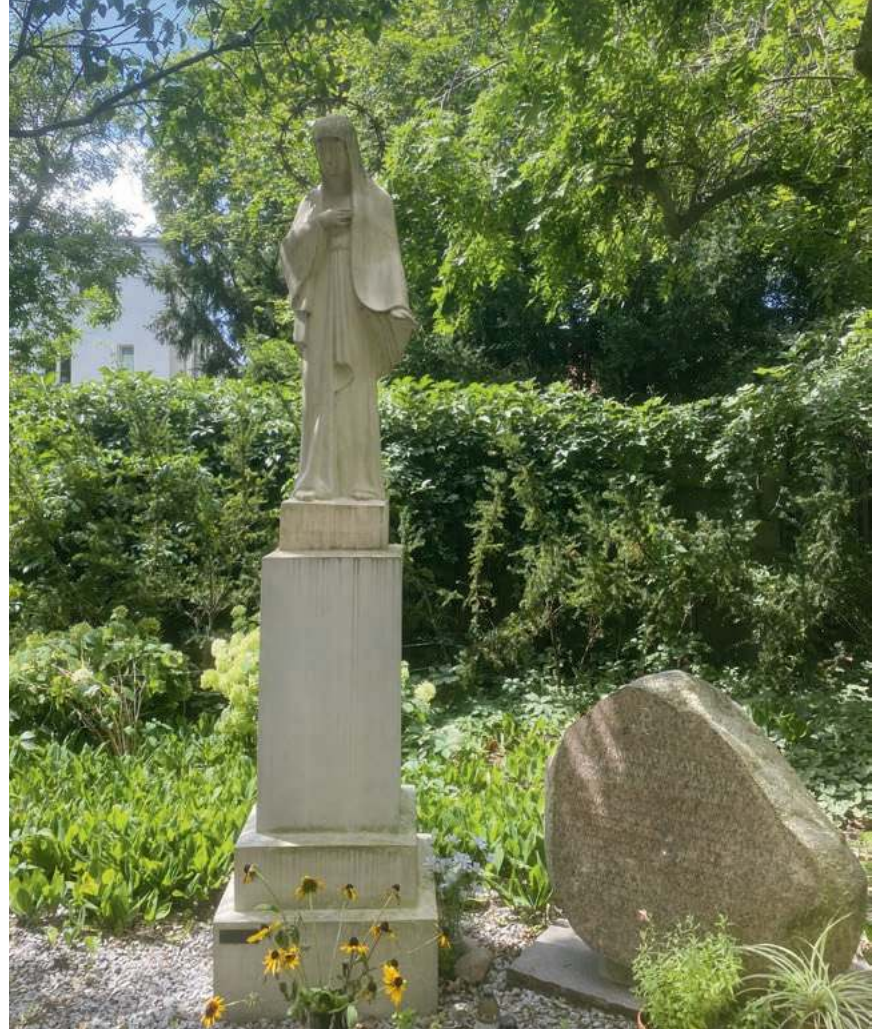

PATRYCJA BUKALSKA

Madonna na podwórku domu przy ul. Mickiewicza 27 na Żoliborzu. Z boku kamień z nazwiskami lokatorów, poległych i zmarłych podczas powstania warszawskiego.

JEZUS Z POWĄZEK | Lipiec roku 2026. Na dwa tygodnie przed rocznicą wybuchu powstania na Cmentarzu Powązkowskim powstańcze groby są już udekorowane.

Przyszłam tu, aby zobaczyć kapliczkę – jedyną w swoim rodzaju. Mówiła mi o niej wcześniej Katarzyna Utracka: – To mała drewniana kapliczka z Jezusem Frasobliwym. Została zbudowana w 1947 r., w oparciu o szkice Ewy Faryaszewskiej, łączniczki batalionu „Wigry", która zginęła w powstaniu.

Ewa była studentką ASP, podczas walk na Starym Mieście ratowała i ludzi, i zabytki. Robiła też zdjęcia, dokumentując zniszczenia – i są to jedyne zachowane polskie kolorowe zdjęcia z powstania warszawskiego.

28 sierpnia została ciężko ranna. Zmarła tego samego dnia na rękach matki, która później zamówiła kapliczkę. – Myślę, że tak jak Ewa, jej matka również była czuła na piękno, na sztukę i tak właśnie chciała upamiętnić jedyną córkę – opowiadała historyczka.

Kapliczkę zawieszono na drzewie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Potem drzewo wycięto, a że drewniana kapliczka niszczała, rodzina Ewy zamówiła jej replikę. Kilka lat temu Muzeum Powstania Warszawskiego przeprowadziło konserwację tej repliki, która następnie wróciła na Powązki (oryginalna kapliczka pozostaje w zbiorach rodziny).

Dziś wisi na wysokim drewnianym krzyżu, wśród powstańczych mogił w kwaterze batalionu AK „Wigry", nad symbolicznym grobem Ewy.

Zadzieram głowę, mrużę oczy w słońcu. Jezus Frasobliwy jest mały, poczerniały od deszczu i śniegu. Siedzi w swojej malutkiej kapliczce, wysoko. Patrzy w dół, ku szeregom grobów, jakby zawieszony między niebem a ziemią.

© PATRYCJA BUKALSKA

eprasa.pl 66b790add1

NAUKA

CO TO ZA ŻYCIE

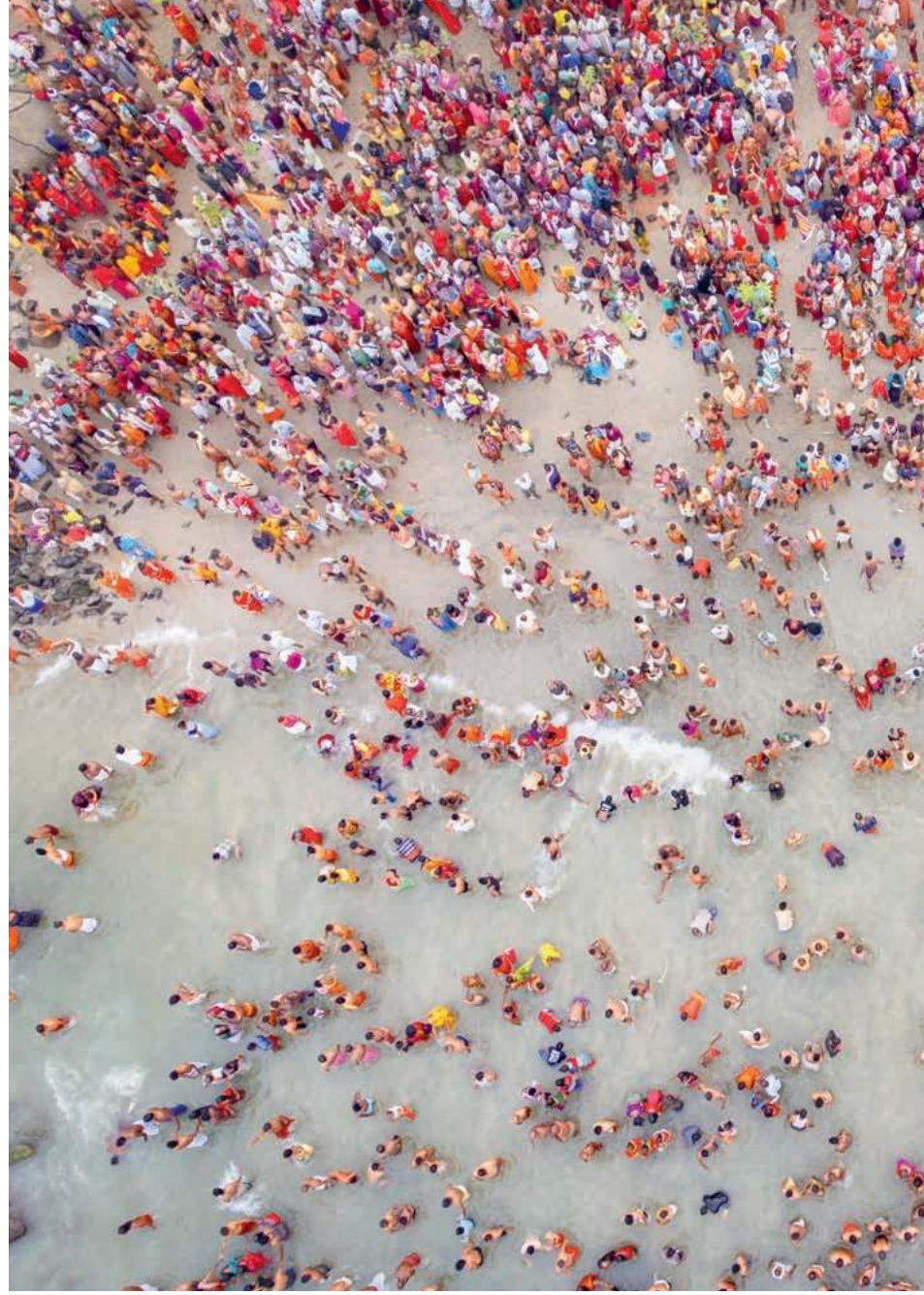

KATARZYNA ADAMALA, BIOLOŻKA:

Sztuczne komórki, które stworzyliśmy, pobierają pokarm, produkują białka na podstawie genów, rosną i się rozmnażają. Nie są jeszcze bardzo wydajne. Ale biologia syntetyczna kiedyś zmieni świat.

ŁUKASZ KWIATEK: Bawiłaś się klockami w dzieciństwie?

KATARZYNA ADAMALA: Jasne, że się bawiłam.

A pamiętasz swoją najbardziej imponującą budowlę?

Nie wiem, czy miałam imponujące budowle. Budowałam głównie folwarki zwierzęce, bo zawsze chciałam mieć zwierzęta, zresztą jako dziecko też miałam.

Teraz zbudowałaś z chemicznych klocków coś bardzo imponującego. SpudCells, syntetyczne komórki, które pod wieloma względami przypominają żywe istoty. Jak do tego doszło?

Zajęło nam to dużo czasu. Od około dziesięciu lat różne grupy badawcze próbowały zrobić to, co nam się w końcu udało. Oczywiście nie zaczynaliśmy od zera, wykorzystaliśmy systemy i narzędzia – te chemiczne klocki – stworzone przez inne zespoły. Od dawna z nimi eksperymentujemy, a nad samym SpudCell, czyli złożeniem tych klocków w coś, co przypomina komórkę, zaczęliśmy pracować jakieś pięć lat temu.

Porozmawiajmy o tych chemicznych klockach – z czego zbudowana jest SpudCell?

Wszystko znajduje się wewnątrz liposomu, czyli pęcherzyka otoczonego błoną lipidową, jego budowa przypomina błonę komórkową. W środku mamy informację genetyczną – DNA w formie siedmiu lub dziewięciu (w zależności od wersji komórki) kolistych plazmidów, podobnie jak u bakterii. Mamy też cały system ekspresji białek, czyli rybosomy, które dokonują syntezy białek, i wszystkie substraty potrzebne do stworzenia każdego białka. Ten system, znany jako PURE, to popularne w biochemii narzędzie do tworzenia białek na podstawie informacji genetycznej, które działa poza komórką – w probówce. My go trochę przerobiliśmy na nasze potrzeby i zamknęliśmy razem z innymi elementami w sztucznej komórce.

I jak to wszystko działa?

eprasa.pl 66b790add1



YADU KRISHNAN / SHUTTERSTOCK

Gdy dochodzi do syntezy jakiegoś białka, to może ono pełnić swoje funkcje metaboliczne wewnątrz komórki albo przenieść się do błony komórkowej. Białka wędrujące do błony trafiają do niej po prostu dzięki prawom fizyki. W błonie komórkowej te białka tworzą kanały, które mają potrójną rolę. Jak to bywa z kanałami – pozwalają przenikać różnym związkom do komórki. Tą drogą komórka SpudCell otrzymuje wszystko, czego potrzebuje do funkcjonowania. Białka z błony komórkowej – to ich druga funkcja – pomagają również komórce rosnąć. Mają one specjalne znaczniki, które sygnalizują, że komórka jest gotowa do tego, żeby pobrać pokarm z otoczenia. Ich trzecią funkcją jest to, że pomagają komórce się dzielić.

SpudCell potrafi właśnie te rzeczy: produkuje białka potrzebne do swojego funkcjonowania, rośnie, pobiera pokarm i dzieli się na komórki potomne. Nie ma tutaj innych funkcji, które pojawiają się w organizmach – np. katabolizmu, czyli funkcji rozkładania zużytego białka czy cząsteczek RNA. Wszystko, co do komórki trafia, zostaje w niej i w zasadzie zatruwa jej metabolizm. SpudCell nie potrafi też przeprowadzić żadnej biosyntezy materiałów budulcowych – wszystkie aminokwasy czy nukleotydy potrzebne do jej funkcjonowania muszą być do niej dostarczane z zewnątrz.

To właśnie znajduje się w „pokarmie" dostarczanym za pomocą innych liposomów („pokarmowych"). Czyli swoistych paczek z materiałem budulcowym i częściami zamiennymi. To wasz oryginalny pomysł?

Różne grupy badawcze próbowały upakować te wszystkie elementy w komórce syntetycznej różnymi sposobami. Większość naukowców, którzy pracują nad tworzeniem od podstaw sztucznych komórek, dostarcza do nich wszystkie związki podobnie jak my – czyli w gotowej postaci. Po prostu inaczej na razie nie potrafimy tego zrobić – nie wiemy jeszcze, jak wyprodukować większość tych potrzebnych związków budulcowych wewnątrz samej komórki.

Podobnie było z mechanizmem tworzenia białek, czyli wspomnianym systemem PURE, mechanizmem replikacji DNA czy mechanizmem budowy błony komórkowej. My ich nie wymyśliliśmy, ale jako pierwszym udało nam się je połączyć w jedną komórkę. Konkretny sposób dostarczania tych materiałów opracowaliśmy sami, podobnie jak mechanizm, który prowadzi do dzielenia się komórek.

A jak komórka podejmuje decyzje, co zrobić – np. czy ma pobrać pokarm, czy może się podzielić? Jej zachowaniem steruje środowisko zewnętrzne?

Nie, to wszystko dzieje się już w środku. Nie ma żadnego zewnętrznego sygnału, który uruchamia procesy. Proces jest trochę chaotyczny, bo w przeciwieństwie do żywych komórek, SpudCells na razie nie mają tzw. punktów kontrolnych cyklu komórkowego. Czyli systemu nadzorowania tego, co się dzieje wewnątrz komórki, skomplikowanego systemu sygnalizacji, który powiedziałby: teraz jemy, a teraz się dzielimy. W SpudCell procesy zachodzą wtedy, kiedy komórka jest na nie gotowa. Np. białka, które wędrują do błony komórkowej, w końcu nagromadzą się w takiej ilości, że komórka zacznie rosnąć. Gdy urośnie, inne mechanizmy doprowadzą do tego, że zacznie się dzielić.

A jak bardzo zwiększa swoją powierzchnię w fazie wzrostu?

Około pięciokrotnie.

O, to bardzo dużo.

Prawda, ale to też zależy od konkretnej komórki. Bo w populacji tworzy się duża niejednorodność. Nawet jeśli ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ z początku wszystkie komórki wyglądają tak samo, to przez to, że brakuje tego nadzoru, każda zaczyna funkcjonować trochę inaczej w swoim otoczeniu. Różne mechanizmy zajmują w niej różną ilość czasu i kiedy już nadejdzie moment, że trzeba się dzielić, to komórki będą miały różną wielkość.

Jak to możliwe, że błona lipidowa nie rozrywa się, gdy komórka rośnie, tylko sama się powiększa?

Błona się nie rozrywa, bo w liposomach pokarmowych znajdują się jej składniki – i przez to, że trafiają do komórki, błona systematycznie rośnie.

Podział komórki jest zupełnie chaotyczny? Skoro do komórek potomnych trafiają odpowiednie mechanizmy, które pozwalają jej wieść to swoje quasiżycie, to wszystko musi chyba działać dość precyzyjnie?

W naturalnych komórkach to działa bardzo precyzyjnie. Syntetyczne komórki, albo raczej inżynierowie je budujący, dopiero się uczą tej precyzji.

Do pięciu pokoleń uzyskujemy bardzo solidne wyniki, w kolejnych systemy bardzo szwankują. Na razie ok. 30 proc. populacji komórek poprawnie rośnie i dzieli się – w pozostałych pojawiają się różne problemy. Wynikają one przede wszystkim z braku mechanizmów kontrolnych nad procesami metabolicznymi i braku szkieletu cytoplazmatycznego, który w organizmach porządkuje środowisko wewnętrzne komórek. W SpudCell na razie jest ono bardziej chaotyczne.

Jak wybraliście geny, które trafiły do komórek?

Wykorzystaliśmy wyłącznie takie, których funkcje chcieliśmy wprowadzić do komórek. Wszystkie te geny są dobrze poznane, wiemy dokładnie, jak funkcjonują. Nie ma tutaj żadnych śmieci czy tzw. niezbędnych genów o nieznanej funkcji. Okazuje się, że w żywych organizmach jest spory odsetek tego typu tajemniczych genów. Jeśli się je wytnie, to organizm ginie, ale nikt jeszcze nie wie, co te geny dokładnie robią. W SpudCell wszystko jest zaprojektowane od zera, więc możemy dobrać geny pod konkretne zastosowania, na których nam zależy.

SpudCells odżywiają się, rosną, różnicują się fenotypowo i dzielą, kopiując genom – to oznacza, że zachodzi w nich ewolucja?

Ewolucji nie ma, ale jest selekcja. Nie ma ewolucji z dwóch powodów. Po pierwsze, nie uzyskaliśmy jeszcze zbyt dużej liczby pokoleń, bo, jak wspomniałam, zatrzymujemy się na pięciu. Po drugie, nie ma wystarczającego tempa błędów w kopiowaniu genów z pokolenia na pokolenie. Narzędzia, których używamy, działają niestety zbyt dobrze i genom powielany jest z bardzo dużą dokładnością. Nie mamy takich narzędzi, które działają trochę gorzej. Możemy za to sami eksperymentalnie wprowadzać mutacje. I robimy to, by przyglądać się, do czego mutacja doprowadzi.

Czyli możecie sprawić, że komórka będzie szybciej jeść, szybciej rosnąć i lepiej się dzielić?

Tak, ale tylko sztucznie wprowadzając mutację. Nie ma więc tutaj naturalnej selekcji – jest sztuczny dobór.

Żeby poprawić te systemy, będziecie potrzebować jakiejś rewolucji? Zupełnie innego zestawu chemicznych klocków?

Rewolucji na razie nie potrzebujemy. Jestem pewna, że nasze obecne technologie możemy jeszcze długo rozwijać i poprawiać.

Wy swoją komórkę budujecie od zera. Od kilku lat głośno jest także o innym projekcie biologii syntetycznej – odchudzaniu genomu komórki bakteryjnej o zbędne geny, by uzyskać tzw. komórkę minimalną, którą potem można próbować przerabiać na własne potrzeby. Co sądzisz o tym przeciwnym podejściu?

Jest bardzo interesujące, potrzebne i komplementarne do tego, co my robimy. Zresztą, połowa mojej grupy badawczej blisko współpracuje z J. Craig Venter Institute, czyli instytutem badawczym, który projektuje te minimalne komórki. Zaletą naszego podejścia jest większa kontrola nad tym, co się dzieje w komórce, choć wprowadzanie kolejnych funkcji życiowych do SpudCell nie jest łatwe.

W tej „odchudzanej" komórce bakteryjnej udało się zejść do ok. 470 genów – tyle potrzeba, by komórka zachowała podstawowe funkcje życiowe. SpudCell na razie ma kilkadziesiąt genów. Rozumiem, że chcecie dodawać kolejne?

Tak, będziemy dodawać geny, wraz z nimi nowe funkcje, a także usprawniać te funkcje, które już mamy – przede wszystkim związane ze wzrostem i podziałem komórki. Naszym kolejnym dużym krokiem będzie nauczenie komórek tworzenia własnych rybosomów, czyli tych linii produkcyjnych potrzebnych do tworzenia białek, które na razie dostarczamy z zewnątrz. Musimy to wszystko usprawniać małymi kroczkami. Tak wyglądają nasze plany na następne dwa lata.

SpudCell to na razie projekt badawczy, ale wyobrażam sobie, że może mieć też olbrzymi potencjał komercyjny. Miałaś już telefony z jakichś firm biotechnologicznych?

Jedyne oferty, jakie już dostałam, brzmiały tak, że ktoś wpłaci dziesięć milionów dolarów na badania, jeśli tylko podam swój numer ubezpieczenia społecznego. Więc nie – na razie były tylko próby wykradania danych. Jeszcze nie jesteśmy gotowi na żadne komercyjne zastosowania, ale w dziesięcioletniej perspektywie komórki syntetyczne będą ważne, zwłaszcza w technologiach projektowania i produkcji leków. Szczególnie takich leków, które składają się ze związków niewystępujących w naturze. To duża grupa leków, zawierających aminokwasy i inne cząsteczki, które trudno byłoby przygotować w drożdżach czy bakteriach.

Dlaczego właściwie leki byłoby łatwiej produkować w sztucznych komórkach niż w zmodyfikowanych żywych organizmach? Od lat mamy już nowoczesny system edycji genów, zresztą opracowany m.in. przez noblistkę Jennifer Doudnę, z którą miałaś tego samego promotora doktoratu – Jacka Szostaka, też skądinąd laureata Nobla. Czy ta słynna technologia genetycznych nożyczek CRISPR-Cas9 nie pozwala na zrobienie wszystkiego, co chcemy, w genomie bakterii?

Ta technologia rzeczywiście pozwala na wszystko w genomie, ale nie w bio-

eprasa.pl 66b790add1

chemii samej komórki. Komórka stworzy białka tylko z tych substratów, które znajdują się w jej wnętrzu. Jeśli potrzebujesz aminokwasu, którego komórka nie ma, to robi się problem. A nawet kilka problemów. Bo aminokwas trzeba do komórki dostarczyć. Potem trzeba go przyczepić do tRNA, które trafia do rybosomu i w końcu ten aminokwas musi zostać wbudowany w białko. Na każdym z tych etapów pojawiają się komplikacje, bo komórka nie jest przyzwyczajona do obecności w jej wnętrzu tych „obcych" aminokwasów, które akurat są potrzebne do stworzenia leku.

W SpudCell nie ma takich ograniczeń. Sztuczna komórka może być głupia jak but i dzięki temu nie będzie sprawiać problemów. Nie będzie mieć ewolucyjnych ograniczeń, które by blokowały ścieżki chemiczne, których akurat potrzebujemy. Takie systemy znacznie łatwiej zbudować od zera, a potem w bioreaktorach można już cokolwiek bardzo szybko namnożyć.

Gdy pracujesz nad SpudCells, to zadajesz sobie pytania filozoficzne? Bo ta technologia może trochę namieszać w naszym rozumieniu, czym jest życie.

Niespecjalnie. Życie nie jest dla mnie czymś tajemniczym. Myślę, że życie polega na funkcjonowaniu bardzo złożonych mieszanin chemicznych. To brzmi dość prozaicznie, ale dla mnie to jest tym bardziej imponujące, że w życiu nie ma żadnej magii, są tylko komórki zbudowane z molekuł chemicznych.

Filozofowie lubią się też zastanawiać nad tym, czy sposób, w jaki ewolucja życia zaszła na Ziemi, był zupełnie przypadkowy, czy po części nieunikniony. Czyli czy wszystko potoczyłoby się podobnie, gdybyśmy cofnęli się o kilka miliardów lat i ponownie puścili ewolucję w ruch? Komórki syntetyczne wpisują się w taką dyskusję, bo świetnie nadawałyby się do zapoczątkowania ewolucji życia w jakimś zamkniętym środowisku – np. na innej planecie. Nie masz takiej pokusy, żeby SpudCells – jak już poprawicie niektóre procesy – wysłać na obcą planetę, a potem się zastanawiać, co tam też z tego kiedyś wyrośnie? Kto wie, może ten drugi żywy świat byłby lepszy niż nasz?

Rzeczywiście taki eksperyment byłby możliwy z użyciem komórek syntetycznych. Ale nie, nie myślałam o tym. W ewolucji na pewno było mnóstwo przypadków – nawet gdybyśmy się cofnęli do dinozaurów, to wiele rzeczy mogłoby zajść inaczej, niż się to stało.

Nie odpowiem na pytanie, czy dałoby się w ten sposób stworzyć lepszy świat, bo tego nie wiemy, ale mogę dodać, że w naszych ciałach jest oczywiście wiele procesów, które dałoby się usprawnić. Wie to każdy, kto boryka się z jakimiś problemami zdrowotnymi. Nie widzę jednak biologii syntetycznej jako technologii, która mogłaby jakoś pomóc usprawnić człowieka.

Zastanawiam się jednak, jakie są jej granice, jeśli uznamy, że wkracza ona, m.in. za sprawą SpudCell, w nowy rozdział. Wyobrażasz sobie, że za sto lat ludzie będą projektowali organizmy na własne potrzeby tak, jak dzisiaj projektuje się domy?

Mam nadzieję, że szybciej niż za sto lat! Uważam, że biologia musi stać się technologią ogólnego zastosowania. To trochę jak z komputerem, który teraz może służyć do rozmaitych rzeczy – pisania tekstu, programowania, dzwonienia, rozrywki itd. Na razie biologia taką technologią nie jest, bo dysponujemy komórkami, które pozwalają na bardzo wyspecjalizowane zastosowania. A w przyszłości będziemy mogli wykorzystać biologię, by walczyć ze zmianami klimatu, albo by podnieść dobrobyt. Mam nadzieję, że taka zmiana nastąpi w ciągu dwóch-trzech dekad.



MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA ADAMALA jest profesorką biologii na Uniwersytecie Minnesoty. Specjalizuje się w biologii syntetycznej, czyli projektowaniu i badaniu sztucznych komórek, które zachowują się podobnie jak organizmy żywe. To dynamicznie rozwijająca się dyscyplina, która rzuca światło na to, jak życie powstało na Ziemi i jak może funkcjonować w kosmosie, ma także duży potencjał aplikacyjny (np. w produkcji leków). System SpudCell stworzony przez zespół prof. Adamali to pierwsza tego rodzaju syntetyczna komórka, która produkuje białka, pobiera pokarm, rośnie i się rozmnaża.

To ja bardziej puściłem wodze fantazji, gdy mówiłem o tym stuleciu. Bo wyobraziłem sobie, że ktoś będzie mógł sobie kiedyś wyhodować żywego-sztucznego pieska ze skrzydłami i dziobem bociana, jeśli będzie miał taką fantazję.

Tylko tego brakuje, żeby mój pies miał skrzydła i dziób. Na razie wystarcza mi płot, a musiałabym jeszcze siatkę założyć. A poważnie: uważam, że to zupełnie nierealne. Po pierwsze, trudno byłoby zaprojektować psa ze skrzydłami, bo mówimy tu o niekompatybilnych rozwiązaniach anatomicznych. Po drugie, biologia syntetyczna zostanie na poziomie komórek. Zwierzątka domowego nie wyhodujemy.

Każdy organizm zaczyna się jako pojedyncza komórka... Ale dobrze, wróćmy na ziemię – przynajmniej trochę. Gdy wspomniałaś, że zaczęliście pracować nad SpudCell w pandemii, przypomniało mi się, w jakich okolicznościach Mary Shelly napisała „Frankensteina".

Też w izolacji – zamknęła się w posiadłości w Szwajcarii nad Jeziorem Genewskim.

Tyle że nie z powodu pandemii, a wybuchu wulkanu Tambora i „roku bez lata", który wtedy nastąpił. W każdym razie wymyśliła swoje sztuczne życie w sytuacji, gdy sporej części ludzi wydawało się, że kończy się świat. Widzę tu podobieństwo.

Lubię opowieść o Frankensteinie, bo można się z niej wiele nauczyć. Ale nie używam tej analogii publicznie, bo ludzie alergicznie na nią reagują. Wolę nie mówić, że SpudCells przypominają takie małe Frankensteiny. Bo od razu bym usłyszała: o Boże! Stworzyłaś potwora!?

©℗ Rozmawiał ŁUKASZ KWIATEK

eprasa.pl 66b790add1

KULTURA

MROCZNY OPTYMISTA

Ian Rankin spadku formy nie zaliczył w gruncie rzeczy nigdy, choć sprzedał dziesiątki milionów książek. Utrzymanie kondycji przez całą karierę to osiągnięcie godne Messiego.

PIOTR KOFTA



Współczesnym kryminałem rządzi prawo serii. Oczywiście pierwszym, który przed ponad stuleciem założył sobie te złote kajdanki, był Arthur Conan Doyle: pragnął pisać wielkie powieści historyczne (i nawet pisał – nikt ich dziś nie czyta), ale publiczność domagała się opowiadań i nowel o ekscentrycznym detektywie tak namolnie, że został zmuszony do wyciągnięcia Sherlocka Holmesa z grobu; nie bez znaczenia była tu, naturalnie, również monstrualna zaliczka prosto ze Stanów Zjednoczonych.

Tak czy owak, twórców, którzy piszą dziś w ramach gatunku pojedyncze powieści bez kontynuacji (to zjawisko tak dziwne, że na rynku anglojęzycznym ukuto dla niego osobny termin: *standalone novel*), jest niewielu, a i tak najczęściej robią to w przerwie między kolej-

eprasa.pl 66b790add1



PAUL GROVER / SHUTTERSTOCK / REX FEATURES / EAST NEWS

Ian Rankin, 2024 r.

nymi tomami swojej aktualnej bestsellerowej serii – bo mogą sobie na to pozwolić jako uznani pisarze i pisarki.

Jeśli natomiast jesteś aspirującą autorką – bądź autorem – kryminałów, zarówno ty, jak i twój wydawca marzycie na pewno o dobrym wejściu w cykl, a potem o ciągnięciu go tak długo, jak tylko się da. W retronostalgicznej kulturze wiecznej repetycji jest to sensowny model biznesowy, zwłaszcza że konwencja kryminalna, przynajmniej pozornie, sama w sobie bazuje na powtarzalności.

Jak być w formie

I tu zaczynają się problemy: świat się zmienia i komplikuje, bohaterowie się starzeją, koncepty kończą. Kultura popularna to cmentarzysko nieudanych, niedokończonych, spartaczonych cykli powieściowych. Seryjność – najczęściej – wymusza powolną, a potem coraz szybszą utratę jakości. Zombifikację bohaterów. Chodzenie ścieżkami na skróty albo, przeciwnie, rozdymanie nowel do rozmiarów biblijnych. Wszechogarniającą, schematyczną nudę, łataną efekciarstwem i flakami zwisającymi z żyrandola. Jest to autentyczna walka o przetrwanie, z której bez szwanku wychodzą nieliczni.

W pewnym sensie seryjność w kryminale (zresztą nie tylko w nim) to zatem wyzwanie: rodzaj testu pisarskiej sprawności, pomysłowości, epickiej wyobraźni, ale też wielkiej cierpliwości. Można ten test obejść trickiem: tak uczynił Lee Child, opowiadając o kolejnych przygodach Jacka Reachera – Reacher trwa przecież w bezczasie, a ogrom amerykańskich przestrzeni umożliwia mu wielokrotne wchodzenie do tej samej rzeki. Poza tym to dobrze zrobiony pastisz, pastisze zaś pozwalają podnieść wyżej poprzeczkę umowności.

Da się też od początku obmyślić cykl jako skończoną formę – niczym w jednej z najlepszych serii w dziejach polskiej literatury kryminalnej, czyli tetralogii o Krystynie Lesińskiej pióra Anny Kańtoch. W innym wypadku autor staje się wszelako szczególnego rodzaju niewolnikiem biografii swojego bohatera. Może być to – mimo ewidentnych profitów – sytuacja irytująca. Henning Mankell był to tego stopnia umordowany pisaniem kolejnych powieści o komisarzu Kurcie Wallanderze, że na koniec ukarał swojego protagonistę chorobą Alzheimera.

Jednym okiem zerkając na dobiegający właśnie końca mundial, zmierzam do pewnej konstatacji: utrzymanie równej, wysokiej formy przez całą karierę to osiągnięcie godne Lionela Messiego. Wypalenie zawodowe dotyka zarówno piłkarzy, jak i pisarzy.

Jak się starzeć

Myśl ta przyszła mi do głowy podczas lektury „Serca pełnego grobów" Iana Rankina, czyli dwudziestej czwartej (tak!) odsłony cyklu o edynburskim policjancie Johnie Rebusie. Rankin ewidentnego spadku formy nie zaliczył w gruncie rzeczy nigdy, choć sprzedał dziesiątki milionów egzemplarzy swoich książek – mógłby już spokojnie osiąść na laurach (od 2022 r. posiada nawet tytuł szlachecki, więc powinno się o nim pisać w zasadzie sir Ian Rankin).

Choć zwykle unika bezpośrednich porównań ze swoim bohaterem – w wywiadach bagatelizuje sprawę, mówiąc, że praktycznie nic go nie łączy z Rebusem poza pubem, w którym lubią się napić piwa – jedną cechę z pewnością mają wspólną: upór. Być może to po prostu typowo szkocki atrybut.

Cykl o Rebusie zasługuje już na swoją własną encyklopedię, tyle osób, zdarzeń, miejsc i przedmiotów zaistniało w tych książkach przez ostatnie 39 lat – pierwsza część, „Supełki i krzyżyki", ukazała się oryginalnie w 1987 r., w świecie maszyn do pisania, teleksów i telefonów z tarczą. Rankin wspomina, że policjanci, indagowani przez niego w którymś z edynburskich komisariatów o szczegóły pracy śledczej, mieli do dyspozycji jeden komputer – gdy ktoś potrzebował na nim popracować, odłączano go z gniazdka i przenoszono między pokojami.

A jednak wciąż jest to świeża, emocjonująca proza, choć także Rankin próbował swojego niepokornego gliniarza wysłać bezpowrotnie na emeryturę (w „Pożegnalnym bluesie", części nr 17 z 2007 r.). Musi być coś w często powtarzanym przez pisarzy stwierdzeniu, że stworzone przez nich postaci się usamodzielniają i są w stanie powalczyć o swoje istnienie. Po pięciu latach przerwy Rebus powrócił w powieści „Stojąc w cudzym grobie" już jako upierdliwy emeryt, wtrącający się bez pardonu w policyjną robotę.

Zresztą Rankin opowiada zwykle o Rebusie tak, jakby ten po prostu był realnie istniejącym człowiekiem. A skoro tak, nie sposób go zwyczajnie wykreślić, mimo że składa się ze słów. Rebus zrósł się w równej mierze z życiem Rankina, jak i z Edynburgiem, w którym przeważnie ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ przebiega akcja powieści z jego udziałem. Dość wspomnieć, że turyści regularnie podążają ulicami stolicy Szkocji śladem Rebusa.

Jak błądzić

Rebus – gburowaty gliniarz kwestionujący autorytety i rozkazy, samotnik nieumiejący nawiązać stałych relacji z kobietami, duchowy konserwatysta z kalwińskim zacięciem, mistrz sklejania pozornie niepowiązanych wątków i uporczywego zadawania pytań, zawodnik ze starej szkoły, odrzucający technologię na rzecz sieci informatorów i wytrwałego dreptania po mieście, wielbiciel muzyki, co wyszła z mody – w „Sercu pełnym grobów" staje przed sądem.

Niczego nie zdradzam, bo to pierwsze strony powieści. Ale Rebus staje przed sądem także w sensie metaforycznym: „Serce pełne grobów" to książka o świecie, który odchodzi w przeszłość, i który przed odejściem zostaje zmuszony do prawdziwych rozliczeń. To nie znaczy, rzecz jasna, że nowe, które przychodzi, jest lepsze. Jest zapewne inne.

Ale Rebus, niepotrafiący do tej pory pogodzić się z własnym starzeniem, emeryturą, utratą możliwości, jakie wiążą się z pozycją policyjnego śledczego, zdobywa się na rodzaj szczerej ekspiacji: „Ale czy sam nie był złym człowiekiem, skoro częściej zadawał się z diabłami niż z aniołami? Łamał prawo, preparował dowody, brał łapówki, aresztował winnych za przestępstwa, których nie popełnili, bo nie umiał udowodnić im tych, które rzeczywiście mieli na sumieniu. Jako narzędzi zastraszania używał pięści i butów. Wszystko to znajdowało się w pudłach z aktami z wydziału wewnętrznego, nawet rzeczy, o których dawno zapomniał".

To cały Rankin. Nigdy niepopadający w samozadowolenie. Zawsze gotów zakwestionować racje moralne swojego głównego bohatera. Zawsze umiejący pokazać, że między światłem a cieniem jest mnóstwo miejsca na wątpliwości w kwestii tego, czym konkretnie jest dobro i zło w rzeczywistości tak skomplikowanej, wielowarstwowej, zakorzenionej w dziejach wzajemnych krzywd i długów wdzięczności.

Jak pisać

„Serce pełne grobów" zaczyna się banalnie: oto pewien policjant z komisariatu znanego w całym Edynburgu z brutalnych metod wymuszania zeznań i fatalnego traktowania podejrzanych, sam popada w kłopoty – wielokrotnie dopuścił się przemocy domowej wobec swojej żony. Policjant stawia kolegom i kierownictwu ultimatum: albo oczyszczą go z zarzutów, albo zacznie sypać.

Ian Rankin ma ucho do dialogów i prawdziwie balzakowski dryg do wielkich panoram. **Krótko mówiąc: świetnie zna się na ludziach.**

Jest w Edynburgu wielu zainteresowanych jego zeznaniami. I równie wielu takich, którzy pragnęliby go uciszyć. Generalnie służby wpadają w panikę. Tymczasem Rebus – obecnie cywil mocno po sześćdziesiątce, z psem i dużą ilością wolnego czasu – wykonuje drobne zlecenie dla swojego odwiecznego wroga, niegdysiejszego szefa edynburskiej mafii: łączy ich osobliwa *love-hate relationship*. Nie muszę chyba dodawać, że sprawy się połączą. Ale – jak to u Rankina – całkiem inaczej, niż spodziewałby się czytelnik.

Cenię u szkockiego pisarza umiejętność budowania trzymających w napięciu fabuł z niekoniecznie atrakcyjnych detali. Cała konstrukcja bazuje na krótkich scenach, zdawkowych dialogach, codziennej krzątaninie. Ma się przy tym wrażenie obcowania z partyturą na dużą orkiestrę symfoniczną, w której nawet ten chłop, który w 35. minucie jeden jedyny raz wali w kocioł, ma istotną rolę do odegrania. Z drugiej strony suspens rodzi się tu jednak z dynamiki życia, nie z literackiej ustawki. W żadnym momencie właściwie nie dochodzi do dużego stężenia patosu ani okrucieństwa.

Rankin ma ucho do dialogów i prawdziwie balzakowski dryg do ścibolenia wielkich panoram drobnym ściegiem. Krótko mówiąc – świetnie zna się na ludziach i na społeczeństwie, w którym żyje, przy pełnej świadomości, że pracuje w określonej konwencji. „Żaden kryminał procedur policyjnych nie jest realistyczny. Realistyczny opis tych procedur skutkowałby najnudniejszą książką świata, ponieważ robota policyjna jest nużąca, a policjanci to tylko małe kółka zębate w wielkiej maszynerii; nie mają nawet wglądu w swoje postępowania od początku do końca" – tłumaczył przed laty w jednym z wywiadów.

Co ciekawe, niewiele brakowało, żeby Rebus zakończył swoją egzystencję już w „Supełkach i krzyżykach", w chwilę po tym, jak ją rozpoczął.

Jak debiutować

Z Cardenden w hrabstwie Fife do Edynburga jedzie się godzinę pociągiem. Jest to jednak w sensie kulturowym i społecznym daleka podróż. A już na pewno była taką w czasach młodości Rankina, który się w górniczym miasteczku Cardenden – złośliwie nazywanym przez miejscową młodzież „Car-dead-end", czyli „ślepą uliczką" – urodził (podzieliwszy się miejscem urodzenia z Rebusem, choć Rebus pozostaje rocznikowo starszy o dobrą dekadę).

Rankin, syn sklepikarza i szkolnej kucharki, był pierwszym w rodzinie, który zyskał wyższe wykształcenie. W dzieciństwie dużo czytał, rysował komiksy, snuł marzenia o karierze gwiazdy rocka, przyglądając się jednocześnie, jak jego miejscowość podupada po zamknięciu kopalń. „Kiedy miałem 12-13 lat, dokonałem fenomenalnego odkrycia, że wprawdzie do kina na filmy dla dorosłych mnie nie wpuszczą, ale mogę przecież pójść do biblioteki i wypożyczyć »Ojca chrzestnego« bądź »Mechaniczną pomarańczę«" – opowiadał w wywiadzie dla „Guardiana". „Do Edynburga przybyłem jako outsider. Wydawał mi się bardzo dziwnym miejscem, miastem, które wydawało się coś ukrywać. Szczyciło się swoją historyczną powierzchownością, chcąc w pewnym sensie uniemożliwić patrzącym dojrzenie, jakie jest teraz, współcześnie. Nikt wtedy nie pisał o Edynburgu książek *à la* »Trainspotting«, byłem pierwszym, który w ogóle spróbował".

Zanim Rankin napisał o Edynburgu, zadebiutował powieścią „Ciemne wody" (1986, wyd. pol. C&T 2008, przeł. Wiesław Marcysiak), obyczajowym Bildungsromanem osadzonym w miasteczku bardzo podobnym do Cardenden. „Supełki i krzyżyki", które wyszły rok później, również nie miały być kryminałem *sensu stricto*. Młodego Rankina zaintrygowała twórczość pisarza Williama McIlvanneya

eprasa.pl 66b790add1

(1936-2015), który także miał wtedy na koncie dwie powieści kryminalne („Inspektor Laidlaw" i „Poszukiwany Tony Veitch" – obie ukazały się przed mniej więcej dekadą w polskich tłumaczeniach i, choć są świetne, przeszły u nas niemal całkowicie bez echa).

McIlvanney – z którym w późniejszych latach Rankin się zaprzyjaźnił i którego niedokończony kryminał „The Dark Remains" całkiem niedawno, bo w 2021 r., zredagował i dopisał do końca – w tonie bliskim amerykańskiemu *noir* portretował zakazane dzielnice Glasgow i stworzył spójną, nietuzinkową figurę niesubordynowanego śledczego Jacka Laidlawa. Rankin szukał wówczas klucza do wyglansowanej fasady Edynburga: ujrzał go w nieco podobnej postaci Johna Rebusa, weterana wojskowych służb specjalnych (wyszedł z nich z ciężkim PTSD), policjanta koło czterdziestki, chodzącego własnymi drogami i otwierającego – tudzież wyważającego – drzwi, których pozostali nie umieją albo nie chcą znaleźć.

Jak być upartym

„Supełki i krzyżyki" miały być także hołdem dla innego wybitnego Szkota, Roberta Louisa Stevensona – fabuła książki jest ułożona na kształt parafrazy „Doktora Jekylla i pana Hyde'a", przy czym metaforę autor ułożył w ten sposób, aby prześwitywały przez nią, w nowoczesno-gotyckiej estetyce, dwa skrajnie różne oblicza samego miasta. Wszystko to było bardzo sprytne i dość mocno przekombinowane: „Supełki i krzyżyki" nie są dobrym kryminałem, choć są zarazem niezłą powieścią psychologiczną. W jednej z wersji John Rebus sam miał się okazać mordercą, w innej – miał zginąć. Dopiero trzeci draft ułożył się w bardziej klasyczną formę kryminalną. Zresztą wszystkie te zabiegi mogły i tak pójść na marne, bo kiedy książka się ukazała, mało kto ją zauważył.

I tu dał znać o sobie szkocki upór. Rankin – po paroletniej przerwie – wrócił do Rebusa i, nieustająco zachęcany przez żonę Mirandę (która pozostaje jego żoną do dziś), pisał kolejne powieści z udziałem detektywa. Znajdowały wydawców, ale nie sprzedawały się dobrze. W międzyczasie małżeństwo wyniosło się na parę lat do Londynu, potem do Francji, gdzie oboje pracowali fizycznie na farmie. Wrócili do Szkocji dopiero wówczas, gdy okazało się, że ich młodszy syn urodził

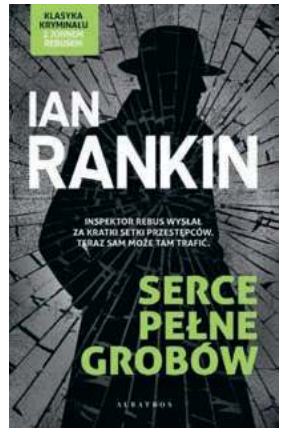

Ian Rankin
SERCE PEŁNE GROBÓW
przeł. Robert Ginalski, Albatros 2026

się z nieuleczalną chorobą genetyczną, zespołem Angelmana.

„Byłem wściekły i zagubiony; cierpiałem na napady paniki i zastanawiałem się, czy nie będę musiał rzucić tego wszystkiego w diabły i znaleźć jakiejś porządnej pracy" – opowiadał pisarz. Wtedy jednak nadszedł przełom w postaci ósmej części cyklu, „Black & Blue". „Czytałem wtedy mnóstwo Jamesa Ellroya i to widać. Przejąłem jego rwane *staccato* i uznałem, że wzorem jego książek zaludnię swój świat prawdziwymi zbrodniami, prawdziwymi czarnymi charakterami i autentycznymi tajemnicami. Mój okres terminowania dobiegł końca; czułem, że wszedłem do głowy Johna Rebusa i doskonale wiem, co w niej siedzi".

Przeczucie się sprawdziło – „Black & Blue" (tytuł, jak wiele innych powieści Rankina, książka zawdzięcza jego miłości do muzyki – w tym wypadku do albumu „Black & Blue" The Rolling Stones) sprzedało się znakomicie i w 1997 r. otrzymało prestiżową brytyjską nagrodę Gold Dagger.

Jak się uśmiechać

Szkocki kryminał był wtedy ogólnie na fali wznoszącej. Pojawiło się opisujące ten fenomen, zbiorcze określenie *tartan noir* (zresztą autorstwa samego Rankina, który w ten sposób żartobliwie nazwał swoje pisanie w rozmowie ze wspomnianym wyżej Jamesem Ellroyem). Pojawili się także interesujący autorzy i autorki – Val McDermid, Stuart MacBride, Denise Mina, Craig Russell czy Peter May – łączący estetykę kryminału ze społecznym naturalizmem, anarchicznym poczuciem humoru i szkocką lokalnością.

Oczywiście owo „noir" może być nieco mylące, bo w większości wypadków jednak mówimy nadal o typowych kryminałach policyjnych. „Rankin pisze głównonurtowe powieści policyjne, oparte na niezbyt noirowym założeniu, że system działa i że w gruncie rzeczy to dobrze" – zauważa Len Wanner w książce „Tartan Noir. The Definitive Guide to Scottish Crime Fiction" (Freight Books, 2015). „Dla każdego, kto czytał prawdziwy *noir*, są to jasne sygnały, że Rankin nie tworzy w tej tradycji literackiej. W tym miejscu wystarczy powiedzieć, że gdyby Rankin pisał *noir*, jego gliniarze nie naginaliby ani nie łamali reguł w celu utrzymania porządku, ponieważ żadnego porządku by nie było". Innymi słowy – wychodzi na to, że Rankin to mroczny optymista.

Twórcy kryminałów dzielą się na projektantów i improwizatorów. Ta klasyfikacja dotyczy naturalnie pisarstwa w ogóle, ale w wypadku literatury kryminalnej wydaje się szczególnie istotna – wedle powszechnej opinii bowiem należy je starannie planować. Nie wszyscy jednak to robią. Lee Child twierdzi, że zaczynając książkę, nie wie o niej prawie nic. I nie wyobraża sobie sytuacji, w której miałby skrupulatnie wypełniać kolejne punkty rozpiski – byłaby to śmiertelna nuda, jako pisarz woli więc występować w roli zaciekawionego pierwszego czytelnika własnego tekstu.

Rankin działa na podobnej zasadzie. „Nigdy nie mam jasno określonego planu – niemal nigdy nie znam zakończenia, dopóki nie wejdę głęboko w pisanie książki. Historia sama czuje, dokąd chce zmierzać, a ja po prostu za nią idę" – wyznawał niegdyś. „W pierwszej wersji tekstu jakaś postać może nagle zmienić imię, bo zapomniałem, jak nazwałem ją na początku – i to jest w porządku, wszystko da się poprawić później. Nie zatrzymuję się też, gdy zatnę się na jakimś słowie czy opisie – dopracuję to w kolejnej wersji".

Te wersje są zawsze trzy, a napisanie pierwszej, opartej na zasadzie swobodnej, intuicyjnej improwizacji, zajmuje około miesiąca. Nie mam pewności, czy o to chodzi, ale być może właśnie w tej swobodzie i niewyznaczaniu sobie granic leży tajemnica sukcesu Rankina i stałej wysokiej jakości jego książek. Tak czy owak, Rebus nr 24 trafił do naszych księgarń, a kolejny od dwóch lat jest już obecny na rynku brytyjskim. By tak rzec: legenda trwa.

© PIOTR KOFTA

eprasa.pl 66b790add1



KAROL ADAM SOKOŁOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Wratislavia Cantans 2025, „Parsifal" Richarda Wagnera pod batutą Christopha Eschenbacha



BRUNO FIDRYCH / MATERIAŁY PRASOWE

30. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, dyrygent Jacek Kaspszyk z Orkiestrą Filharmonii Narodowej



ALICJA RZEPA / KBF

Koncert Vox Luminis w Galerii Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach, Misteria Paschalia 2026

Sztuka wyboru

JAKUB PUCHALSKI

MUZYKA | Na festiwalowej niwie rośnie rywalizacja. Dla słuchaczy – dobra rzecz. Już w tej chwili imprezy zaczynają pokrywać się ze sobą w kalendarzu. Na co zwrócić uwagę?

Może i sezony koncertowe ważnych instytucji w Polsce stają się coraz ciekawsze, ale to wciąż od festiwali oczekujemy największych wydarzeń. Stojąc pomiędzy ich dwiema seriami – wielkanocną i tą z granicy lata i jesieni – można spojrzeć, dokąd zmierzają i co proponują.

Tradycja

Na początek Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, nie tylko dlatego, że w tym roku odbył się po raz pierwszy bez swej twórczyni, Elżbiety Pendereckiej, ale też dlatego, że jest poniekąd matką polskich festiwali – a przynajmniej kilku z nich. Powstał przed 30 laty i pozostaje właściwie jedynym działającym w szerokiej skali festiwalem „zwyczajnym", „tradycyjnym", czyli prezentującym arcydzieła muzyki w możliwie wybitnych wykonaniach. Jest obecny w kilkunastu miastach, nie tylko wysyłając importowanych gości w różne zakątki kraju, ale też mobilizując lokalne siły.

Ta koncepcja programowa legła u podstaw imprezy, gdy została ona powołana do istnienia przez Penderecką. W tamtym czasie, w połowie lat 90., wielkich festiwali w Polsce było nieporównywalnie mniej niż dziś. Przede wszystkim uwagę skupiała wrocławska Wratislavia Cantans, ograniczana jednak swoim oratoryjno-kantatowym profilem (choć akurat wchodziła w próbę jego otwarcia i przemianowania na „muzyka i sztuki

eprasa.pl 66b790add1

piękne"). Dodatkowo ograniczały ją wnętrza kościelne, w których – nie tylko dla klimatu, ale i z konieczności – odbywały się koncerty. Przeniesienie ich do znakomitej sali NFM było chyba największą „reformą" w dziejach Wratislavii.

Wielkim festiwalem była też poświęcona muzyce współczesnej Warszawska Jesień – którą ze względu na specjalistyczny charakter odłożymy dziś na bok. Kraków cieszył się najlepszymi latami Muzyki w Starym Krakowie – jednak to już była mniejsza skala, natomiast równie mocno jak Wratislavia nastawiona na muzykę dawną.

Zmiana

Pojawienie się w tym samym Krakowie Wielkanocnego Festiwalu Beethovenowskiego wprowadziło nagle cały zestaw nazwisk znanych z płyt i z radia, z kręgu symfonicznego, „standardowego" repertuaru. Pojawili się muzycy, których mogła zapraszać znająca ich osobiście Pendrecka, dysponująca przy tym większymi budżetami.

Po rozejściu się dróg festiwalu i Krakowa (wówczas impreza przeniosła swą bazę do Warszawy, choć Kraków na wielu polach pozostał istotny), na miejscu narodziły się Misteria Paschalia. To już jednak festiwal ściśle związany z Wielkanocą, także poprzez sam program, skupiony w całości na muzyce dawnej, w której aż przelewa się od utworów skomponowanych w związku z tymi świętami.

Obecnie jest on jedną z najlepszych marek krakowskiej kultury (przy okazji: właśnie ogłoszono, że na jego czele nadal stać będzie Vincent Dumestre), lecz choć zastąpił Festiwal Beethovenowski w kalendarzu, stworzył zupełnie odmienną propozycję repertuarową.

Po paru latach „pączkował" przy tym w festiwal Actus Humanus w Gdańsku – „unia personalna" obu tych imprez od dawna już nie istnieje i wiodą one całkowicie odrębne żywoty. Oba też są największymi festiwalami muzyki dawnej w Polsce, choć oba ich miasta, podobnie jak wiele innych ośrodków, mają też inne bardzo cenne imprezy, skupione na podobnej twórczości.

Miejsce na nurt symfoniczny pozostało jednak wolne – i w ograniczonym stopniu wciąż zajmuje je Festiwal Beethovenowski. Wygląda na to, że może się to zmienić, ale jak dotąd jedyna „konkurencja" (względna), jaka wyłoniła się dla niego w Polsce, to zakończony 24 maja projekt Katowice Kultura Natura w NOSPR.

Niespodzianki

Co roku na Górny Śląsk przyjeżdża ważna europejska orkiestra, co roku pojawia się z recitalem ceniony pianista, z reguły spoza nurtu Konkursu Chopinowskiego, co w istotny sposób wzbogaca naszą świadomość pianistyczną. I co tym bardziej istotne, że wielki festiwal odbywający się w Warszawie, Chopin i jego Europa (w sierpniu, ostatnio przeciągający się i na wrzesień), dla odmiany utrwala wpływ Konkursu Chopinowskiego, jednocześnie skacząc po repertuarze ruchem konika szachowego. To właśnie ten festiwal przyszykował jednak sporo niespodzianek.

Tymczasem Festiwalowi Beethovenowskiemu przypada rola szczególna. To tu jest miejsce na szerokie wprowadzanie artystów niezwiązanych z Chopinem, jak w tym roku wywołujący kontrowersje pianista Maxim Lando (osobiście uważam, że w tak popularnym utworze, jak Koncert fortepianowy Schumanna, możemy sobie pozwolić na eksperyment odczytania nawet od strony dolnych głosów i radykalnych, może wręcz przerysowanych kontrastów – słuchałem występu w Krakowie, który mógł brzmieć inaczej niż krytykowany koncert w Warszawie).

Pojawia się repertuar wielki i podstawowy, jak koncerty skrzypcowe Beethovena i Brahmsa, ale w wyjątkowych wykonaniach (odpowiednio Arabella Steinbacher, która na KKN z kolei zagrała znacznie bardziej wymagający Koncert Berga, i Vadim Gluzman). Nie brak kameralistyki, a nawet występów solowych. Jest miejsce na wszystko. Szczególnym jednak wyróżnikiem okazują się zespoły symfoniczne, i to mimo niezbyt korzystnych warunków głównej sali festiwalu, Filharmonii Narodowej. Być może nie wywołuje dreszczu emocji możliwość wysłuchania kolejnych polskich orkiestr – znanych nam na co dzień – na festiwalu jednak zazwyczaj pokazują się one od najlepszej strony. ↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 66b790add1

↦ Świetne opinie zebrał więc i NOSPR pod batutą Kirilla Karabitsa, jednego z wybitniejszych dzisiaj dyrygentów (znanego np. z udanej serii nagrań muzyki symfonicznej Liszta dla Audite), długo też będę pamiętać raczej poważną, nie dowcipną, ale imponującą i świetnie zbudowaną IV Symfonię Mahlera z Filharmonią Narodową pod batutą Jacka Kaspszyka, pięknie spointowaną głosem Olgi Bezsmertnej. Fantastycznie zaprezentowała się też pod kierunkiem Dawida Runtza, młodego polskiego dyrygenta, Orkiestra Symfoniczna z Liechtensteinu (z nadzwyczajną sekcją wiolonczel, co ma znaczenie). Od lat nie miałem okazji usłyszeć tak tanecznej i śpiewnej zarazem III Symfonii Brahmsa.

We wrześniu na festiwalu Chopin i jego Europa **wystąpi wielka, jedna z absolutnie najlepszych, orkiestra Concertgebouw** z Amsterdamu, pod batutą Santtu-Matiasa Rouvali.

I ten kierunek wydaje się dla Festiwalu Beethovenowskiego szczególnie obiecujący: zespoły orkiestrowe, ciekawi soliści, doborowi dyrygenci. Aczkolwiek nie jest to łatwy trop: najbardziej kosztowny, wymagający wieloletniego planowania (co jest niemal niemożliwością w polskim systemie finansowania kultury), wreszcie... najwyraźniej podatny na konkurencję.

Zapowiedzi

Otóż Chopin i jego Europa w tym roku wprawdzie również bazuje na laureatach Konkursu Chopinowskiego – tym razem głównie ubiegłorocznego – eksploruje też romantyzm od strony instrumentów historycznych, ale jednocześnie z impetem wchodzi na pole symfoniczne. Do Warszawy zjadą więc wybitne orkiestry, poczynając od wspaniałej Orchestre Symphonique de Montréal z jej błyskotliwym dyrygentem Rafaelem Payare'em, która zagra aż dwa koncerty – podobnie jak Pittsburgh Symphony Orchestra pod batutą Manfreda Honecka – współcześnie klasa sama dla siebie.

Już we wrześniu wystąpi też wielka, jedna z absolutnie najlepszych, orkiestra Concertgebouw z Amsterdamu (pod batutą Santtu-Matiasa Rouvali). Ten zestaw nieoczekiwanie przesuwa charakter Chopina i jego Europy w kierunku berlińskiego Musikfestu, będącego festiwalem orkiestr – z tą podstawową różnicą, że w Warszawie wciąż brak odpowiedniej dla nich sali.

To jednak nie wyczerpuje programu. Nie wolno przegapić recitalu Andrasa Schiffa, prawdziwego muzyka wśród współczesnych pianistów. Nie zabraknie i innych, w tym Michaiła Pletniowa i uwielbianych dzisiaj Alexandre'a Kantorowa i Vikingura Ólafssona (towarzyszy on w *tournée* amsterdamskiej orkiestrze). Trzeba przyznać, że z taką ofertą Chopin i jego Europa wyrasta na najważniejszy festiwal w Polsce.

Wratislavia Cantans dla odmiany zacznie się od opery (i to od „grand opery" – wspaniałego „Samsona i Dalili" Saint-Saënsa), potem zanurzając się przede wszystkim w świecie muzyki dawnej lub muzyki wokalnej, które pozostają głównymi nurtami festiwalu. Wrocław odwiedzą sprawdzone i niezawodne gwiazdy, w tym wraz ze swoimi zespołami dwaj dawni dyrektorzy artystyczni festiwalu, Giovanni Antonini i Paul McCreesh (ten drugi wróci z flagowym programem „Koronacja wenecka 1595", od którego rozpoczęła się jego światowa kariera w latach 90.).

Ottavio Dantone poprowadzi śpiewaków i swą orkiestrę Accademia Bizantina w operze „Dydona i Eneasz" Purcella, a zmianę repertuarową w największym formacie koncertów przeprowadzi tegoroczny szacowny i jedyny w swoim rodzaju jubilat, Jerzy Maksymiuk (m.in. z „La Mer" Debussy'ego i „Obrazami morza" Brittena), zakończy ją natomiast Daniele Gatti, dyrygując słynną Staatskapelle Dresden w VI Symfonii Gustava Mahlera (ponownie wielka symfonika!).

Wratislavia ma też jednak specjalną, interaktywną ofertę koncertową dla dzieci, na co również warto w tym roku zwrócić uwagę. © JAKUB PUCHALSKI



Na pełnej petardzie

JACEK WAKAR

TEATR | „Strach przed lataniem" oraz „Kolekcja prywatna" to przedstawienia bezczelne i bezwstydne. Ostentacyjnie ewokują dawno nieobecne na scenach piękno.

Co łączy nowe przedstawienia Weroniki Szczawińskiej i Claude'a Bardouila? Na pierwszy rzut oka to, że pojawiły się w momencie, gdy wszyscy myśleli, iż teatr zaciąga już w tym sezonie kurtynę i nic istotnego nas nie czeka.

eprasa.pl 66b790add1



MAURYCY STANKIEWICZ / MATERIAŁY PRASOWE

Claude Bardouil w masce i Małgorzata Hajewska-Krzysztofik odgrywająca postać Genesis P-Orridge, w spektaklu „Kolekcja prywatna", koncepcja, choreografia: Claude Bardouil, Nowy Teatr w Warszawie

Poza tym osobista perspektywa opowieści, która nie przeszkadza, by przejrzeli się w niej nawet ci, którzy się tego nie spodziewali. I wreszcie najważniejsze – „Strach przed lataniem" oraz „Kolekcja prywatna" to przedstawienia bezczelne i bezwstydne. Bezczelne, bo nie idą z nikim na żadne kompromisy. Bezwstydne, bo otwarcie i ostentacyjnie, z otwartą przyłbicą ewokują dawno nieobecne na scenach piękno.

WIDMA | Chronologia nakazywałaby zacząć od „Strachu przed lataniem", bo premiera w TR Warszawa odbyła się chwilę wcześniej. Mniejsza jednak o chronologię, niech decyduje subiektywny punkt widzenia, bo spośród obu równie ważnych, znakomitych spektakli, bardziej szczególny jest dla mnie jednak ten francuskiego choreografa, tancerza i performera Claude'a Bardouila, choć zdecydowanie mocniej podzielił on publiczność.

Na widowni Nowego Teatru stało się ze mną coś dziwnego, podobne rzeczy przeżywam rzadko. Wszedłem w „Kolekcję prywatną" od pierwszej sekwencji, bliska mi się okazała jej tonacja, ważni bohaterowie i bohaterki, wreszcie – szczególnie komunikatywna forma, chociaż sam bym się tego po sobie nie spodziewał. Przywołuje też wizualne i muzyczne znaki – kostiumy, scenografie, charakteryzacje, kompozycje – z własnych zrealizowanych w Nowym prac, jakby chciał podkreślić, iż „Kolekcja prywatna" z „Nancy" oraz „Wyczerpanych" się wywodzi, ale nie jest ich prostym powtórzeniem.

Po prostu Claude Bardouil wierny jest własnym widmom, nawiedzającym go w życiu i w zawodowej pracy. Przedstawienie zatem niektóre z nich nam przypomina, bo widzieliśmy je już w poprzednich jego dziełach, a inne ukazuje po raz pierwszy wedle przyjętego autorytatywnie przez twórcę klucza.

Autorytatywnie, bo mam poczucie, że spektakl francuskiego tancerza i performera jest dokładnie taki, jaki sobie wymarzył. Stworzony w zespole, jakiego chciał, zatem w kooperacji z bliskimi mu artystkami i artystami, ale absolutnie wolny. Pod tym względem „Kolekcja prywatna" zdaje mi się gestem radykalnym. To niby oczywiste, iż Bardouil (jak każdy twórca) zaprasza nas do swojego świata. Tyle że nie idzie przy tym na najmniejsze kompromisy, mebluje go po swojemu, nie zwraca uwagi, jak się w nim poczujemy, ryzykując ostateczne odrzucenie. Niemniej zyskuje przy tym wiele, bowiem przechadzające się po nim widmowe postaci są częścią zbiorowej wyobraźni.

WIDOKI | Emocjonalna temperatura „Kolekcji prywatnej" bierze się z jej osobistego wymiaru i z tego, że autor opowiada o ludziach dla siebie najważniejszych. Nie bez przyczyny całość zaczyna się od przywołania matki artysty i jej spotkania z Catherine Deneuve. Trwało przelotem, zdarzyło się przypadkiem, a jednak miało w sobie coś symbolicznego – gwiazda spadła na ziemię, by na chwilę dotknąć wcielonej, do bólu prozaicznej codzienności. Ton przywołania tego epizodu przywodzi na myśl twórczość Annie Ernaux, gdzie pamięć zbiorowa łączy się z najbardziej osobistymi przeżyciami.

Każdy ma swoją historię – mówi Claude Bardouil. I opowiada własną, nie ukrywając mrocznych jej stron. Pojawia się brat, z którym łączyła go trudna relacja, a który potem wpadł w alkoholową przepaść i wreszcie skończył ze sobą. Nie będzie szczęśliwego zakończenia. Mówi się o Marguerite Duras i Chantal Akerman, o Mike'u Kelleyu, rozszerzającym granice sztuk wizualnych i performance'u na najbardziej osobiste doznania. Bardouil odkrył scenariusz jego performance'u „Under a Sheet/Existance Problem". Kelley nigdy go nie wykonał, francuski twórca chciał, ale nie otrzymał pozwolenia.

Są straceńcy rocka, słyszymy słowa Genesis Breyer P-Orridge, niebinarnej osoby muzycznej, jak jest określana, z jej artystycznym i życiowym manifestem na czele. Są powidoki kluczowych w poprzednich inscenizacjach Bardouila Nancy Spungen („Nancy. Wywiad") ↦

eprasa.pl 66b790add1



ADRIAN LACH / MATERIAŁY PRASOWE

Filip Zaręba, Marta Nieradkiewicz i Rafał Maćkowiak w spektaklu „Strach przed lataniem", reż. Weronika Szczawińska, TR Warszawa

↦ i Savannah („Exhausted/Wyczerpani"). Grała je Magdalena Popławska, obecna także bardzo intensywnie w tym przedstawieniu. Tyle że na prostej obecności się nie kończy, bowiem Popławska jest – tak myślę – dla reżysera kimś więcej niż aktorką.

W programie do „Kolekcji prywatnej" pisze, że zobaczył ją po raz pierwszy na scenie, gdy grała w „Aniołach w Ameryce" Warlikowskiego w Awinionie. Wtedy miał zdecydować, że przeprowadzi się do Polski. Istnienia Popławskiej w jego inscenizacjach nie warto chyba dookreślać. Jest kimś bliskim, podobnie jak Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, którą na scenie połączył z Bardouilem Warlikowski w tanecznym przedstawieniu „Kabaret warszawski". Właśnie celowe zaburzenie porządków sprawia, iż spektakl oglądam ze ściśniętym gardłem. W zapowiedziach przedpremierowych chyba sam twórca powiedział, że będzie to również seans spirytystyczny. I tak jest.

Zdaje się, że przez odsłonięte okna na ulicę Madalińskiego na wielką scenę Nowego znów wchodzą duchy tego teatru. Wśród standów postaci z „Kolekcji prywatnej" pojawia się nieobecna Ewa Dałkowska. Bardouil już niemal prywatnie przylega do niej na długi moment. Teatralne splata się z osobistym w niespotykanym wymiarze.

WIDOWISKA | Napisałem na wstępie, że „Kolekcja prywatna" i „Strach przed lataniem" to spektakle bezwstydne i czas się z tego wytłumaczyć. U Bardouila bierze się to z tego, iż w czasach, gdy piękno stało się kategorią co najmniej podejrzaną, on uderza w piękno na pełnej petardzie, z mocną muzyką i olśniewającym światłem. Buduje rozmach widowiska z przeświadczeniem, iż takie właśnie ma być. I to też bardzo mi się w „Kolekcji prywatnej" podoba.

„Strach przed lataniem" siłą rzeczy – w końcu Weronika Szczawińska ma do dyspozycji niewielką scenę TR Warszawa – operuje inną skalą. Plastyczny wymiar widowiska budują jaskrawe, odwołujące się do estetyki lat 80. kostiumy Marty Szypulskiej i jej celowo fragmentaryczna, kampowa scenografia. Nic tutaj nie jest jeden do jednego, dosłowność zastępuje żart, wulgarność chwilami jest, ale zostaje wzięta w cudzysłów, jakby Szczawińska oraz autor adaptacji i dramaturg Piotr Wawer jr pozostawali w świecie starego tekstu Eriki Jong, ale w tym samym czasie byli niejako poza nim.

Sprawdzając jego siłę, aktualność i żywotność, potwierdzając jego wartość, a za chwilę z bagażem obecnej wiedzy i dzisiejszych emocji ją kwestionując. Jest zatem ich przedstawienie z jednej strony swobodnym przeniesieniem niegdyś skandalizującej powieści, jak i pozbawioną jadu z nią polemiką.

„Strachowi przed lataniem" kilka lat temu stuknęła pięćdziesiątka, nie da się zatem ukryć, że osadzony był w całkiem innej rzeczywistości politycznej i społecznej. Feministyczny głos wyzwoleńczy formułowany przez Jong naznaczony był od początku podległością kobiet w zdominowanym przez patriarchat świecie. Pół wieku później jesteśmy w całkiem innym punkcie, ale Szczawińska i jej ekipa na szczęście nie idą w publicystykę, nie wygłaszają manifestów ani nie uderzają w jedynie słuszne treści.

Przeciwnie, spektakl w TR Warszawa jest prawdziwie wywrotowy, bo znajduje w sobie odwagę, by mówić o kobietach ze śmiechem i uśmiechem, w dodatku robi to sama bohaterka. Isadora Wing we wspaniałej interpretacji Marty Nieradkiewicz daje sobie prawo do samostanowienia, do każdej, w tym rzecz jasna seksualnej przyjemności, do podszytego samoakceptacją, ale i autoironią współistnienia z własnym ciałem.

WIZERUNKI | Isadora Wing to najważniejsza z dotychczasowych ról świetnej aktorki. Bawiąc się wizerunkiem bohaterki książki Jong, Nieradkiewicz opowiada trochę o sobie samej jako przedstawicielce pokolenia czterdziestolatek, które wreszcie zdobyły się na to, by mówić o swych potrzebach. Nakłuwa męski świat, pokazując przede wszystkim jego śmieszność.

Fenomenalnie gada, *excusez le mot*, ze swą dupą, oddając jej honory, a jednocześnie pokazuje, że w nawet najbardziej ryzykownych scenach erotycznego baletu, gdzie aktorce partneruje Adrian Zaręba, kiedy ciało oblepia pierze i spływa po nim bardzo dużo jogurtu, można niczego nie ukrywając, pozostać jakoś nieuchwytnym. Nagość Nieradkiewicz zostaje oswojona, naturalność nadaje jej chwilami opętańczy, niepohamowany śmiech.

Chyba właśnie na tym opiera się siła wybitnego spektaklu Szczawińskiej. Na odkryciu potencjału teatralnej radości i zabawy w mówieniu o najtrudniejszych sprawach, na tym, że można, wypada, a nawet trzeba czasem się z nich śmiać. Bo śmiech to wolność. I oddech, którego dziś tak bardzo potrzebujemy.

© JACEK WAKAR

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej

eprasa.pl 66b790add1

Morze to coś osobistego

MACIEJ SZKLARCZYK

DLA DZIECI | Oto opowieść o tym, jak pamięć o wakacjach pomaga nam przetrwać szare miesiące zimowej pluchy i tęsknoty za bliskością.

Nadia Terranova jest włoską pisarką, autorką kilkunastu książek dla dzieci oraz czterech powieści dla dorosłego czytelnika. Dostrzeżono ją nie tylko we Włoszech, ale też daleko za oceanem, a jeden z jej tytułów spotkał się ponoć z pochwałami francuskiej noblistki Annie Ernaux („Styl narracji Nadii Terranovej urzeka precyzją i wrażliwością").

Pierwszą publikacją w Polsce, przed dziesięciu laty, była książka dla młodego, choć wyrobionego już czytelnika o Schulzu (to pewnie skusiło polskiego wydawcę). „Bruno. Chłopiec, który nauczył się latać" (ilustr. Ofra Amit, tłum. Joanna Wajs, Format 2016) to inspirowana życiem i twórczością polsko-żydowskiego pisarza poetycka opowieść o sile wyobraźni pozwalającej przetrwać odmieńcowi. To, co go obciąża, Bruno przemienia w broń przeciw światu. I choć ten świat go w końcu unicestwia, chłopiec trwa w przestrzeni dającej mu od początku poczucie wolności – w sferze obrazu i słowa.

Prowincja – czy to dalekie galicyjskie miasteczko Drohobycz, czy tkwiąca na końcu włoskiego buta Kalabria i Sycylia – wyraźnie pociąga pisarkę, może dlatego, że choć mieszka w Rzymie, to urodziła się i dzieciństwo spędziła w sycylijskiej Mesynie. Inny występujący u niej *leitmotiv* to morze, będące tłem i bohaterem kolejnych dwu książek wydanych po polsku: jednej dla dorosłych i jednej dla dzieci.

Akcja powieści „I zadrżała noc" (tłum. Alina Pawłowska-Zampino, Mova 2024) toczy się przed, podczas i po tragicznym trzęsieniu ziemi 28 grudnia 1908 r. w rejonie Cieśniny Mesyńskiej. Dotknęło ono mieszkańców po obu stronach „Włoskiego Bosforu". 20-letnia Barbara z Mesyny i 11-letni Nicola z Reggio Calabria nie znają się, ich dramatyczne historie toczą się równolegle. Przewrotny los skrzyżuje ich jednak ze sobą dwa razy: w chwili symbolicznej śmierci i odrodzenia.



Nadia Terranova, **WSZĘDZIE WIDZĘ MORZE,** *ilustr. Serena Mabilia, tłum. Luiza Krolczuk, Widnokrąg 2026*

Drogi Barbary i Nicoli plączą się jak „talia kart do tarota wymieszanych w ciemnościach przez wiatr" i układają w zaskakujące sensy. Bohaterowie zmagają się z traumą wywołaną zarówno przez zło naturalne (kataklizm), jak i osobowe, którego tamto pierwsze okazało się wyzwolicielem: chłopiec z pozornie dobrego, bogatego domu w zastępstwie zmarłych, przemocowych rodziców otrzyma wreszcie nowych, „prawdziwych", a dziewczyna wyzwolona z duszącej presji oczekiwań ojca i konwenansu będzie mogła spełnić swe aspiracje, choć poniesie wysokie koszta. Pierwsze spotkanie obojga będzie wiązało się z krzywdą wyrządzoną im przez marynarza, który przybył z misją niesienia pomocy. Drugie – po latach – posłuży wyzwoleniu z przeszłości, nadającemu sens ich historii.

Po tej emancypacyjnej powieści przyszła kolej na książkę dla dzieci. We „Wszędzie widzę morze" pamięć o wakacjach spędzanych u babci pomaga dziewczynce imieniem Tatú przetrwać w mieście szare ponure miesiące zimowej pluchy i tęsknoty za bliskością oraz wybrzeżem.

Morze należy tu do sfery wyidealizowanego szczęścia, oderwanej od wszelkich rutyn wakacyjnej przygody z seniorką rodziny. Staje się też nośnikiem rodzinnej pamięci, a nawet katalizatorem opowieści pamięć uzdrawiającej. Kto chce lub kto potrzebuje, ten dojrzy, że za baśnią o czarnobrodym piracie zamieniającym dziewczęta w syreny oraz dziewczynie o kędzierzawych włosach skrywać się też może opowieść o porzuceniu.

Książka oswaja młodego odbiorcę z różnymi poziomami narracyjnymi. Świetne ilustracje wspomagają słowo – baśń wydrukowano w odcieniach fioletu. W warstwie obrazowej, nawet tej dotyczącej szarej codzienności, co i rusz pojawia się dyskretny kolorystyczny motyw z baśni-pamięci, która zawsze towarzyszy narratorce i czytelniczkom. Bowiem „zawsze widzieć morze" oznacza także: „w morzu zawsze widzieć własne życie". „Morze to coś bardzo osobistego – mówi nam Tatú – to sprawa rodzinna".

Struktura tekstu oraz nostalgiczny klimat wizualny intrygują i łagodzą nieco gorzki posmak opowieści. Zupełnie jak czereśniowy likier ziołową frittatę. Wszak otwierająca i zamykająca rozkładówka – za wspaniałymi klifami Wyspy Żarnowców, obok zakotwiczonego w zatoce statku pirata – ukazuje dymiący wulkan. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

Co czują bracia, którzy stanęli naprzeciw siebie po różnych stronach frontu?
Dokument „Mariinka" to opowieść o ukraińskim doświadczeniu wojny.
Tyg-Pow.pl/Mariinka

eprasa.pl 66b790add1

Próba łuku



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Jest to przede wszystkim opowieść o ludzkiej wędrówce bez końca. Również wojny nie kończą się tu nigdy, pracując w wewnętrznych czasoprzestrzeniach, zakrzywionych przez traumy i resentymenty.

A co, jeśli Odyseusz wcale nie chciał wrócić do Itaki? W filmie Christophera Nolana nie jest to żadna śmiała hipoteza, podważająca sensy homeryckiego pierwowzoru i archetypy „podróży bohatera" czy „powrotu wojownika". Raczej ich uwspółcześniona i mocno odczarowana interpretacja.

Przetwarzając literacki pierwowzór zadaje pytanie, czy panuje dziś zapotrzebowanie na takich herosów jak mityczny król, czyli charyzmatyczny awanturnik i spryciarz o nadludzkich mocach, walczący z własnym fatum. Przyszedł czas na innych superbohaterów: ze skazą, nawet złamanych, ale biorących wreszcie odpowiedzialność. Właśnie tak wygląda Odys u Nolana – niczym przegrany człowiek sukcesu szukający drogi do siebie.

Jeśli celem filmowego aojdy było opowiedzieć historię, która nie zdarzyła się nigdy, lecz dzieje się zawsze, osiągnął to innym niż starożytni sposobem. „Koniem trojańskim" jest postać tytułowego bohatera – z kontrabandą słabości, zwątpień i lęków. Ludzki Odys to największa wartość filmu Nolana i zarazem fortel dokonany na naszych emocjach. Dla jednych skuteczny, z katartycznym efektem, dla innych nazbyt wyczuwalny i odbierający mitowi sakralny wymiar.

Nie zmienia to faktu, że w zagranym przez Matta Damona helleńskim wodzu łatwo się dopatrzyć człowieka nam współczesnego – weterana z PTSD, szefa obciążonego krzywdą swoich ludzi, wiecznego tułacza i wiecznie nieobecnego ojca, jak również spóźnionego mędrca, który patrzy ze zgrozą na upadek świata dawnych wartości. Do czego zresztą sam się przyczynił, pogwałcając odwieczne prawa. Współtworzą tę atmosferę schyłku i klęski hiperrealistyczne zdjęcia Hoytego van Hoytemy, absolwenta łódzkiej filmówki, a muzyka Ludwiga Göranssona podbija surowość ponurą rytmiką czy głuchym śpiewem syren.

Dlatego twórca „Mrocznego rycerza" znowu odżegnuje się od typowego kinowej superbohaterszczyzny, choć imponuje olimpijskim rozmachem i szlachetnie rzemieślniczym podejściem do efektów specjalnych. Albowiem pod względem filmowego światotwórstwa Nolan ma dziś niewielu sobie równych. W nowym filmie wyczarowuje więc mityczne krainy i nieludzkie stwory, chociaż nie po to, by uwodzić – raczej żeby zwodzić baśniowością.

Oczywiście, to w imię hollywoodzkiego spektaklu umownie traktuje antyczny sztafaż, a samego Homera czyta nader wybiórczo – ignoruje heksametr, grekę i samych Greków, stawiając na wieloetniczną obsadę i współczesny język. Zarzuca mu się przez to i polityczną poprawność, i zachodnią butę. A jednak film sprawił, że historia sprzed prawie trzech tysięcy lat jest dzisiaj oglądana masowo, przebijając nawet kasowe wyniki wcześniejszych filmów Nolana.

Bywa także namiętnie komentowana, zarówno w tonie eksperckim, jak i chucpiarsko-ignoranckim. Z łatwością też wpisuje się „Odyseję" w znajome uniwersa – nolanowskie i damonowskie. To pierwsze, prócz słynnych czasowych inwersji czy narracyjnych łamigłówek, mieści brzemienną w skutkach utratę pamięci (patrz: „Memento"), krwawy wojenny trans („Dunkierka"), kosmonautę stęsknionego za swą Itaką („Interstellar") czy prometejskiego geniusza przerażonego własnym dziełem („Oppenheimer"). W drugim ze światów znalazłyby się odyseje kosmiczne Damona z „Marsjanina", jego starożytne potyczki w „Gladiatorze", tudzież kłopoty z tożsamością Jasona Bourne'a. Kinomaniacy uwielbiają takie konstelacje i „Odyseja" dorysowuje im kolejne linie przecięć.

Za to gigantyczny budżet filmu sprawił, że nie ma w nim zbyt wiele miejsca na artystyczne eksperymenty i chwilami można mieć wrażenie, iż dzieło o takiej gęstości jeszcze lepiej sprawdziłoby się w formie wysokojakościowego serialu – choć temu, który ma za chwilę powstać w Grecji, trudno będzie osiągnąć poziom realizacyjny Nolana.

Brytyjski reżyser nie tylko przeszedł zwycięsko homerową „próbę łuku", tworząc adaptację kongenialną, zaliczył także pionierskie osiągnięcie technologiczne. I można jedynie ubolewać, że polskie kina, również ze znakiem IMAX, nie oferują w stu procentach jakości gwarantowanej przez oryginalny format filmu („Odyseja" powstała na taśmie światłoczułej 15/70 i wymaga specjalnego projektora).

A i tak można mieć wrażenie całkowitego zanurzenia się w ekranowym świecie. To „prawie" dotyczy zwłaszcza ucukrowanego finału czy nieznośnej dziś tendencji do referowania po kilka razy tych samych sytuacji. Owa wyrachowana troska o czytelność filmu i globalność jego przesłania chwilami odbiera mu ciężar właściwy.

eprasa.pl 66b790add1



MATERIAŁY PRASOWE UNIVERSAL PICTURES

ODYSEJA
(The Odyssey) – reż. Christopher Nolan. Prod. USA/Wielka Brytania 2026. Dystryb. UIP. W kinach.

Christopher Nolan zadebiutował skromnym brytyjskim filmem noir „Following" (1997). Jego wielką amerykańską karierę znaczyły takie tytuły, jak „Memento", „Incepcja" czy mroczna trylogia o Batmanie. Kolejne superprodukcje – „Interstellar", „Dunkierka", „Tenet", „Oppenheimer" – ugruntowały jego pozycję jako twórcy wyrafinowanych spektakli należących do różnych gatunków.

Na zdjęciu: Matt Damon w filmie „Odyseja"

A kryje się on w wielu wątkach ekranowej „Odysei". Na przykład w dyskretnej współobecności Ateny, która zdaje się boginią maksymalnie uczłowieczoną i dopiero finał, rekonstruujący rzeź Troi, sugeruje prawdziwy sens granej przez Zendayę postaci. Zresztą szkatułkowa narracja tego filmu niejednokrotnie daje do zrozumienia, iż przygody Odyseusza – z Polifemem, czarodziejką Kirke, Scyllą i Charybdą – mogą być po prostu halucynacją lub gawędą bohatera odurzonego lotosem w gościnie u nimfy Kalipso (Charlize Theron). Z kolei rozdzierający wątek psa Argosa, wzięty z „Eneidy" Sinon (Elliot Page), dworskie intrygi Antinousa (Robert Pattinson) czy wizyta w zombicznych zaświatach to próbki bardzo różnego rodzaju kina, każda najwyższej próby. Jednocześnie rozbraja się tu ciężar przeznaczenia i boskich igrzysk: oszpecona, zgorzkniała dziś Helena (Lupita Nyong'o) była tylko pretekstem do legendarnej wojny trojańskiej, toczącej się o dostęp do morskich szlaków handlowych.

Jest to przede wszystkim nowożytna opowieść o ludzkiej wędrówce bez końca, a tym samym o rozmaitych dzisiejszych migracjach i (nie)gościnnościach. Również wojny nie kończą się nigdy, pracując dalej w wewnętrznych czasoprzestrzeniach, zakrzywionych przez traumy i resentymenty. Film Nolana wydaje się eposem z wieku XXI także dlatego, że postacie kobiece, nie popadając w tendencyjność, próbują przełamywać dawne schematy (Penelopa w wykonaniu Anne Hathaway, Samantha Morton jako Kirke), mężczyźni zaś okazują się ofiarami nie tyle złośliwych bogów czy bogiń, co własnych obsesji.

Nad wszystkim zaś unosi się dziwnie znajoma aura niepewności losu – straconego czasu i rychłego końca znanej nam epoki. Tylko czy tamten mityczny wiek brązu, z jego bożkami i wartościami, z lękiem przed nadchodzącą „z morza" barbarią, rzeczywiście wart był takiego opłakiwania? Hollywoodzki epos za ćwierć miliarda dolarów, które rzecz jasna muszą zwrócić się z grubą nawiązką, jest częścią podobnego świata – pod wpływem pychy i ambicji niepotrafiącego zatrzymać się w drodze do samozniszczenia. I Nolan we wnętrzu swego kolosa próbuje przemycić tę gorzką prawdę. ©

Lektor:
Przeciw nicości



▪ *Stanisław Barańczak*
BO TYLKO TEN ŚWIAT BÓLU / BECAUSE ONLY THIS WORLD OF PAIN
tłumaczyli / translated Stanisław Barańczak, Clare Cavanagh, Wydawnictwo a5, Kraków 2026

Wiem: to jeden z najwybitniejszych poetów powojennej Polski. Od lat czytam go w wydaniach krajowych i emigracyjnych, nad- i podziemnych. „Sztuczne oddychanie" sam nawet kiedyś przepisałem. Ale jak to się dzieje, że kolejne spotkanie ze znanymi już wierszami Stanisława Barańczaka wywołuje wciąż efekt tak piorunujący?

„Złożyli wieńce / i wiązanki kwiatów; / ci z chorobą wieńcową, z wapnem w żyłach, tym / którzy w wapienne doły twarzą w dół padali / ze związanymi z tyłu bukietami rąk"... Rzadko zapamiętuje się jakiś fragment po pierwszej lekturze – a tak właśnie było ze mną w przypadku tego wiersza z „Jednym tchem". Nie ma go zresztą w tym skromnym wyborze, bo zebrano w nim tylko utwory przełożone na angielski – niektóre przez samego autora, inne przez jego uczennicę z Harvardu i współpracownicę Clare Cavanagh (teraz czekamy na jej biografię Miłosza), jeszcze inne wspólnie przez nich oboje.

Ach, chciałbym to zobaczyć! „Na początku zachowywaliśmy się bardzo grzecznie – wspomina Clare w rozmowie z Jerzym Illgiem drukowanej niedawno w „Tygodniku". – »A może byłoby lepiej w takiej formie?«, »Chyba źle zrozumiałeś tę frazę«. A potem: »Po prostu nie, tak nie może być!« (...) Nigdy się nie kłóciliśmy, ale krytykowaliśmy się absolutnie bezlitośnie". I dodaje z humorem, że ona jednak lepiej zna angielski, więc po prostu widziała, kiedy czegoś nie wolno, i wymyślała lepszą wersję. „A on się godził, był jak starszy brat".

„Jednym tchem, jednym nawiasem tchu zamykającym zdanie", „Wszyscy wiemy, co; puszczamy do siebie oko, nie puszczając farby", „Żyjemy w określonej epoce", „Pan tu nie stał"... Potem wiersze amerykańskie, w tym elegia dla Grażyny Kuroniowej. I jeden z najpiękniejszych liryków miłosnych w naszej literaturze: „Płakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził".

Na koniec szkic-wyznanie „O pisaniu wierszy". „Poeta jako prostoduszny partner, wtrącający się w obłąkany monolog clowna-świata (...). To stąd te wszystkie rymy, rytmy, metafory, gry słów – to tylko rozmaite formy naginania bełkotu świata do jakiegoś znaczącego porządku (...). To po to dążenie do konkretu i zwięzłości – aby przeciwstawić się wsysającej nas w lej nicości potędze pustych abstrakcji i statystycznych ogólników". ©℗

eprasa.pl 66b790add1

PAWEŁ

Bravo:
Kurczak przyszłości



Od kiedy dzieci wyfrunęły z gniazda przestałem piec kurę, a dobra była, taka z pęczkiem natki pietruszki i całą cebulą włożoną w zagłębienie pod kuprem, obłożona rozmarynem i plastrami cytryny, polana szczodrze oliwą. No i ziemniaki pokrojone w ćwiartki lub ósemki dochodzące w sosie, który stanowi oczywiście najlepszą część dowolnego pieczystego, zawiera w sobie syntezę smaków i poddaje się niezliczonym dalszym zastosowaniom przez kolejne dni.

Bo mięso, co za nuda, można tylko zjeść. To z piersi to nuda do kwadratu. Do tego właśnie wykorzystywałem filetolubne potomstwo, uwalniało mnie od problemu, co z tą nijaką smakowo częścią zrobić. Postrzępić i dać do sałaty Cezar? A co ja, hotel dla turystów z Ameryki prowadzę?

Dzięki pomocy małych wyjadaczy mogłem z należnym skupieniem poświęcić się obgryzaniu obu nóg. Kiedy teraz mi się to zamarzy, mogę kupić osobno nogę lub dwie i upiec, ale to nie to samo, co kiedy się całego ptaka przyrządzi. Wspominam więc z rozrzewnieniem te wszystkie kostki. Obgryzione do czysta: raz z szacunku dla zwierzęcia, nie godzi się niczego zmarnować, dwa – dla przyszłych badaczy.

Niedawno ogłaszano początek antropocenu, czyli ery, której swoisty ślad geologiczny będzie wynikiem działalności ludzkiej. I wtedy na pytanie, jakie będą jej charakterystyczne resztki katalogowane przez przyszłych przyrodników (o ile optymistycznie założymy, że po antropocenie przetrwa jakaś inteligentna forma życia zainteresowana grzebaniem w przeszłości), jedna z odpowiedzi brzmiała: wcale nie plastikowe zakrętki, tylko kości kurczaka. Skuteczne jako markery epoki, bo od około 70 lat kury mają znacznie większy kościec od tych, które ludzkość zjadała przez poprzednie 3 tysiące lat od udomowienia.

To zasługa – lub wielka wina – rządu USA, który tuż po wojnie zorganizował program hodowli nowej supermięsnej odmiany brojlerów, aby walczyć z głodem. Wiele z ówczesnych wynalazków i przemian w produkcji żywności, które dziś widzimy w rozpędzonych bezprzytomnie formach i uważamy za zło oraz czynnik destrukcji przyrody, wynikało z głębokiego, chrześcijańskiego (w wersji ze szkółki niedzielnej baptystów) zapału ówczesnych amerykańskich elit.

Program „kurczak przyszłości" sfinansowała ówczesna największa sieć supermarketów z powodów piarowych, była bowiem w trakcie batalii prawnej z władzami pod zarzutem wypierania z rynku tradycyjnych sklepików (ech, wszystko już było). A efekt w postaci nowego kurczaka rozniósł po całym świecie program pomocowy Nelsona Rockefellera, który z powodów może mniej pobożnych również uważał za pożyteczne dla interesów Ameryki, a zwłaszcza Standard Oil, żeby ludzie w biednych krajach, gdzie się wydobywa ropę, nie chodzili głodni – to on ukuł sławne motto „trudno być komunistą z pełnym brzuchem".



KATARZYNA WŁOCH / NIDA OTULINA

Dziś 70 proc. wszelkich ptaków obecnych na Ziemi to są właśnie kurczaki hodowane bądź na mięso, bądź dla jajek. W dowolnej chwili jest ich jakieś dwadzieścia parę miliardów i logika nam wskazuje, że ogromna ich większość nie dziobie podwórek, bo nie starczyłoby ich w całym Układzie Słonecznym, tylko tkwi na fermach przemysłowych. Dzięki temu jest to najtańsze mięso dla sporej części świata, która nie może zjeść równie taniej, bo produkowanej fabrycznie wieprzowiny – z powodów religijnych.

I czasami z tego powodu poczciwy kurak zostaje wkręcony w politykę. Oto mer podparyskiej peryferii Saint-Ouen, jednej z takich lepszych, spokojniejszych i „bielszych", próbował zablokować u siebie działanie placówki sieciowego fastfoodu serwującego kurczaka halal. Za dużo biedoty w kolejce (powód prawdziwy), a na ulicę lecą odory (powód oficjalny). Przegrawszy na razie w sądzie, miasto postanowiło zniechęcić klientelę podstępem i postawiło przed lokalem wielkie donice z roślinami, ale do tego wypełnione gnojem. Czyli smród chcą smrodem przegonić.

Niestety istnieje też inny, zgoła niepolityczny związek kurczaka ze smrodem. Jeśli w jednej fermie przebywa naraz milion stłoczonych w klatkach ptaków, to łatwo sobie wyobrazić skalę skażenia powietrza i wody w pobliżu. Nasza światła władza rękoma niezawodnych rzeczników agrobiznesu z partii *de nomine* ludowej pichci ustawę blokującą możliwość oprotestowania przez mieszkańców wsi działania uciążliwej fermy

eprasa.pl 66b790add1



Protest mieszkańców i Sióstr Rzek przeciwko budowie fermy na 5 milionów brojlerów rocznie w otulinie rzeki Nidy na obszarze chronionego krajobrazu. Brzeźno, 31 maja 2026 r.

kurzej czy świńskiej. Podobny projekt szykuje również prezydent, zatem zmiana w prawie jest właściwie przesądzona.

Otoczka medialna tej inicjatywy mówi o „rolnikach", którzy nie powinni być nękani przez pieniaczy za to, że ich kogut pieje o piątej, albo traktor warczy wieczorem, gdy jadą zżąć zboże. I być może gdzieś w otulinach metropolii bywały takie konflikty, gdy świeżo przeprowadzeni miastowi zderzali się, jak to napisano w ustawie, z „prawidłową gospodarką rolną". Ale prawdziwym tematem tej zmiany są te bez mała trzy tysiące fabryk mięsa rozsianych po Polsce. Czy one są „prawidłowe"?

Papiery na pewno mają w porządku. A czy to jest taka wieś z naszych nostalgii i wyobrażeń, kolebka tradycji i tożsamości, łatwy obiekt medialnej manipulacji? Już chciałem powiedzieć: oczywiście nie! Ale pomyślcie chwilkę: przemysłowy chów zwierząt to codzienność obszarów rolniczych od prawie stulecia. Jasne, w Polsce nie aż tyle, ale trzydzieści lat na pewno. A zatem, by zacytować kinowego klasyka, jesteśmy już po narodzinach nowej tradycji. I chyba nie da się, poza ciaśniutkimi niszami z ekobazarów, mieć mięsa, które by nie zabijało sąsiadów smrodem. Może to i dobrze, że już nie piekę tej kury.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Tagliatelle z kurkami po tyrolsku

300 g makaronu (najlepiej jajecznego)
250-300 g kurek ▪ mała cebula ▪ ząbek czosnku
100 g specku w postaci grubego plastra albo już gotowej kostki
▪ 150 ml białego wina 100 ml śmietanki ▪ natka pietruszki

Skoro przez kilka dobrych minut zniechęcałem was do masowo dostępnego drobiu, byłoby obłudne, gdybym teraz proponował przepis na jakiegoś kurczaczka lub indyka – chociaż wciąż czasem coś z nich robię, starając się kupować je z hodowli, które przynajmniej deklarują respekt dla dobrostanu ptaków i sąsiadów, a ja im staram się wierzyć i nie wnikać w szczegóły. Ale przecież mamy teraz dobry sezon nie na kury, tylko na kurki. Trudno jest odkryć z nimi jakąś gastronomiczną Amerykę – zwykle jemy je zwyczajnie z patelni, podlane lub nie śmietaną, choć na przykład dobrze się komponują także z niewielką ilością pomidora, którego należy poddusić razem z nimi na patelni i jeśli się doprawi miętą, to wychodzi nam składnik na całkiem toskańską bruschettę. Z tego, co mi wiadomo, w Polsce nie łączy się raczej kurek np. z boczkiem. Ale w południowotyrolskiej tradycji dodaje się do nich nieco specku, który bywa, owszem, bardzo słony, ale ma mniej tego mięsnego umami. Czyścimy kurki i kroimy większe z nich na połówki, ale generalnie nie staramy się za bardzo rozdrabniać. Dusimy na wolnym ogniu na maśle drobno posiekaną cebulę, którą dobrze posoliliśmy, żeby szybciej puściła wodę, oraz rozgnieciony czosnek. Dodajemy kurki, zwiększamy ciepło i obsmażamy, mieszając przez dwie minuty, dolewamy wino, odparowujemy, zmniejszamy ciepło i dusimy, co jakiś czas mieszając, przez 10 minut (gdyby robiło się za suche, dolewamy parę łyżek wody). Kroimy na drobniutką kostkę speck, dodajemy 2/3 do kurek na patelnię i dalej dusimy razem jeszcze kilka minut – resztę na drugiej patelni podsmażamy aż do chrupkości – żeby potem posypać gotowe danie. Jeśli macie cierpliwość i odpowiedni blender, to tę część specku, która idzie do kurek, możecie nawet zmiksować. Pod koniec duszenia zabielamy, ale powściągliwie, śmietaną, przerzucamy na patelnię świeżo odcedzony makaron (najlepiej jajeczne tagliatelle lub pappardelle), łączymy na ciepło, posypujemy natką pietruszki i osobno podsmażonym speckiem. A skąd on pochodzi? No wiadomo, z Tyrolu, ale wedle mojej najlepszej wiedzy nawet tam świnki raczej nie biegają wesoło po podwórkach. ©℗



VIKTORIYA VOLCHENKO / ADOBE STOCK

eprasa.pl 66b790add1



eprasa.pl 66b790add1

ZMYSŁY

FONTANNA BEZ WSTYDU

Siedziałem sobie o poranku na Piazza Pretoria w Palermo i zastanawiałem się, czy to gwałtowny przypływ uczuć, czy stan przedzawałowy. Kardiolog powiedziałby pewnie, że nie wziąłem rano tabletek. Ale ja wiedziałem, że to ze szczęścia.

BARTEK KIEŻUN Z PALERMO

Nawet nie dlatego, że byłem w Palermo. Nie ma się co oszukiwać. Nie jest to najpiękniejsze miasto na świecie. Jest brudne i głośne, a zagęszczenie turystów i miejsc służących do zarabiania na nich sprawiło, że kiedy wróciłem do miasta po latach nieobecności, nieustannie zgrzytałem zębami.

Tego dnia nie było inaczej. Po drodze na Quattro Canti widziałem, jak jakiś człowiek darł się w niebogłosy, choć jemu pewnie wydawało się, że śpiewa. Policjanci na środku placu wyglądali, jakby się zgubili, tuż obok rodzice szarpali dzieci za plecaki, bo te nie chciały iść tam, gdzie chcieli dorośli, co potwierdza, że wakacje to dla wszystkich szalenie trudny czas.

Jakiś uliczny handlarz wciskał skacowanym Brytyjczykom klapki wyprodukowane w Chinach, opowiadając, że jego przyjaciel ma wspaniałą restaurację na targu Ballarò. Pewnie mają tam nawet carbonarę według rzymskiego przepisu, nieobecną w żadnej prawdziwej palermitańskiej restauracji – pomyślałem nieco złośliwie i ruszyłem w kierunku pustego Piazza Pretoria.

Wcześniej ludzi przyciągała tam skandaliczna nagość rzeźb. Dziś plac jest pusty, a nagość nie robi na nikim wrażenia.

Piazza Pretoria

Na placu na szczęście nikt się nie kłócił, nikt też nikogo nie szarpał za plecak. Mogłem się za to przyjrzeć szczegółom ↦



KONSTANTIN KALISHKO / ADOBE STOCK

Fontanna Pretoria na Piazza Pretoria w Palermo

eprasa.pl 66b790add1

↦ dziwacznej rikszy, z której o zmierzchu będzie można zakupić każdy potencjalny rodzaj spritza w plastikowym kubku. Tak przynajmniej wywnioskowałem z plakatów, którymi wózek był oklejony.

Pustki wokół mogły mieć związek z tym, że w jednym z *palazzi* przy placu trwał remont, a sterczący nad nim dźwig nie podbijał wakacyjnego klimatu tak dobrze, jak ulice odchodzące od Quattro Canti i ich niesamowita oferta handlowa z plastikiem w roli głównej.

Mógłbym się wyzłośliwiać dalej, ale nie da się ukryć, że uwielbiam Palermo. Może właśnie z tego powodu tak bardzo rozdrażniły mnie zmiany. Jednak kiedy tylko usiadłem na Piazza Pretoria, wszystko wróciło na miejsce. Prawie zapomniałem o limoncello spritzu i chińskich klapkach z nadrukowanymi cytrynami, pogrążając się w rozmyślaniach na temat placu, który miałem w zasadzie tylko dla siebie, i na którym spotkałem całe mnóstwo starych, dobrych znajomych.

Swat Karola

Pedro Álvarez de Toledo y Zúñiga był jednym z nielicznych hiszpańskich wicekrólów Neapolu, o ile nie jedynym, którego Neapolitańczycy szczerze opłakiwali po jego spodziewanej śmierci we Florencji, dokąd udał się schorowany, po nieudanej misji tłumienia republikańskich buntów w Sienie.

Spodziewanej, bo z Neapolu wicekról wyjechał już chory, więc nie można się dziwić, że nie podołał polityczno-wojskowej misji. Człowiek ten stworzył najsłynniejszy neapolitański deptak, czyli Via Toledo, którego oferta jest dziś niepokojąco zbliżona do tego, co prezentują ulice odchodzące od Quattro Canti. Był synem księcia Alby i kuzynem cesarza Karola V.

Historyczne, nieco złośliwe plotki głoszą, że drogę do politycznej kariery otworzyło mu sprawne zabijanie byków na arenie, za co tłum go pokochał. Niemniej jednak wicekrólem był dobrym i miał sporo wspólnego z placem, na którym właśnie stałem.

Jak zanotowali historycy, kiedy Kosma I Medyceusz postanowił się ożenić, a plan poślubienia Małgorzaty Parmeńskiej, zwanej też Małgorzatą Austriaczką, nie wypalił, trzeba było poszukać planu B. Wtedy właśnie cesarz Karol V zwrócił uwagę Medyceusza na córkę jednego z najbardziej wpływowych mężczyzn na Półwyspie Apenińskim, który mimo tego, że zasłynął jako torreador, świetnie zarządzał Neapolem.

Cesarz zaklinał się, że Eleonora ma brązowe włosy i piękne orzechowe oczy, idealnie owalną twarz, łagodne rysy i wrodzony majestat. Miały o tym świadczyć nawet jej portrety. Kosma nie miał wtedy jeszcze jakichś znakomitych powiązań politycznych, plan wydawał się świetny, a jego realizacja przebiegła bez przeszkód.

Zazdrosny rzeźbiarz

Eleonora i Kosma stworzyli wyjątkowo udane małżeństwo, a uroda Eleonory stała się legendarna w Europie, zwłaszcza odkąd zaczął ją uwieczniać Bronzino, jeden z moich ukochanych manierystów. Z kolei jej brat nie słynął z urody, tylko z tego, że w wyniku tajemniczych machinacji przejął nieco ziemi we Florencji, a Pedro Álvarez de Toledo y Zúñiga, ojciec rodzeństwa, postanowił wybudować tam willę.

Z pomysłu z czasem zrezygnował, ale zlecił stworzenie wielkiego ogrodu, by uprzyjemnić dzieciom życie. Główną ozdobą miejsca miała być wspaniała fontanna. Autorem projektu był Francesco Camilliani, uczeń Baccia Bandinellego, florenckiego rysownika i rzeźbiarza.

Bandinelli miał wielu zdolnych uczniów. W jego pracowni kształcił się między innymi Santi Gucci, któremu nieśmiertelność zapewniły maszkarony dla krakowskich Sukiennic. O czym wiemy, bo w miejskich archiwach zanotowano, że Sancto Italo otrzymał 40 groszy za zrobienie glinianego modelu maszkarona, który miał być ozdobą kramów handlarzy suknem, odbudowywanych po pożarze.

Ale samego Bandinellego dzisiaj pamięta się nie jako świetnego nauczyciela, ale jako człowieka, który zniszczył kartony Michała Anioła do fresku „Bitwa pod Casciną", planowanego do florenckiego ratusza. Miała to być rzecz wyjątkowa. Kartony przedstawiały nagich mężczyzn szykujących się do kąpieli w rzece, bo przed przeprowadzką do Rzymu Michał Anioł malował i rzeźbił głównie to, co go interesowało.

To, co wydarzyło się tamtej nocy we Florencji, opisał Giorgio Vasari. Bandinelli wierzył, że jest w stanie rywalizować z Michałem Aniołem. Zdobył więc klucze do sali z kartonami konkurenta i kopiował je przez całą noc. Ale gdy nad ranem okazało się, że nie był w stanie dorównać oryginałom, część z nich podarł w gniewie.

Fontanna wspaniała

Camilliani, wspomniany już uczeń Bandinellego, najwyraźniej lepiej oceniał swoje możliwości i z geniuszem takim jak Michał Anioł nie miał zamiaru rywalizować. Zajął się więc projektem fontanny na zlecenie brata hiszpańskiego wicekróla Neapolu i dzięki temu trafił do historii jako twórca, a nie niszczyciel.

Fontanna składała się z 48 posągów z marmuru karraryjskiego i miała nietypowe wymiary jak na dzieło nieprzeznaczone do przestrzeni publicznej. Drewnianą pergolę wokół niej, wspartą na dziewięćdziesięciu kolumnach, zbudował Bartolomeo Ammannati, również uczeń Bandinellego i autor równie wspaniałej fontanny Neptuna na Piazza della Signoria we Florencji oraz mojego ukochanego florenckiego mostu Ponte della Trinita. Vasari miał okazję obejrzeć pracę Camillianiego i zapisał, że jest to najwspanialsza fontanna, jaką widział we Florencji, a może i w całej Italii.

Być może stałaby w stolicy Toskanii do dziś, ale niestety Eleonora jesienią 1562 r. wyjechała z Florencji na wybrzeże w celu podratowania zdrowia, po czym zmarła, wraz z dwoma synami, na malarię panującą w toskańskiej Maremmie.

Fontanna była częścią jej spadku. Luigi de Toledo, choć był synem wicekróla Neapolu, miał jednak spore problemy finansowe. Postanowił więc spieniężyć spadek i sprzedał fontannę Senatowi Palermo.

Dzieło niekompletne

By dzieło przetransportować, rozebrano je na 644 części. Tyle że Luigi de Toledo nie wysłał na Sycylię wszystkich. Historycy sztuki są pewni, że do dzisiejszej fontanny należałoby dołożyć jeszcze dwie rzeźby z florenckiego muzeum Bargello i kilka mniejszych z Neapolu. Przypuszcza się, że część fontanny jest też w hiszpańskim Cáceres, gdzie kręcono „Grę o tron".

eprasa.pl 66b790add1



TOLO / ADOBE STOCK

Posągi wokół fontanny Pretoria na Piazza Pretoria w Palermo

Vasari miał okazję obejrzeć pracę Francesca Camillianiego i zapisał, **że jest to najwspanialsza fontanna, jaką widział w całej Italii.**

W Palermo fontannę stawiano pod okiem syna Francesca Camillianiego. Rozebrano kilka budynków, tak by dzieło otaczały Palazzo Pretorio, budynek palermitańskiego ratusza, Kościół Santa Caterina oraz Palazzo Bonocore i Palazzo Bordonaro. Czwarta strona wychodzi na Via Maqueda i to z tego właśnie miejsca spoglądałem na ten szalenie skomplikowany program ikonograficzny, jakim jest dzieło toskańskiego rzeźbiarza.

Pierwszy poziom tworzą balustrady z czterema bramami, z których każda ozdobiona jest dwoma posągami. To strażnicy wyznaczający koniec przestrzeni i czasu, strzegący dostępu do niebiańskiej Jerozolimy. Na kolejnym poziomie są cztery baseny z figurami uosabiającymi rzeki, otoczone posągami trytonów i nereid – morskich nimf i syren. Po przeniesieniu fontanny zmieniono tylko imiona rzek, by pasowały do nowej rzeczywistości.

Posąg przedstawiający Arno zaczął symbolizować Oreto – jedną z czterech rzek zasilających swoimi wodami Palermo. Jest też Papireto, dzisiaj płynąca pod miastem kanałami zaprojektowanymi przez meliorantów w XVI w. Imię tej rzeki nawiązuje do rosnących na jej brzegach papirusów, dlatego też wierzono, że Papireto jest córką Nilu. Zanim została wtłoczona pod miasto, miała wielkie znaczenie – źródła arabskie donoszą o licznych młynach na jej brzegach i że jej wody służyły do nawadniania ogrodów warzywnych w Palermo.

Trzecia rzeka to potok Gabriele, której nazwa wywodzi się od arabskiego słowa *al Garbal* oznaczającego jaskinię z wodą. Czwarta to Nil – jedyna rzeka, która nie zmieniła tu swej historii. Jego potęgę symbolizuje Herkules stojący z dużą maczugą bezpośrednio przed ratuszem.

Za personifikacjami rzek widać nisze z głowami zwierząt. To arka Noego. Jest też basen powyżej, z którego wyłaniają się dwa potwory morskie, trzymające misę otoczoną czterema marmurowymi gęsiami. Żółwie ustawione poniżej stanowią symboliczną granicę między światami, a cherubin na szczycie przedstawia niebiańską Jerozolimę.

Wstydu nie ma

Niebiańska czy nie, Jerozolima nie spotkała się z pozytywnym przyjęciem w Palermo. Była piękna, mówili wszyscy, ale wydawanie pieniędzy na zbytki, gdy miasto było pogrążone w kryzysie, nie wywołało powszechnego aplauzu, którego się spodziewano.

Zaczęto więc przebąkiwać o Fontannie Wstydu, jaki powinien ogarnąć wszystkich – mówiono w Palermo – którzy trwonili miejski majątek na głupoty. Ale jeśli choć trochę znam Sycylię, tego nikt się tak naprawdę nie wstydził. Chyba że, jak mówią inni, chodziło o golasów, których mieszkańcy Palermo musieli oglądać w samym centrum miasta.

Mnie golasy nie przeszkadzały. Usiadłem na placu w miejscu, skąd nie było widać ani tłumów turystów, ani japonek z nadrukowanym w Chinach dziwnym wzorem, ani tym bardziej wózka zachęcającego do wypicia trzech limoncello spritzów w cenie dwóch.

I cieszyłem się, że choć przez moment mam Palermo tylko dla siebie.

© BARTEK KIEŻUN

eprasa.pl 66b790add1

TOMASZ

Stawiszyński: *Śmierć a troska o życie*



Kwestia legalności eutanazji to, po pierwsze, zagadnienie z zakresu filozofii moralności. Streszcza się ono w pytaniu, czy w pewnych okolicznościach powinniśmy uznać, że jednostka ma prawo decydować o własnej śmierci. Uznać, że ma prawo, czyli po prostu – umożliwić jej śmierć. Oznacza to niekiedy: dostarczyć niezbędne do tego celu środki, niekiedy zaś: aktywnie tę śmierć zadać. W tak zarysowanym sporze przeciwni legalności eutanazji są przeważnie, choć nie tylko, ludzie religijni, opowiadają się za nią natomiast przeważnie, choć nie tylko, ateiści. Problem jest jednak skomplikowany i złożony, podobnie jak przesłanki stojące za wspomnianymi wyżej przekonaniami. Wszystko zależy od tego, jak się rozumie m.in. takie pojęcia, jak racjonalność, podmiotowość i świadomość; co się sądzi o wartości życia ludzkiego, od czego się ją uzależnia, jak się ją definiuje; wreszcie – jakie się wyróżnia zobowiązania jednostki wobec wspólnoty i na odwrót.

Skala, na jakiej rozkładają się te stanowiska, jest równie szeroka. Zbiór zwolenników legalności eutanazji w przypadku choroby terminalnej, na wyraźne życzenie chorego, nie pokrywa się ze zbiorem zwolenników legalności eutanazji dotyczącej osób chorych psychicznie albo zdrowych na ciele i umyśle, ale pragnących zakończyć swoje życie. Wymienione zbiory zaś nie pokrywają się ogółem ze zbiorem zwolenników legalności eutanazji wykonywanej na nieletnich czy też na osobach o tak uszkodzonym mózgu, że niezdolnych do artykułowania jakichkolwiek życzeń lub potrzeb.

Po drugie, eutanazja jest przedmiotem doświadczenia. Dla osób cierpiących i pragnących umrzeć oraz dla lekarzy, którzy stają przed wyborem, czy w danej sytuacji spełnić życzenie pacjenta. Czy kierować się chłodną analizą, sumieniem, powszechną moralnością, czy współczuciem? W podobnych dylematach, jak się wydaje, nie istnieją uniwersalne reguły postępowania. W zależności od tego, kim jest ten, kto prosi o eutanazję, oraz ten, do którego tę prośbę się kieruje, ocena może się diametralnie różnić. Nie ma tu matematyki, jest konfrontacja z najbardziej radykalnymi i granicznymi aspektami ludzkiej egzystencji. Rozstrzygnięcia, jakich się w takich sytuacjach dokonuje, mają potężny ciężar. Nie zmienią tego żadne uczone wywody, kodeksy, przepisy czy komisje.

I wreszcie po trzecie, *last but not least*, eutanazja istnieje jako zjawisko społeczne. Jako praktyka funkcjonująca od lat w pewnej liczbie państw, które na wdrożenie takiego rozwiązania – w rozmaitych wariantach i formach – się zdecydowały. Należą do nich m.in. Holandia, Belgia, Hiszpania czy Kanada.

Wszystkie te trzy wymiary zagadnienia eutanazji z jednej strony ściśle się ze sobą splatają, z drugiej – są pod niektórymi względami rozłączne. Splatają, bo zależą od siebie nawzajem. Praktyka społeczna nie istnieje bez rozstrzygnięć o charakterze moralnym, a każda statystyka to zbiór niepowtarzalnych historii. Są zaś pod niektórymi względami rozłączne, bo można – jak piszący te słowa – intelektualnie uznawać argumenty na rzecz tezy, że pomoc w zakończeniu życia człowiekowi śmiertelnie choremu i ekstremalnie cierpiącemu, na jego własną prośbę, bywa moralnie dobra, a zarazem patrzeć z rosnącym niepokojem na kraje, które eutanazję czy też wspomagane samobójstwo usankcjonowały. Przyznam, że doniesienia z Kanady o (łącznie) kilkudziesięciu procentach osób, które deklarują, że podstawową motywacją do prośby o śmierć jest dla nich samotność oraz bycie ciężarem dla bliskich, zapowiedzi wprowadzenia eutanazji na życzenie dla każdego chętnego czy też coraz częstsze przypadki uśmiercania osób cierpiących na zaburzenia psychiczne, m.in. głośne historie Zorai Ter Beek czy Noelli Castillo, sprawiają, że powszechny dostęp do eutanazji zdaje mi się od pewnego czasu czymś głęboko problematycznym.

W tej sprawie zgadzam się z Michelem Hoeuellebekiem, skądinąd jednym z najbardziej przenikliwych obserwatorów współczesności (proszę przypomnieć sobie jego profetyczne wypowiedzi, np. z początku pandemii). Niezależnie od filozoficznego sporu o dopuszczalność eutanazji, społeczna praktyka „dobrej śmierci" w schyłkowych zachodnich społeczeństwach – dotkniętych samotnością, polaryzacją, postępującym zanikiem więzi, kultem pieniądza, efektywności i młodości, wypieraniem starości i śmierci – niesie coraz więcej wątpliwości i obaw. Ryzyko, że ludzkie życie stanie się w takich warunkach elementem systemowej buchalterii, już się właściwie materializuje. Przejmującego obrazu tego procesu dostarczyła niedawno Elaina Plott Calabro w rozległym tekście „Kanada się zabija", opublikowanym w 849. numerze miesięcznika „Znak".

Wyłania się z niego przygnębiający obraz państwa, które oferuje „usługę" eutanazji także tym, o których leczenie albo komfort życia dałoby się z powodzeniem zadbać – co w oczywisty sposób okazuje się korzystną dla systemu oszczędnością. W połączeniu z drapieżnym rynkiem i rozwojem sztucznej inteligencji, która redukuje wszystko do poziomu wiązki danych, rachuje, przelicza i zamienia na eleganckie bilanse, daje to obraz kultury pogrążonej w fundamentalnym kryzysie. Takiej, w której, jak słusznie zauważa Houellebecq, wąsko rozumiana „użyteczność" staje się wartością najwyższą. Powtórzę więc na koniec to, co już kilkukrotnie na tych łamach pisałem. Bez gruntownej, systemowej zmiany wprowadzanie powszechnego dostępu do eutanazji oznacza ni mniej, ni więcej, tylko zastępowanie śmiercią troski o życie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 66b790add1

REKLAMA

FUNDACJA KULTURALNY SZLAK

MAŁOPOLSKA wizytówka

XIV FESTIWAL Barok NA SPISZU

ZOBACZYĆ I USŁYSZEĆ SZTUKĘ



15 sierpnia Orawka (prolog na Orawie)
JAM JEST PASTERZ DOBRY / SCEPUS BAROQUE

16 sierpnia Łapsze Wyżne
POLSKIE INSPIRACJE TELEMANNA / BARQUE ENSEMBLE

21 sierpnia Jurgów
MUZYKA CERKIEWNA W RZECZYPOSPOLITEJ / KATAPETASMA

22 sierpnia Łapsze Niżne
TRADYCJE MUZYKI WOKALNEJ / ARTEVOCI

23 sierpnia Niedzica
PATER NOSTER / CAPELLA AUGUSTANA

NA WSZYSTKIE WYDARZENIA WSTĘP WOLNY

koncerty, wykłady, oprowadzania po kościołach
oraz degustacje kuchni spiskiej i orawskiej

TRADYCJONALIA

PARTNER GŁÓWNY
MAŁOPOLSKA

MECENASI I PARTNERZY
ZEW NIEDZICA S.A. · Niedzica.pl · Kotelnica Białczańska · Jurgowska.pl · GOK · ASTRAIA

BAROKNASPISZU.PL

eprasa.pl 66b790add1

REKLAMA

SUBARU **CROSSTREK**
JUŻ OD 668,62 PLN
NETTO MIESIĘCZNIE*



*Propozycja najmu Erste Leasing S.A. skierowana do przedsiębiorców. Powyższą kalkulację przygotowano dla samochodu o wartości 117 073,17 PLN netto, dla umowy zawartej na 36 miesięcy, przy 37,14 % wpłacie własnej, roczny przebieg 15 000 km, miesięczny koszt ubezpieczenia 424,10 PLN, miesięczny koszt serwisu 168,69 PLN, czynsz najmu 668,62 PLN netto. Wartość opłat należy powiększyć o podatek VAT wg aktualnej stawki. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu Kodeksu cywilnego i może ulec zmianie. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego.

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

ERSTE Leasing

ENEOS MOTOR OIL

ERGO HESTIA

YOKOHAMA

eprasa.pl 66b790add1

WAJDA:

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

„TP” 31/2026

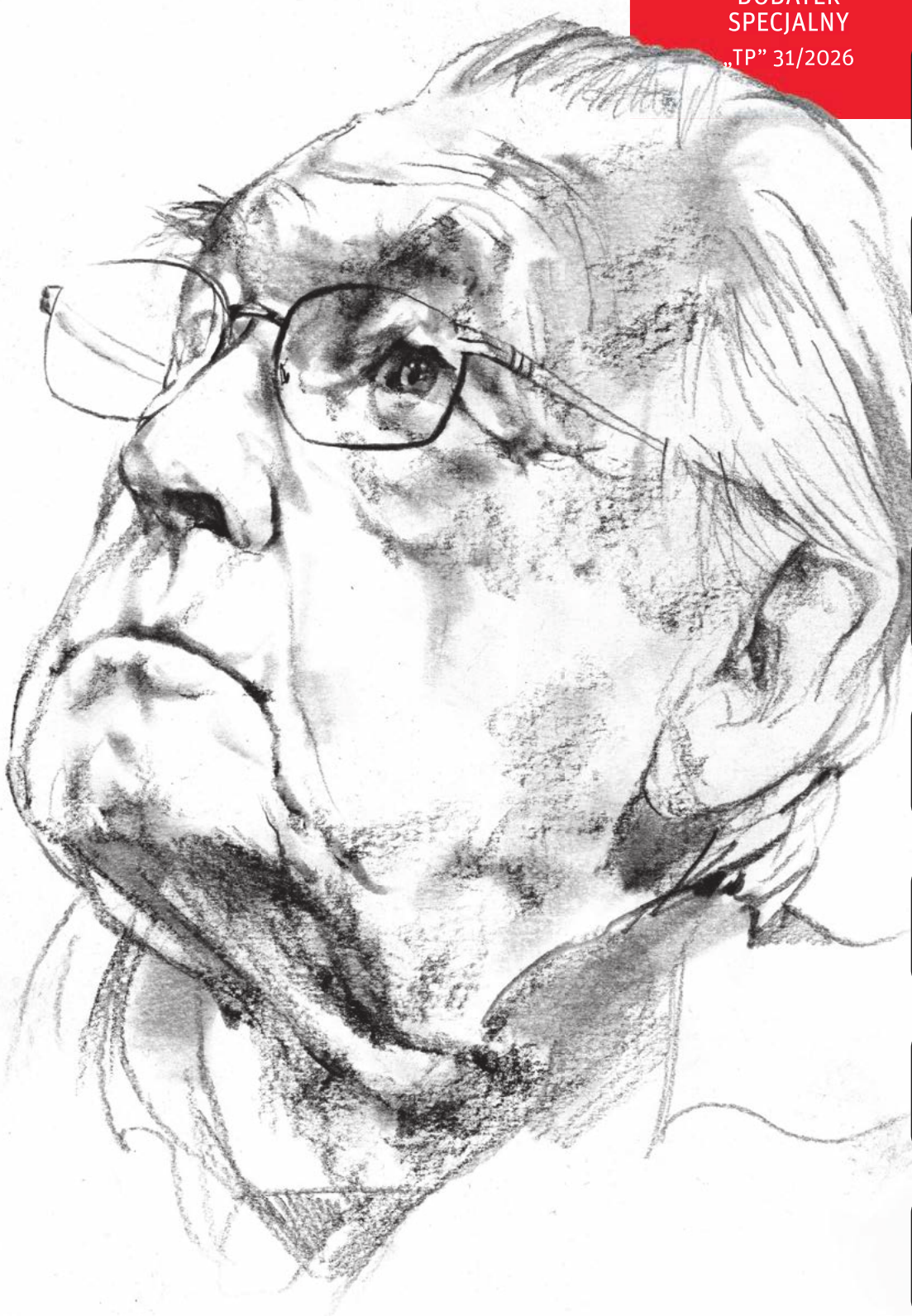

NOWE KADRY

eprasa.pl 66b790add1

REKLAMA

TOTALIZATOR SPORTOWY | 7 LAT

TOTALIZATOR SPORTOWY PATRONEM ROKU ANDRZEJA WAJDY



fot. Kamil A. Krajewski
© Muzeum Manggha

ANDRZEJ WAJDA 2026

Andrzej Wajda nie tylko współtworzył tożsamość naszego kina, ale również wpłynął na sposób, w jaki Polska jest postrzegana na świecie. Wierzymy, że kultura wymaga obecności silnych, społecznie zaangażowanych partnerów, którzy wspierają ją z pasją i konsekwencją. Dla nas to nie tylko patronat – to realna inwestycja w pamięć, dziedzictwo i wrażliwość kolejnych pokoleń.

TOTALIZATOR SPORTOWY — NAJWIĘKSZY MECENAS KULTURY I SPORTU W POLSCE

eprasa.pl 66b790add1

Podróże herosów

Na zaproszenie Krakowskiego Festiwalu Filmowego reżyser i filmoznawca Kuba Mikurda sięgnął do archiwów Telewizji Polskiej, by wydobyć z nich materiały, które pokazywałyby Andrzeja Wajdę jako człowieka w procesie: w sporze, podczas pracy, w nieustannym ruchu.

W ramach retrospektywy uświetniającej Rok Wajdy zaprezentowano widzom między innymi niepublikowane dotąd nagranie długiej rozmowy Andrzeja Żuławskiego z Wajdą na temat kondycji kina – nie tylko polskiego, ale też europejskiego i amerykańskiego. Dawni współpracownicy (Żuławski był w latach 60. asystentem Wajdy) spotkali się w telewizyjnym studiu w połowie lat 90., dokładnie w momencie, kiedy mieliśmy za sobą kinową przygodę w „Parku Jurajskim" Stevena Spielberga, a Jarosław Żamojda zdążył nam pokazać „Młode wilki". Polska powoli porządkowała swoją kinematografię na nowo.

Wajda, poza doskonałym rozeznaniem we współczesności, wybiega w rozmowie z Żuławskim daleko w przyszłość, przewidując na przykład, że branża gier wideo będzie miała ostatecznie dużo większe budżety i rozmach niż kinematografia.

Niezwykle interesująca jest ta dyskusja mistrza i ucznia, nie tylko dlatego, że uświadamia (niestety), że trzydzieści lat później mamy w naszym kinie podobne problemy, a branża i decydenci wciąż nie odpowiedzieli sobie na stawiane wówczas przez reżyserów pytania – na przykład o to, w jaki sposób zabezpieczyć komfortowy start debiutującym w naszym kraju artystom, czy też o to, jakie kino w ogóle powinniśmy robić oraz jak je finansować, a następnie promować wśród rodzimej widowni.

Podróż w czasie z Wajdą okazała się na tyle inspirująca i intrygująca, że niedługo po zakończeniu Krakowskiego Festiwalu Filmowego wróciłam do „Człowieka z marmuru", z zaskoczeniem konstatując, że to jeden z najlepszych polskich filmów, które zdarzyło mi się obejrzeć. Żaden polski film nie zrobił na mnie tak dużego wrażenia, jak oglądany po latach „Człowiek z marmuru". Przede wszystkim: nikomu jak dotąd nie udało się uchwycić ducha Warszawy w taki sposób, w jaki zrobił to pięćdziesiąt lat temu Wajda. Mogę sobie tylko wyobrazić, jaką moc miała w latach 70. energia debiutującej na ekranie Krystyny Jandy, ale też dynamika ujęć (genialny początek!), wyraziste postaci i miejsca, które odwiedzamy z młodą reżyserką Agnieszką.

Ale „Człowiek z marmuru" poza tym, że jest historią o robotnikach, stalinizmie czy karierowiczach ze stołecznej telewizji, opowiada przecież o sposobach odkrywania przeszłości. A właściwie: o sposobach odkrywania przeszłości herosów, wszak Birkut jest herosem swoich czasów. Socjolog Paweł Śpiewak pisał na łamach „Tygodnika" o bohaterach tego filmu Wajdy, że każdy z nich „pokazuje odmienny kawałek tamtej epoki. Wszyscy coś pamiętają i zarazem uciekają przed dopowiedzeniami". Dlaczego tak się dzieje?

Interesujące, że kiedy wydajemy ten magazyn, w kinach można właśnie oglądać adaptację „Odysei" w reżyserii Christophera Nolana. A przecież to właśnie „Odyseja" jako pierwsza podjęła problem, który wydobył z filmu Wajdy Śpiewak. Homer wiedział – a ja wiem to z kolei od pisarza Wita Szostaka, pilnego czytelnika Homera – że „wobec każdego gramy inną rolę, że w środku jesteśmy kłębkiem różnych wersji samych siebie i być może do końca nie wiemy, jaka jest ostatecznie prawda o nas".

Tę wiedzę zawarł w swoim dziele Homer. Zdobywa ją także, jadąc reżyserską Nyską z Krakowa do Zakopanego, reżyserka Agnieszka. Dlatego właśnie w filmie o herosie Birkucie, jak zauważył Śpiewak, „relacje nie mogą być do końca prawdziwe i rzetelne, bo wszyscy, którzy je przedstawiają, nie są w stanie powiedzieć szczerze, kim byli. Przeszłość jest tak straszliwa, że każdy chcąc nie chcąc bierze udział w konspiracji milczenia czy niedomówień".

Losy herosów „możemy oglądać jedynie z dystansu, uzbrojeni w historyczne i krytyczne narzędzia" (Szostak). Wiedział o tym Homer, wiedział o tym oczywiście również Wajda – dlatego jego film ma tak genialną konstrukcję. Jak przekonałam się z nagrania TVP oraz rozmów, jakie znalazłam na łamach „Tygodnika", Wajda doskonale radził sobie w podróżach między przeszłością a przyszłością. Chyba właśnie dlatego jego filmy tak dobrze się starzeją.

O pozostałych cechach Mistrza przeczytają Państwo na kolejnych stronach. ©℗ Monika Ochędowska

4. Niewinnie oczarowany
Kalina Błażejowska

10. Zupełnie jak u Wajdy
Michał Walkiewicz

16. Rola to jest czarna plama
Rozmowa z Andrzejem Sewerynem

22. Lista marzeń
Joanna Najbor

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 31/2026
REDAKCJA: Monika Ochędowska | KONCEPCJA: Anita Piotrowska
OPIEKA WYDAWNICZA: Justyna Hernas | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Katarzyna Bułtowicz
KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk
PORTRET NA OKŁADCE: Michał Dyakowski dla „TP"
PARTNEREM WYDANIA JEST TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl 66b790add1



Niewinnie oczarowany

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Wajdę zawsze interesowało, czym żyją młodzi ludzie. Nakręcił o tym trzy filmy, ale z żadnego nie był zadowolony. A jak się je ogląda dziś?

eprasa.pl 66b790add1



POLFILM / EAST NEWS

Tadeusz Łomnicki (w białej koszuli) na planie filmu „Niewinni czarodzieje”, 1960 r.
Na zdjęciu po lewej także Andrzej Trzaskowski i Krzysztof Komeda, na górze trzepaka – Roman Polański.

Na ile lat się pan czuje?” – zapytałam Andrzeja Wajdę w wywiadzie z okazji dziewięćdziesiątych urodzin. Był pochmurny lutowy dzień 2016 roku i siedzieliśmy w salonie jego żoliborskiego domu: ja z reżyserem przy stole, szylkretowa kotka na blacie między nami.

„Na ile lat się czuję? To dobre... Hm... Czuję się na tyle lat, że bym mógł zrobić następny film”. Wtedy ta odpowiedź wydała mi się wymijająca – chciałam rozmawiać o życiu, nie o kinie. Dzisiaj myślę, że dla Andrzeja Wajdy życie i kino były nie do oddzielenia. A wspomnienia mniej ważne od planów.

Przez resztę rozmowy wracał więc do tego kolejnego filmu: chciał, żeby był współczesny i polityczny. „Taki, którego nikt za mnie nie opowie”. Nagle jakby się ocknął, pytając na głos siebie samego: „Ale może nie muszę robić takiego filmu? Może mógłbym zrobić jakiś film bezinteresowny?”. I wyjaśnił: „Pilnie obserwuję także obyczajowość – jak ona się zmienia. Chciałbym zrobić film o tym, czym żyją młodzi ludzie: czego chcą, czy zostaną, czy uciekną, czy wrócą... To pytania, na które chętnie bym udzielił odpowiedzi”.

Pamiętam, że byłam zdziwiona: dziewięćdziesięciolatek opowiadający o młodzieży i jej obyczajowości? Skąd mu się to w ogóle wzięło? A przecież w swojej karierze Wajda wielokrotnie wracał do tematyki pokoleniowej zmiany. Opowiadał przede wszystkim o własnej, naznaczonej wojną generacji, patrząc wstecz z coraz odleglejszej perspektywy – najpierw w filmach szkoły polskiej, czyli „Pokoleniu” (1955), „Kanale” (1957) i „Popiele i diamencie” (1958), później w „Krajobrazie po bitwie” (1970) czy „Pierścionku z orłem w koronie” (1993).

Ale zdarzało mu się też mówić o polskiej młodzieży „tu i teraz”. Jak te jego filmy ogląda się dziś? Co z czasem zyskały, a co straciły?

Sami na świecie

Do współczesnej fabuły o tematyce młodzieżowej Andrzej Wajda poważnie przymierzał się już w 1957 r. Postanowił zekranizować opowiadanie o parze nastolatków, która ukryta w ruinach na tzw. Ziemiach Odzyskanych oczekuje na narodziny dziecka. Autorką tekstu była Monika Kotowska – piętnastoletnia debiutantka porównywana do Marka Hłaski.

Wajda tak zanotował swój pomysł: „Cała strona moralna nie istnieje – chłopiec jest mężczyzną, który w zwierzęcy, biologiczny sposób broni samicy, mającej mieć małe”. Scenariusz zatytułował „Jesteśmy sami na świecie”. Niestety filmowcy nie byli wtedy sami: gdy ruszały zdjęcia, z Warszawy przyszedł telegram wstrzymujący produkcję. W październiku 1957 r. Wajda zapisał: „Żądają ode mnie zaprzestania pracy lub poprawek. Jest koncepcja, żeby przenieść akcję w czasy okupacji. Ale to nie ma sensu. Odrzucam projekt i filmu nie realizuję”. Zaraz potem zaczął pracę nad „Popiołem i diamentem”.

W 1959 r. powstali „Niewinni czarodzieje” ze scenariuszem Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Skolimowskiego. Andrzejewski kończył wówczas pięćdziesiątkę, ale miał stały kontakt z młodzieżą – dzięki swoim nastoletnim dzieciom i dzięki ciągle nowym młodym mężczyznom, w których się zakochiwał. Jednym z nich był właśnie Jerzy Skolimowski: wtedy dwudziestoletni poeta ćwiczący boks i grę na perkusji.

Tuż po tym, gdy poznali się w Domu Pracy Twórczej w Oborach, 10 lutego 1959 r. Andrzejewski zanotował w dzienniku: „Zaraz po obiedzie przyszedł do mnie Skolimowski, żeby przeczytać szkic scenariusza napisany ostatniej nocy. On sam ciekawszy od tego, co pisze. Próżny, ambitny, bezczelny, zarozumiały – ma ładną twarz skończonego drania i chyba bardzo piękne ciało”. W trzy tygodnie wspólnie napisali pierwszą wersję scenariusza. Tytuł zaczerpnęli z umiarkowanie młodzieżowej lektury, czyli „Dziadów. Widowiska”: „Witajże, ma jaskinio – na wieki zamknięci, / Nauczmy się więźniami stać się z własnej chęci / Czyż nie znajdziem zatrudnień? Mędrce dawnych wieków / Zamykali się szukać skarbów albo leków / I trucizn – my niewinni młodzi czarodzieje / Szukajmy ich, by otruć własne swe nadzieje”.

Wystarczą twoje ciuchy

Jaskinia, w której żyje główny bohater filmu – młody lekarz sportowy i jazzman Andrzej, grany przez ufarbowanego na platynowy blond Tadeusza Łomnickiego – to kawalerka w oficynie kamienicy przy Chmielnej. Nie ma w niej luksusów, ale są liczne symbole zachodniego stylu życia czy raczej – aspiracji do niego. ↦

eprasa.pl 66b790add1

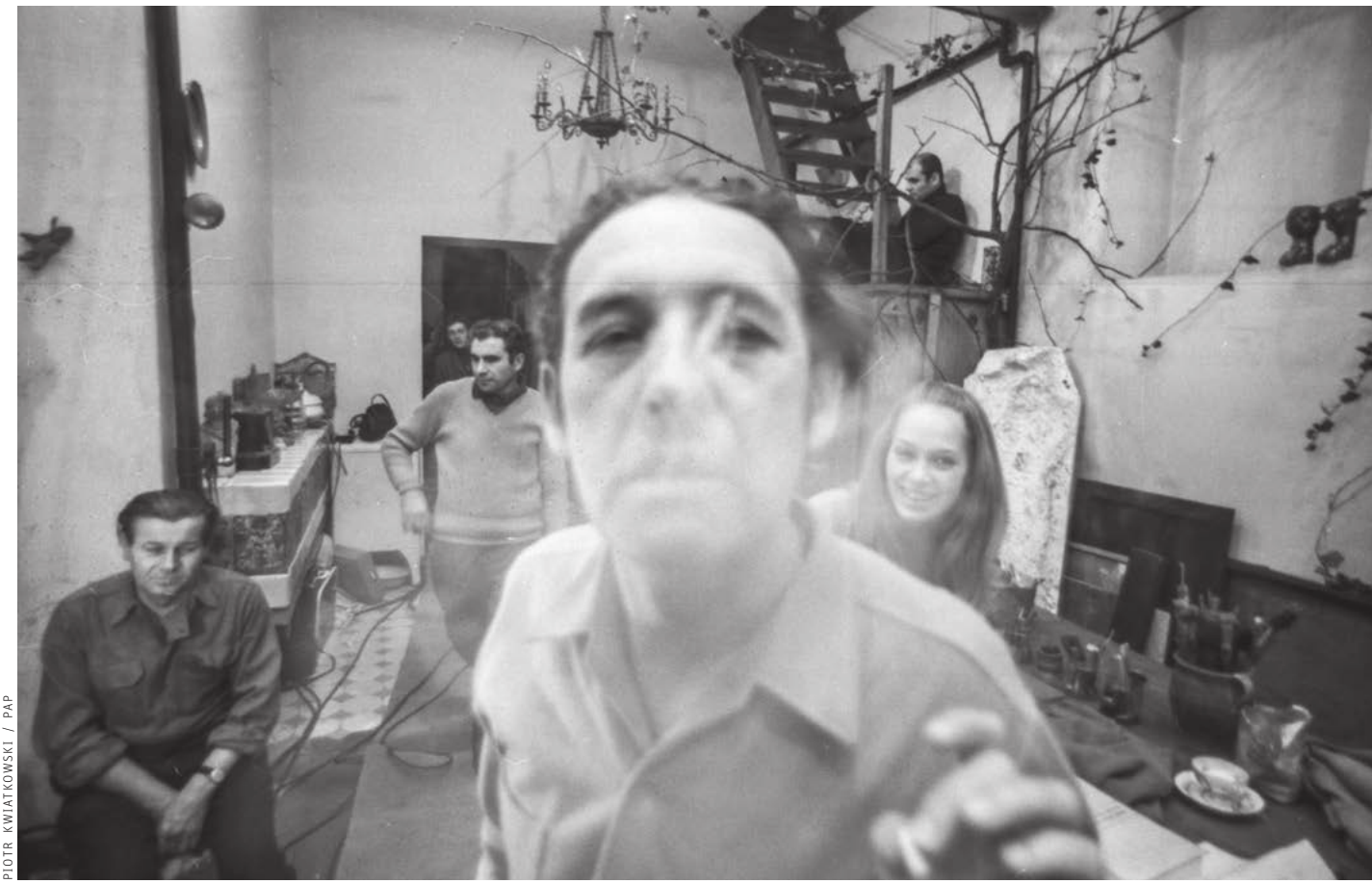

PIOTR KWIATKOWSKI / PAP

Andrzej Wajda na planie filmu „Polowanie na muchy", po prawej Małgorzata Braunek, 18 listopada 1968 r.

↦ Andrzej używa golarki elektrycznej, nagrywa głosy kochanek na magnetofon szpulowy, pali papierosy Marlboro, pije kawę rozpuszczalną Nescafé i wódkę z czerwoną kartką, przelewaną do butelki po ginie Gordon's. Na podwórku zaś ma zaparkowany skuter Lambretta – wprawdzie popsuty, ale w momencie desperacji możliwy do uruchomienia.

Do tej właśnie kawalerki pewnej letniej nocy przyprowadza nieznajomą dziewczynę, przedstawiającą się wymyślonym imieniem Pelagia (w tej roli amatorka, studentka romanistyki Krystyna Stypułkowska, która później próbowała robić karierę aktorską, ale ostatecznie wybrała emigrację do USA). Do rana ta dwójka prowadzi wyrafinowaną psychologiczną grę na słowa, miny i gesty. W pewnym momencie pojawia się też gra w zapałki. „Czym chcesz płacić?" – pyta Pelagia. „Sobą" – odpowiada przeciągle Andrzej. „Wystarczą twoje ciuchy" – kpi Pelagia. Tu następuje najlepsza w filmie scena striptizu, kończącego się jak darowana egzekucja.

Cała ta wielostopniowa gra ma być wstępem do seksu bez zobowiązań. Ale seksu – a nawet odwzajemnionego pocałunku – nie ma. Zamiast niego pojawia się zakochanie, które Andrzej uświadamia sobie dopiero, gdy Pelagia znika.

W zakończeniu wymyślonym i nakręconym przez Wajdę dziewczyna wychodzi do szkoły – w ostatnim ujęciu, ubrana w mundurek, okazuje się już nie fascynującą kobietą, ale zwyczajną nastolatką, podobną do czterdziestu innych siedzących w ławkach dziewcząt. Ten finał został zmieniony przez cenzurę. W filmie, który możemy oglądać, Pelagia po prostu wraca do kawalerki i z uśmiechem zamyka za sobą drzwi.

Jako żart albo dokument

W rozmowach bohaterów przewija się temat kondycji młodzieży, odwróconej od wojennej historii i powojennej polityki. „Zarzucają nam, znaczy naszemu pokoleniu, że tylko siebie widzimy i uznajemy. Może. Ale jak ma być inaczej, jeśli tylko my, młodzi, nie mamy żadnych złudzeń? I jest dla nas jasne, że o świecie, po którym się plączemy, nie wiemy nic" – ta kwestia Pelagii aktualizuje się z każdym pokoleniem.

Próbując podtrzymać „inteligentną rozmowę", będącą jednym z punktów wcześniej spisanego kontraktu, Pelagia kontynuuje: „Uważam, Bazyli, że jesteśmy pokoleniem zupełnie wyjątkowym, nie sądzisz?". „Nic mnie to nie obchodzi" – odpowiada z udawanym znudzeniem Andrzej. „A co ciebie obchodzi?". „Wygodne buty, dobre papierosy, dobre skarpetki. Lubię leżeć, nawet sam...". Samotność, jak zauważa wcześniej bohater, jest zresztą „dobrym sposobem na uniknięcie rozczarowań".

Maniera monologów i dialogów w „Niewinnych czarodziejach" dzisiejszemu widzowi może wydać się urocza albo nieznośna. Lub uroczo nieznośna. Są w tym filmie dwa fałsze: zamierzony przez twórców i niezamierzony. Ten drugi wynika chyba z castingu – zarówno Tadeusz Łomnicki, jak Krystyna Stypułkowska nie byli stworzeni do swoich ról.

eprasa.pl 66b790add1

Wajda długo nie mógł się zdecydować na obsadę, bo do końca nie był pewien, kim są bohaterowie.

Jeszcze w trakcie zdjęć notował: „Taki film byłby do oglądania tylko jako żart albo dokument. W pierwszym wypadku potrzebni są bardzo piękni, w drugim – absolutnie autentyczni bohaterowie. A tu ani jedno, ani drugie". Później żałował, że nie wybrał samego Jerzego Skolimowskiego i jego ówczesnej partnerki, Elżbiety Czyżewskiej.

Bardziej przekonująco wypadają w filmie postaci drugoplanowe: Zbyszek Cybulski jako brat-łata, Roman Polański jako zakompleksiony szef jazzbandu, Jerzy Skolimowski jako bokser czy Kalina Jędrusik jako seksowna dziennikarka. A także Krzysztof Komeda i Sława Przybylska grający samych siebie.

Coś tu jest nie tak

I chociażby po to, by zobaczyć tych wszystkich ludzi – wtedy jeszcze nieświadomych, że staną się legendami – na jednym ekranie, warto „Niewinnych czarodziejów" obejrzeć. A także dla Warszawy późnych lat 50., świecącej neonami i bielą świeżego tynku. To pocztówka z nowego miasta, w którym stoi już Pałac Kultury, Dworzec PKP Śródmieście i MDM, ale są też modne miejsca z zupełnie innego, nie socrealistycznego, a kontrkulturowego porządku: kawiarnia Manekin czy klub Stodoła.

Dziś film broni się przede wszystkim jako dokument epoki: chwili pełnego oddechu po dusznych latach stalinizmu. „Niewinni czarodzieje" są niewinnie oczarowani nowoczesnością: w filmie rozbrzmiewają jazz, klaksony aut, silnik motoru, a nawet huk odrzutowców. Bohaterowie mówią o „muzyce dodekafonicznej albo elektronowej", ciągle rozproszeni sprawdzają metki ciuchów i marki przedmiotów, zachłannie przerzucają strony kolorowych magazynów.

„Wtedy zaczynały powstawać filmy – mój, Skolimowskiego, Polańskiego – które przeciwstawiały się sytuacji politycznej za pomocą nowej obyczajowości, muzyki, mody. I tych filmów władza bała się najbardziej. Czuła, że młodzi idą w zupełnie innym kierunku, że żyją swoim życiem i już od tego nie odstąpią" – tłumaczył mi Andrzej Wajda w 2016 roku.

Ale tuż po realizacji „Niewinnych czarodziejów" patrzył na to dzieło zupełnie inaczej. „Uważam go za mój najgorszy film. Nigdy się tak nie nudziłem, jak w czasie jego realizacji" – zanotował. I dodał: „Bardzo chciałem zrobić film współczesny, ale od początku czułem, że coś tu jest nie tak. Chodziło mi głównie o dwie sprawy: 1. Główny bohater – jaki jest naprawdę, jeżeli to, co widzimy, jest maską? 2. Jaki jest nasz stosunek do tematu – chcemy bronić młodzież czy ją demaskować?".

> „Zarzucają nam, znaczy naszemu pokoleniu, że tylko siebie widzimy i uznajemy. Może. Ale jak ma być inaczej, jeśli tylko my, młodzi, nie mamy żadnych złudzeń? I jest dla nas jasne, że o świecie, po którym się plączemy, nie wiemy nic" – ta kwestia Pelagii z filmu „Niewinni czarodzieje" aktualizuje się z każdym pokoleniem.

Rozpaczliwe gesty

Dziesięć lat później Wajda nie miał już wątpliwości: zdecydował się na demaskowanie współczesnej młodzieży. W komedii „Polowanie na muchy" umieścił postać Ireny, studentki polonistyki, która uwodzi udręczonego życiem rodzinnym i biurowym Włodka. Postanawia zrobić z niego dobrze prosperującego tłumacza poezji, który zapewni jej pełne podróży życie na poziomie – co z dzisiejszej perspektywy wydaje się najzabawniejsze. Irena zgrywa wyrafinowaną intelektualistkę, tak naprawdę będąc wyrachowaną materialistką.

Tu dla odmiany casting był doskonały: trudno oderwać wzrok od głupawego uśmiechu i szklących się z frustracji zielonych oczu Zygmunta Malanowicza, ale przede wszystkim od twarzy i ciała debiutującej na ekranie Małgorzaty Braunek.

Fantastycznie ubrana (okulary muchy, dzianinowe minisukienki, dżinsy szwedy, obcisłe kombinezony) albo całkiem rozebrana (ale przykryta rosyjskimi słownikami), śmiejąca się szeroko i mówiąca uroczym głosem, jest uosobieniem męskiej fantazji o kobiecie-dziecku, a jednak okazuje się kobietą-modliszką. Dziś dostrzega się w tym filmie mizoginię (zwłaszcza że okrutne są też inne kobiety w życiu bohatera – żona i teściowa), ale równie dobrze można dostrzec mizoandrię: wszyscy mężczyźni są tu żałośni, choć każdy na inny sposób.

Scenarzystą „Polowania na muchy" był Janusz Głowacki i, podobnie jak w przypadku współpracy z Andrzejewskim i Skolimowskim, Wajda nie był zadowolony z efektu. „Przy pewnym wysiłku można w »Polowaniu na muchy« dostrzec ślady ambitniejszych rozwiązań filmowych (...) ale są to już tylko rozpaczliwe gesty, jakimi broniłem się, aby nie dać się całkowicie zdominować scenariuszowi, któremu nie umiałem podołać" – wspominał.

Myśli młodych

Rzeczywiście jest to film dziwny i niespójny: komedia, która nie może się zdecydować co do swojego stylu. Trochę absurdalna, trochę mroczna. Niektóre sceny wyglądają jak pisane i reżyserowane przez Stanisława Bareję, inne – przez Marka Piwowskiego.

Zawarta w niej satyra na warszawskie środowisko artystyczne czasów późnego Gomułki (magazyn ilustrowany „On i Ona", gazeta „Myśli Młodych", Dom Pracy Twórczej w Nieporęcie) jest dla dzisiejszego widza słabo zrozumiała, za to dla koneserów epoki – bardzo śmieszna.

Dodatkową atrakcję, jak często u Wajdy, stanowi obsada ról epizodycznych. Redaktorkę działu prozy gra Irena Dziedzic; zblazowanego syna dygnitarza – Marek Grechuta; nagabującego młode kobiety wyuczonym tekstem reżysera telewizyjnego – Jacek Fedorowicz. W zespół bigbitowy Bliscy Płaczu wcielają się Trubadurzy, a ich przebój „Mamo ma", który miał być parodią „młodzieżowego wycia", naprawdę wpada w ucho.

Co dziś kusi

Ostatnim „młodzieżowo-obyczajowym" filmem w karierze Wajdy była „Panna Nikt" z 1996 r., adaptacja głośnej postmodernistycznej powieści Tomasza Tryzny (scenariusz Radosława Piwowarskiego). ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ „Interesuje mnie to, czego dzisiaj oczekują od życia bardzo młodzi ludzie – tłumaczył swoją motywację jeszcze przed premierą reżyser. – Dzisiaj żyjemy w wolnym świecie. Mimo że nie jesteśmy bogatym krajem, wszystkie pokusy zdążyły już do nas dotrzeć. Interesuje mnie, co dziś kusi młodych ludzi i jakie za tymi pokusami kryją się rozczarowania. Czy wystarczy im sukces materialny? Czy potrzebują czegoś więcej, a jeśli tak, to czego?".

Nie potrzebowali raczej tego filmu. „Panna Nikt" jest fascynująca jako przykład zmarnowanego potencjału. Bo była to dobra historia inicjacyjna: piętnastoletnia chłopka Marysia (w tej roli znowu amatorka: Anna Wielgucka) przeprowadza się ze śląskiej wsi do Wałbrzycha, gdzie pod wpływem bogatych koleżanek – Kasi (Anna Mucha) i Ewy (Anna Powierza) – w kilka miesięcy z zahukanej dziewczynki staje się drapieżną młodą kobietą.

Wajda pokazał cenę awansu klasowego i gwałtowne zmiany polskiej transformacji gospodarczej, ale przede wszystkim udręki dziewczęcej przyjaźni, której blisko do nieszczęśliwego zakochania.

To w zasadzie film o odkrywaniu zła – w sobie i innych. Jest pełen przemocy: fizycznej i psychicznej, zadawanej w ukryciu i publicznie, przez biologię, rodzinę, szkołę. Krew i ból pojawiają się już w otwierającej scenie pierwszej menstruacji, a później wracają wielokrotnie – gdy Marysia umartwia się w kościele albo zaciska pięść na ostrzu noża, gdy Kasia masakruje twarz szkolnego kolegi wypchanym ptakiem, gdy Ewa klęczy na śmietniku w chmarze much.

Wiele jest w „Pannie Nikt" scen, które można pamiętać latami – zwłaszcza jeśli ogląda się ją w młodości. Są też ciekawe, niejednoznaczne postaci dorosłych – chociażby matka Marysi (Stanisława Celińska), która wypowiada kilka dobrych kwestii, na przykład: „To nie jest nasza córka. Widzisz? Jakaś... artystka z wariatkowa. Nasza Marysia nie miała takich krótkich włosów. I nos miała bardziej przyklepany".



RENATA PAJCHEL / EAST NEWS

Andrzej Wajda, Anna Wielgucka i Anna Powierza na planie filmu „Panna Nikt", 1996 r.

Twoją Kasiulę zjadłem

Ale jest w „Pannie Nikt" również sporo kiczu, fałszu i śmieszności. Bohaterki mówią do siebie nienaturalnym językiem, czasem jak z romansidła, a czasem jak z księgi aforyzmów. Wyznają sobie miłość, zlizują łzy i pot z twarzy, całują w usta – ale ponieważ chcąc zrobić „film dla młodzieży, nie dorosłych", Wajda zrezygnował z ekranizacji scen erotycznych, te wszystkie ujęcia przypominają bardziej soft-porno dla mężczyzn niż film queerowy.

Pojawiają się też nawiązania do poetyki horrorów klasy B, najwyraźniejsze w sekwencji bluźnierstwa: Marysia na żądanie Kasi pluje do kropielnicy, dziewczyny kłócąc się wybiegają na zalaną deszczem ulicę, Marysia woła „Kasiu!", a Kasia odwraca się wśród grzmotów, jej oczy zapalają się na czerwono i zmienionym kom-

eprasa.pl 66b790add1

puterowo głosem mówi: „Jaka Kasiu? Co za Kasiu? Już rok minął, jak twoją Kasiulę zjadłem. Nawet smaczna była!”. Czy naprawdę nakręcił to świadomie Andrzej Wajda, czy może opanował go demon?

Podobnie jak „Niewinni czarodzieje” i „Polowanie na muchy”, „Panna Nikt” jest interesująca jako świadectwo swoich czasów. Na różne sposoby pokazuje wielkie społeczne kontrasty lat 90. – najwymowniej poprzez kostiumy i scenografię.

Marysia ma jedną niemodną sukienkę z zagranicznej paczki, którą ukrywa pod swetrem zabranym ojcu; Kasia chodzi w martensach, kwiecistych sukniach i chustkach na głowie, a Ewa ma skórzane stroje motocyklowe i całe mnóstwo opiętych ubrań z dzianiny. Siedmioosobowa rodzina Marysi tłoczy się w nieremontowanym od czasów Gierka mieszkaniu w bloku z wielkiej płyty, Kasia z matką lekarką żyje wygodnie w pełnym antyków apartamencie w kamienicy przy rynku, rodzina Ewy zaś ma willę z basenem, a w willi – służbę.

Żona dla bogacza

Można przypuszczać, że część niedostatków „Panny Nikt” (a na pewno jakość oświetlenia i udźwiękowienia) wynika z niskiego budżetu i załamania systemu państwowej produkcji filmowej w czasach transformacji; tym ciekawsza jest antykapitalistyczna wymowa całości. Uboga Marysia z zapałem recytuje neoliberalne formułki i zaklęcia, jak: „Bogacz potrzebuje żony pięknej i wykształconej, z językami”, albo „Nie warto być uczciwym”. Z kolei bogata Ewa mówi: „Widzisz, tak się akurat złożyło, że ty masz mało, a ja mam dużo. Ale ani to nie jest twoja wina, ani moja zasługa”.

Ten film Andrzeja Wajdy nie podobał się nawet Andrzejowi Wajdzie. Dziś na oficjalnej stronie reżysera możemy przeczytać: „Jego romantyczna wrażliwość nie do końca zgrała się z postmodernistycznym charakterem debiutu Tryzny. »Panna Nikt« stanowi jednak głos reżysera w sprawie zmian, jakie w latach 90. zachodziły w polskiej kulturze, coraz bardziej zapatrzonej w Zachód”.

Niechęć do „zapatrzenia w Zachód” łączy „Pannę Nikt”, „Polowanie na muchy” i „Niewinnych czarodziejów”. Wajda był zdania – co przewija się w jego „Notesach” – że lepiej pielęgnować swoją kulturę, niż kopiować cudzą. A zamiast iść drogą wytyczoną przez kogoś innego – lepiej błądzić na własny rachunek. © KALINA BŁAŻEJOWSKA

Polska szkoła filmowa

KIEDY W 1949 R. zapisałem się do Szkoły Filmowej w Łodzi, powitał mnie w jej murach napis: „Kino jest dla nas najważniejsze”. Autorem hasła był Lenin. Kino było postrzegane jako oręż walki ideologicznej, jako sztuka, która najsilniej przemawia do mas, kształtuje i zmienia społeczeństwo.

Zapisałem się tam, bo mi się spodobało zdjęcie wydrukowane w tygodniku „Film”: kilku moich kolegów, wśród nich Andrzej Munk, stało przy kamerze. Ona właśnie mnie zafascynowała. Wszystko, o co się otarłem w Akademii Sztuk Pięknych i co widziałem w teatrze, było w porównaniu z nią niczym. Kamera była bardzo nowoczesna, miała trzy obiektywy, można było nastawić je na dal, można było z ciasnego wnętrza zobaczyć, co jest przed nami. Wymyślili ją podczas wojny Niemcy.

W szkole mówiono nam, młodym reżyserom, że nasze wykształcenie kosztuje państwo dokładnie tyle, co wykształcenie bojowego pilota. Spodziewano się po nas podobnych wyników[1].

Kinematografia powojenna miała przypominać raczej spółdzielczość niż gospodarkę państwową. Pomiędzy władzę, która całość finansuje, i artystów, którzy robią swoje, wprowadzono instytucję zespołów filmowych. A że nasi starsi koledzy w znacznej części przyszli w mundurach oddziałów polskich u boku Armii Czerwonej, mieli dostatecznie mocną pozycję, by taki system obronić.

Dla władzy nie było bez znaczenia, że polskie filmy zaczęto zauważać na Zachodzie, że dostrzeżono naszą odrębność. Oczywiście były momenty lepsze i gorsze. Po Październiku zrobiłem „Kanał” oraz „Popiół i diament”, ale pod koniec rządów Gomułki nastąpiła zapaść. Żeby zrealizować „Człowieka z marmuru”, musiałem czekać 12 lat.

Niektórzy podważają sens pojęcia „polska szkoła filmowa”: co mają wspólnego „Pożegnania” Hasa z moim „Kanałem”, „Eroicą” Munka czy „Pociągiem” Kawalerowicza? I jeszcze „Ostatni dzień lata” Konwickiego, właściwie prefiguracja francuskiej Nowej Fali.

Ale ta różnorodność była naszą siłą. Nie było to zresztą nigdy kino *stricte* polityczne, a władza starała się nas odsunąć od tematu współczesnego: nie przypadkiem niemal w jednym czasie ja robiłem „Popioły”, Kawalerowicz – „Faraona”, a Has – „Rękopis znaleziony w Saragossie”.

Nasze pokolenie żyło historią, czekało, że jej ewolucja znajdzie finał w niepodległości Polski. Kiedy ta niepodległość przyszła, doświadczenia powstań i klęsk przestały przekładać się na rzeczywistość, młodzi odwrócili się od historii.

Boję się, że ten odwrót jest zbyt radykalny; historia ukształtowała przecież nasz charakter narodowy, w niej tkwią źródła naszych nadziei, obaw i kompleksów. Bez sięgnięcia do przeszłości trudno zrozumieć, co się kryje za kulisami współczesnej polityki[2].

Fragment tekstu, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” nr 29/1995[1], oraz cytat z rozmowy z redakcją „Tygodnika Powszechnego” nr 11/2006[2]

eprasa.pl 66b790add1

Zupełnie jak u Wajdy

MICHAŁ WALKIEWICZ

Gdy przyjrzeć się wieloletniej zagranicznej recepcji filmów Andrzeja Wajdy, doskonale widać, jak istotnym w skali światowej był reżyserem.

Jak na krytyka filmowego, który myśli i mówi po polsku, zaskakująco rzadko wracam do kina Andrzeja Wajdy. Dostałem kiedyś piękne kolekcjonerskie wydanie z jego dziełami – od „Pokolenia" (1955) aż po „Powidoki" (2016). To kuferek ze skarbami, który obejmujesz podczas snu, sprzedajesz w czarną godzinę albo przekazujesz na cele charytatywne. Ja wypożyczyłem go dla dobra nauki i, wstyd się przyznać, nie upomniałem się o niego do dziś.

Mój stosunek do reżysera to wypadkowa popkulturowego chowu, alergii na romantyczne paradygmaty oraz rozczarowania filmoznawczymi studiami, gdzie, oczywiście, maglowało się go bez ustanku. Dziś, w Roku Andrzeja Wajdy, nie pomaga fakt, że wszystko o mistrzu zostało już napisane, powiedziane, a nawet przełożone na język nowych mediów, od YouTube'a po rolki na Instagramie.

Jeśli zatem Wajda do mnie powraca, to raczej jako pewien fantomowy kulturowy konstrukt, mianowicie – „artysta międzynarodowy". Jego wizerunek i dorobek powstaje na nowo ze strzępków scen w mediach społecznościowych, z deklaracji miłosnych autorstwa zagranicznych twórców, z nagłówków w stylu „Christopher Nolan kocha *ten* polski film" lub „nie uwierzysz, co Martin Scorsese opowiedział o *tym* polskim reżyserze".

W stylu Chełmickiego

Przyjęliśmy za pewnik, że Wajda był pieszczochem największych festiwali, najważniejszych krytyków, najznamienitszych twórców. Że kochano go od Cannes po Szanghaj. Że Oscarem za całokształt twórczości Akademia przeprosiła nas za lata nieuwagi nie tylko wobec polskiego, ale i europejskiego kina.

Łatwo z tych powodów wypatrzyć Wajdę za każdym rogiem, szukać jego wpływu na współczesne nurty filmowe wyłącznie w makroskali. Człowiek w trybach historii? Zupełnie jak u Wajdy! Wojna, psychomachia i setka czystej? Toż to Wajda! Partyzancka walka o wolność i starcie z demonami przeszłości? Gdzieś już to widziałem!

Podobne wytrychy są już nieco stępione. Zatem ilekroć widzę na ekranie faktyczną inspirację stylem, narracyjnym rytmem albo elementarzem filmowego języka mistrza, łapię się za głowę. A jednak! Andrew Wajda naprawdę istnieje. Nie trzeba go wymyślać.

Pamiętacie scenę z „Popiołu i diamentu", w której banda czeczeńskich najemników staje oko w oko z płatnym mordercą i zarazem podrzędnym aktorem na bezrobociu? Kamera delikatnie panoramuje, by za chwilę rozpocząć żonglerkę dwiema perspektywami. Najpierw mamy statyczny kadr w dalekim planie. Później oblicza głównego bohatera oraz napastników na zbliżeniach. I tak w koło Macieju. Nie? Ja też nie pamiętam.

Ale gdyby zamiast ostrzelania samochodu-zmyłki przez Maćka Chełmickiego (Zbigniew Cybulski), Wajda nakręcił scenę z serialu „Barry", to najpewniej wyglądałaby właśnie tak. Przemoc jest w niej jednocześnie realistyczna i surrealistyczna. Nagła erupcja brutalności przesuwa całość w rejony metafory, z kolei surowa inscenizacja szybko sprowadza nas na ziemię. „Zupełnie jak u Wajdy" – zdradził w wywiadzie twórca „Barry'ego", amerykański komik i aktor Bill Hader.

W kręgach słusznie i namiętnie kultywujących pamięć o Wajdzie słowa Hadera mają zapewne nieco mniejszą wagę niż refleksje, dajmy na to, Michelangelo Antonioniego. Będę się jednak upierał, że to właśnie jego relacja z polskim reżyserem jest najciekawszą opowieścią o nieśmiertelności artysty. Przy okazji zaś – o kinie autorskim jako materii ogólnodostępnej, uniwersalnej, przekraczającej sztuczne artystyczne granice.

No bo skoro Barry może cierpieć i zabijać w stylu Maćka Chełmickiego, to dlaczego Wajda nie miałby odrodzić się na żyznym gruncie popkultury?

Z polskiej perspektywy

Do swoich fascynacji twórcą „Kanału" przyznawali się najwięksi. Francis Ford Coppola wspominał seans „Popiołu i diamentu" (1958) jako jedno ze swoich najważniejszych formacyjnych doświadczeń. Ingmar Bergman był zachwycony „Ziemią obiecaną" (1975) i nie szczędził komplementów pod adresem „Dyrygenta" (1980). Z kolei Akira Kurosawa odwzajemniał estymę, którą darzył go Polak w najbardziej japoński z możliwych sposobów – maskując szczery podziw zimną kurtuazją. Dwa słowa dorzucił Steven Spielberg, coś obiło się o uszy Felliniemu.

Nie jestem fanem układania żelaznych klasyków w tego rodzaju sztafety czy łańcuszki. Z drugiej strony – zbyt często funkcjonują oni w powszechnej świadomości jako odrębne planety. Trzeba natomiast pamiętać, iż status narodowego wieszcza, który dziś czyni Wajdę wdzięcznym bohaterem rocznicowych obchodów oraz przedmiotem kulturoznawczych analiz, już w latach 60. i 70. ubiegłego wieku zamieniał go w kluczowego członka filmowej międzynarodówki.

Świadczy o tym także gorąca pasja do sztuki filmowej oraz łatwość, z jaką Wajda sam wskakiwał w buty widza, krytyka, kinofila. Takim poznaliśmy go dzięki zebranym i opublikowanym w 2024 r. „Notesom". To blisko 60 lat zapisków, notatek oraz recenzji filmowych, w których Wajda mierzy się z kinem współczesnym. To znaczy – współczesnym aż trzem pokoleniom widzów.

eprasa.pl 66b790add1



MICHELINE PELLETIER / SYGMA / GETTY IMAGES

Andrzej Wajda (po prawej) z reżyserami – laureatami Złotej Palmy w Cannes, 1990 r. Wznoszą szampana ku czci Akiry Kurosawy (w pierwszym rzędzie w środku). M.in. od lewej Martin Scorsese, Claude Lelouch, Costa-Gavras i Louis Malle. W dolnym rzędzie młody Steven Soderbergh, Akira Kurosawa i Bille August.

Z perspektywy rozmaitych narracji odbrązawiających Wajdę jest to rzecz niebywała. Jej lektura uświadamia, że gdyby reżyser żył, kłóciłby się dziś z nami zarówno o „Dom dobry", jak i „Avengersów". Wajda nie może nachwalić się „Taty" Macieja Ślesickiego i wznosi modły do Paula Thomasa Andersona po seansie „Magnolii". Ruga bezlitośnie Baza Luhrmanna za „Moulin Rouge" („Głupkowata opereta, której libretta powstydziłby się nawet Lehar"), w „Matriksie" zaś dostrzega „Pancernik Patiomkin ery proletariatu komputerowego". „Pulp Fiction" tymczasem określa mianem „rzeźby w gównie", choć docenia Tarantino jako filmowca wybitnego warsztatowo. Pół miliona wyświetleń na YouTube jak nic.

Trudno wyobrazić sobie Wajdę, gdy na ławce pod multipleksem, zgarbiony ↦

eprasa.pl 66b790add1

Co będzie dalej

POJECHALIŚMY z jednym z naszych wspaniałych reżyserów, pracującym w Ameryce Zbigniewem Rybczyńskim, na Long Island. Podczas obiadu kątem oka obserwowałem ekran telewizora. Wyświetlano film, który trwał może 30 albo 40 sekund, i jak się skończył, to znów się zaczynał. Wstyd mi było pytać Rybczyńskiego, co to jest, myślę sobie: zobaczymy, co się dalej wydarzy.

Przed telewizorem na czymś w rodzaju postumentu leżał duży rewolwer bębenkowy, połączony z telewizorem kabelkiem. Po chwili pojawił się chłopiec nie więcej niż pięcioletni, wziął rewolwer i zaczął strzelać. Postacie się przewracały i dalsza akcja toczyła się już bez nich; mógł je zabić na początku klipu, mógł to zrobić pod koniec. Akcja była bardzo prosta: kawałek kowbojskiego filmu, ludzie skaczą z okien i z balkonu drewnianego domku, jak to w westernach, i uciekają w szczere pole.

Zaczęliśmy z większą uwagą przyglądać się chłopcu: jednego mężczyznę zabił na balkonie, jednego położył przed domem, ale kobieta ciągle uciekała. Wydawało nam się, że jest w tym jakaś myśl: może on tę kobietę polubił, może ma do niej szczególny stosunek, może widzi w niej matkę. Ale to były złudzenia: chłopiec postał jeszcze chwilę przed telewizorkiem i wszystkich położył trupem.

Pomyślałem wtedy: no dobrze, a jeżeli ktoś zrobi tą metodą „Popiół i diament" i chłopiec położy mi Cybulskiego w pierwszych 10 minutach, to jaki będzie dalszy ciąg? Co się stanie? Czy ta wolność, którą nagle daliśmy dzieciom, którą daliśmy wszystkim, może tworzyć nową rzeczywistość, nową moralność? Czy to w porządku, żeby każdy mógł zastrzelić wszystkich bohaterów na ekranie?

Fragment tekstu, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym" nr 29/1995

↦ nad notesikiem, archiwizuje te myśli. Ale jeszcze trudniej, przynajmniej z polskiej perspektywy, uczynić z niego sedno kolektywnej fantazji o „wielkim filmowym świecie"; uznać jego wpływy oraz inspiracje za coś tak oczywistego, że w zasadzie niewartego dyskusji.

Pomijając wszelkie anegdoty mistrzów oraz rozsiane po wywiadach wspomnienia, istnieje jeden film, który doskonale to unaocznia. W arcydzielnym „Wszystko na sprzedaż" tęsknota Wajdy za Zbigniewem Cybulskim – jako aktorem i człowiekiem – staje się przyczynkiem do polifonicznej opowieści o środowisku filmowym.

„Wszystko na sprzedaż" pulsuje gwiazdorską energią, której próżno szukać w rodzimym kinie lat 60. Co jednak ważniejsze, buduje też obraz polskiej kinematografii, który sprawdza się jako metafora branży filmowej w ogóle. W tym rozwibrowanym ulu zderzają się interesy, emocje, postawy, wrażliwości, światopoglądy i pomysły na kino. Każdy od każdego czerpie. Każdy na każdym żeruje.

Jedno z największych

Większość artystów ma w swoim dorobku dzieło, którego nie lubi. I zazwyczaj okazuje obojętność wobec niego, której nie podzielają odbiorcy. Niektórzy – jak członkowie zespołu The Cure gardzący komercyjnym hitem „Friday I'm In Love"– uważają, że owo dzieło odbiera im powagę. Inni – jak Quentin Tarantino w chłodnej autorefleksji na temat „Jackie Brown" – uważają, że czyni ich zbyt poważnymi.

Wajda dla przykładu nie przepadał za „Niewinnymi czarodziejami" (1960). Oczywiście nie dlatego, że trudno wpisać ten film w poczet wielkich dzieł rozliczeniowych. Krytykował go z pozycji czysto reżyserskich. Nie podobał mu się konstrukcyjnie, był według niego zbyt rozwleczony i niewystarczająco intensywny emocjonalnie. A jednak opowieść o romansującej i jazzującej młodzieży okazała się na tyle intensywna, by oczarować innych filmowców. Nie bez powodu to właśnie ten film Martin Scorsese uznał za jedno z największych osiągnięć Polaka.

Gdybym to ja przekonywał Wajdę, że „Niewinni czarodzieje" zyskują dzięki nowofalowej poetyce, a także melancholii, którą łatwo pomylić z nudą, pewnie zacząłbym się jąkać. Ale skoro w hołdzie po latach robi to sam Scorsese, to nie ma co się kłócić. W rozmowach o wielkich mitach artysty oraz fundamentach, które wylał pod rodzimą kulturę drugiej połowy XX w., często umyka nam coś prozaicznego. Otóż Andrzej Wajda był naprawdę dobrym reżyserem.

Scorsese zajmuje szczególne miejsce wśród artystów zainspirowanych przez twórcę „Człowieka z marmuru". W jego przypadku słowa o „poetyckiej odpowiedzialności" Wajdy przełożyły się bowiem na konkretne rozwiązania formalne. Na sposób oświetlania bohaterów we „Wściekłym byku". Na pracę kongenialnej montażystki Thelmy Schoonmaker przy „Infiltracji". Na kultowe długie ujęcia i zamaszyste jazdy kamery w „Chłopcach z ferajny".

O skali tych inspiracji opowiada w fantastycznym wideoeseju „Dlaczego Hollywood kopiuje polskiego reżysera?" Umberto Becon (nagranie znaleźć można na YouTube). To nie tylko kapitalna analiza techniczna, ale i wolna od asekuranctwa próba zdjęcia Wajdy z koturnów. Jedyne, czego mi w niej brakuje, to oczywista oczywistość, czyli zdanie: „przykłady można mnożyć". Nie pomnę, ile razy widziałem już na dużym i małym ekranie scenę z płonącymi kieliszkami. Jak często prolog „Kanału" był kopiowany w antywojennej epice. Ilu twórców rekonstruowało taniec fabrykantów z „Ziemi obiecanej" w innych czasach i okolicznościach.

W skali światowej

Podziwiając kompozycję kadrów oraz monochromatyczną fakturę obrazu w „Idzie" Pawła Pawlikowskiego lub zachwycając się klaustrofobicznymi miniaturami w „Mieście 44" Jana Komasy, automatycznie wracamy myślami do czasów polskiej szkoły filmowej. Jednak dopiero gdy przyjrzymy się wieloletniej zagranicznej recepcji filmów Wajdy, dociera do nas, jak istotnym w skali światowej i europejskiej był reżyserem.

„Początkowo Wajda zdobył uznanie na brytyjskiej scenie filmowej jako *geniusz od filmów wojennych*, zaś tematycznie współcześni »Niewinni czarodzieje« stanowili jedynie krótkie odstępstwo od tego nurtu. Jego różnorodna, odważna i eksperymentalna twórczość z kolejnych lat okazała się być może zbyt trudna do wypromowania lub jednoznacznego

eprasa.pl 66b790add1



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

„Wszystko na sprzedaż” (1969 r.), scena na karuzeli

sklasyfikowania – albo po prostu zbyt »narodowa« w swoim charakterze” – pisze w tekście „Lessons in Humanity: How Britain Watched Andrzej Wajda” dla portalu culture.pl Alex Ramon. „W rezultacie kluczowe filmy, takie jak »Popioły«, »Wszystko na sprzedaż«, »Krajobraz po bitwie«, »Brzezina«, »Wesele« czy nawet »Ziemia obiecana« nie zostały w Wielkiej Brytanii uznane za część kanonu jego twórczości” – konstatuje Ramon.

Z biegiem lat owa perspektywa uległa oczywiście zmianie. To interesująca trajektoria, która pozwala zrozumieć, że filmowy świat – a co za tym idzie, tworzący go artyści – również musiał do Wajdy „dojrzeć”. W pośmiertnych laudacjach na jego cześć krytycy i artyści z różnych krajów podsumowywali dorobek reżysera i, co zaskakujące, bardzo często dostrzegali w nim elementy własnej tradycji filmowej.

Włosi dopatrywali się neorealizmu („Pokolenie”) oraz autotematycznych impresji w stylu Felliniego („Wszystko na sprzedaż”); Francuzi – Nowej Fali („Niewinni czarodzieje”); Brytyjczycy – „kina bezpośredniego”; Amerykanie – autorskiego języka w synchronizacji z poetyką Nowego Hollywood („Popiół i diament”). I nawet jeśli często były to porównania na wyrost, wynikające w dużej mierze z nieznajomości polskiej kultury, to pozwoliły wyszarpnąć Wajdę z gorsetu „proroka”, „wieszcza” i „sumienia narodu”.

> Do swoich fascynacji twórcą „Kanału” przyznawali się najwięksi. Francis Ford Coppola wspominał seans „Popiołu i diamentu” jako jedno ze swoich najważniejszych formacyjnych doświadczeń. Ingmar Bergman był zachwycony „Ziemią obiecaną” i nie szczędził komplementów pod adresem „Dyrygenta”.

Realnej skali jego wpływu na zagraniczne kino, a przede wszystkim na kolejne pokolenia filmowców raczej nie poznamy. Nawet jeśli setki reżyserów oddadzą mu cześć przed milionową publicznością, będą to raczej subtelne hołdy i ukłony; nawiązania do wyrafinowanego języka filmowego, do współdzielonych z innymi mistrzami obsesji tematycznych, do ledwie zauważalnych praktyk adaptacyjnych.

Nie szkodzi. Na tym również – zwłaszcza w czasach transparentnego recyklingu idei, języków i wrażliwości – polega magia kina.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

eprasa.pl 66b790add1

TOTALIZATOR SPORTOWY: Patron Roku Andrzeja Wajdy

Totalizator Sportowy to mecenas kultury – nie tylko tej fizycznej. Firma co roku przekazuje na ten cel środki z dopłat do swoich gier, a dodatkowo realizuje także wsparcie dla inicjatyw kulturalnych ze środków własnych.

Dlaczego Totalizator Sportowy wspiera Wajdę i pamięć o reżyserze?

BEATA STELMACH, PREZESKA ZARZĄDU TOTALIZATORA SPORTOWEGO: Totalizator Sportowy to nie tylko sport. Cenimy aktywność w każdym wymiarze: zarówno na basenach i stadionach, jak i tę kulturalną, która pozwala na rozwijanie wrażliwości społecznej, prowadzenie dialogu i inspirowanie siebie nawzajem.

To właśnie dlatego zostaliśmy Patronem Roku Andrzeja Wajdy – wybitnego reżysera, który łączył tematy polskie z uniwersalnymi zagadnieniami. Jego twórczość stała się nieodłącznym elementem opowieści o naszej wspólnej historii i tożsamości, która do dziś służy także prowadzeniu rozmowy o współczesności. Totalizator Sportowy wspiera aktywne polskie społeczeństwo, bo w ten sposób wzmacniamy nasz potencjał.

Jakie działania są podejmowane?

Totalizator Sportowy w ramach obchodów jest obecny na pokazach filmów Mistrza w kinach studyjnych, gdzie przed seansami można zobaczyć logo LOTTO, oraz jest Partnerem Strategicznym festiwalu „Wajda na nowo" w rodzinnych Suwałkach reżysera. To forma uczczenia znamienitego twórcy i próba przybliżenia, zwłaszcza młodemu pokoleniu, osiągnięć polskiej kinematografii. Totalizator Sportowy jest także partnerem projektu „Wajda na nowo. Suplement", który wspiera realizację przez wybitnego grafika Andrzeja Pągowskiego nowych plakatów inspirowanych twórczością reżysera. Można je podziwiać w Galerii Plenerowej przy Al. Ujazdowskich w Łazienkach Królewskich.

Jak Totalizator Sportowy wspiera polską kulturę?

Pieniądze przekazywane na sport i kulturę pochodzą z dwóch źródeł: pierwsze to dopłaty z gier na fundusze celowe (Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej oraz Fundusz Promocji Kultury). To nasze wsparcie systemowe, uregulowane zapisami Ustawy o grach hazardowych. W przypadku wsparcia kultury w samym tylko 2025 roku firma przekazała na Fundusz Promocji Kultury ponad 364 mln zł. Od 2003 roku, czyli odkąd przekazywane są środki na ten fundusz, na wsparcie kultury trafiło ponad 4,3 mld zł.

Drugie źródło to działalność partnerska – część środków własnych spółki jest przekazywana na rzecz muzeów i wydarzeń oraz inicjatyw kulturalnych. To w ramach tego działania wspieramy Rok Wajdy, ale też inne projekty. Andrzej Wajda to wielki człowiek, ale także symbol – można wręcz powiedzieć, że polska marka eksportowa.

Podobnym „towarem eksportowym" jest Fryderyk Chopin i jego dziedzictwo, które także wspieramy jako Partner Główny Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina. To nie tylko Konkurs Chopinowski, przy którym byliśmy obecni przez ostatnie trzy edycje, lecz także zakup chopinianów i partnerstwo przy innych festiwalach.

Jednak oczywiście nasz mecenat kulturalny to również inne projekty, wydarzenia, instytucje... Zamek Królewski w Warszawie, Zamek Królewski na Wawelu, Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Narodowe w Krakowie, Festiwal Dwa Brzegi, Festiwal Nowe Horyzonty, Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, ale też Olsztyn Green Festival – jesteśmy widoczni w wielu miejscach jako zaufany partner instytucji kultury.

Przy części projektów organizujemy też inicjatywy przybliżające kulturę lokalnym społecznościom. Jedną z nich jest LOTTO Kino Letnie Sopot–Zakopane: codzienne, wakacyjne, bezpłatne projekcje filmowe w tych dwóch miastach.

Dlaczego kultura jest istotna i powinna być promowana?

Kultura pomaga nam, jako społeczeństwu, rozwijać się w wymiarze intelektualnym, kreatywnym, artystycznym. Wsparcie jej przekazywane



MATERIAŁY PRASOWE x3



eprasa.pl 66b790add1



Beata Stelmach, Prezeska Zarządu Totalizatora Sportowego, prezentuje niezrealizowany scenariusz filmu Andrzeja Wajdy. Totalizator Sportowy jest Patronem Roku Wajdy 2026.



Niezrealizowany scenariusz filmu Andrzeja Wajdy. Totalizator Sportowy jest Patronem Roku Wajdy 2026.

> *Zostaliśmy Patronem Roku Andrzeja Wajdy – wybitnego reżysera, który łączył tematy polskie z uniwersalnymi zagadnieniami. Jego twórczość stała się nieodłącznym elementem opowieści o naszej wspólnej historii i tożsamości, która do dziś służy także prowadzeniu rozmowy o współczesności.*

to nie tylko patronat, lecz także realna inwestycja we wspólnotę, dziedzictwo oraz wrażliwość kolejnych pokoleń.

W Totalizatorze Sportowym łączymy tradycję ze współczesnością, a kulturę z realnym mecenatem. Wierzymy też w jej jednoczącą moc – zarówno na szczeblu lokalnym, jak i ogólnopolskim, a nawet jeszcze szerzej. Nasz dotychczasowy mecenat udowadnia nam, że wszystkie te działania mają sens, bo zbliżają nas do siebie nawzajem, a jednocześnie pobudzają do działania.

W jaki sposób biznes i sport mogą być partnerem kultury?

Jest na to wiele sposobów. Totalizator Sportowy ma to w swoim DNA, niemalże od początku działalności. W tym roku Totalizator Sportowy skończył 70 lat i dzięki spoglądaniu na jego historię wiemy, jak przez lata można wypracować skuteczny model wsparcia kultury. Można powiedzieć, że na dużą skalę wszystko zaczęło się w latach 70. XX w., gdy Totalizator Sportowy zorganizował dodatkowe zakłady toto-lotka, z których dochód przeznaczono na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Dziś jesteśmy Partnerem Strategicznym tej instytucji.

Wspomniany przykład zorganizowania przez Totalizator Sportowy dodatkowej gry na wsparcie szczytnego celu dobrze obrazuje, jak biznes może szukać własnego pola do działania jako mecenas kultury. My też nieustannie rozwijamy nasz potencjał w tym zakresie i prowadzimy wiele inicjatyw wspierających kulturę. Najnowsza z nich może być ilustracją naszej działalności: niedawno przeprowadziliśmy akcję „Gdy grasz, wszystko gra", która łączyła wsparcie dla lokalnych inicjatyw ze sprzedażą produktów LOTTO.

Na doposażenie, rewitalizację lub budowę obiektów sportowych i kulturalnych przeznaczyliśmy łącznie 7,2 mln zł. Pieniądze trafiły – poza celami *stricte* sportowymi – także do bibliotek, centrów kultury, hal widowiskowych i innych miejsc integrujących lokalne społeczności w całej Polsce, również w mniejszych miejscowościach. Dzięki tej akcji udało nam się połączyć naszą sprzedaż z zaangażowaniem wspólnot, które głosowały na wybrane cele, a finalnie – otrzymały dla nich wsparcie.

I to jest piękno nowoczesnego mecenatu, który możemy prowadzić dzięki naszemu biznesowi. ■

eprasa.pl 66b790add1



RENATA PAJCHEL / EAST NEWS

Andrzej Seweryn w filmie „Ziemia Obiecana” (1972 r.) w reżyserii Andrzeja Wajdy

eprasa.pl 66b790add1

Rola to jest czarna plama

ANDRZEJ SEWERYN, AKTOR:

Wajda mówił, że jeśli film jest dobry, to jest to zasługa zespołu. Ale jeśli jest zły – to wina reżysera. Brał odpowiedzialność za swoje niepowodzenia.

ANDRZEJ SEWERYN: Tyle powiedziałem o Andrzeju, że już nie wiem, gdzie sięgać...

TADEUSZ MAREK: Ciekawi mnie obraz, który jako pierwszy przychodzi Panu na myśl, gdy słyszy Pan: Andrzej Wajda.

Nie ma jednego takiego obrazu, ale widzę na przykład Andrzeja śmiejącego się przy monitorze podczas zdjęć do „Pana Tadeusza". Śmieje się bezgłośnie i mówi do ekipy: „Tylko nic nie mówcie Andrzejowi. Niech on gra, niech on gra".

Kręciliśmy scenę z Sędzią i Księdzem Robakiem. Tę, w której mówię: „Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!". Andrzej, schowany gdzieś dziesięć metrów ode mnie za monitorem, dosłownie umierał ze śmiechu. Nie chciał śmiać się głośno ani pokazywać mi swojej reakcji, bo bał się, że kiedy zorientuję się, iż scena jest zabawna, zacznę grać inaczej. Dowiedziałem się o tym dopiero później.

Mnie przyszedł na myśl inny obrazek. Wajda reżyserował „Onych" Witkacego. A Pan w garderobie przed premierą bardzo się stresował. Wówczas Wajda pogłaskał Pana po głowie i powiedział: „To tylko twoja kolejna rola, będą następne".

Andrzej potrafił uwieść aktora. Potrafił go przygotować do pracy. Na tym właśnie polega rola reżysera – stworzyć aktorowi takie warunki, żeby mógł wydobyć z siebie to, co najlepsze, najpiękniejsze i najlepiej służące idei oraz zamysłowi reżysera. To, o czym pan mówi, to był drobiazg.

Moim zdaniem – drobiazg znaczący. Nie każdy tak potrafi. Reżyserowi przed premierą także towarzyszy stres.

Na tym polegała mądrość Andrzeja, żeby właśnie swój niepokój zdominować gestem wobec zdenerwowanego aktora.

To był rok 1980. Kilka lat wcześniej został Pan zaangażowany przez Wajdę do roli Maksa Bauma w „Ziemi obiecanej". To była wasza pierwsza współpraca. Miał Pan 28 lat. Kim Pan wtedy był?

W tamtym czasie propozycja od Andrzeja Wajdy dla młodego aktora była właściwie jak Oscar. Sytuowała od razu w pewnego rodzaju elicie. Takie były nasze odczucia. Czy słusznie, czy niesłusznie – to już inna sprawa.

Z pewnością nie byłem debiutantem. Pracowałem już wtedy w Teatrze Ateneum, zagrałem także w kilku filmach. Regularnie występowałem też w Teatrze Telewizji, a wtedy miało to większe znaczenie niż dzisiaj.

Nie pamiętam, czy kiedy dostałem rolę w „Ziemi obiecanej", byłem zaskoczony czy nie. Wracam jednak do pańskiego pytania. Kim byłem wtedy...

Na pewno byłem przekonany, że wiem o świecie więcej niż ja sam dzisiaj.

Coś Pana musiało na planie zaskoczyć.

Zaskoczyło mnie to, że w trakcie częstych wieczornych narad, kiedy omawiano plan pracy na dzień kolejny, zmieniało się także teksty kwestii. Nie byłem do tego przyzwyczajony. Nie wiedziałem, że tak można.

Byłem grzecznym aktorem, który czekał na polecenia od reżysera. Nie zachowywałem się jak koledzy – jak świętej pamięci Wojtek Pszoniak czy Daniel Olbrychski – którzy lepiej się z Andrzejem dogadywali. Przychodzili z własnymi pomysłami, proponowali rozwiązania scen, sytuacji, dyskutowali. Nauczyłem się tego dopiero przy kolejnych filmach.

Twarz Andrzeja była dla mnie wówczas wyrocznią. Wiedziałem, że oczekuje wyrazistości, ale nie zawsze go rozumiałem. To przyszło z czasem.

Co oznaczała ta wyrazistość?

Tadeusz Łomnicki mawiał, że rola to jest czarna plama na białym tle. Andrzej też tak myślał. Oczekiwał aktorstwa, które nie marnuje ani jednej sekundy na ekranie. Chciałem powiedzieć „aktorstwa energetycznego", ale to nie jest najlepsze określenie. Lepiej powiedzieć: intensywnego. Tego także musiałem się nauczyć.

Takie myślenie o aktorstwie odnalazłem później w pracy z Peterem Brookiem. Nie wolno było marnować czasu. Nic nie mogło być przypadkowe ani niepotrzebnie rozwlekłe.

Wielokrotnie nazywał Pan Wajdę mistrzem.

W naszym środowisku filmowym nie było innego reżysera, którego nazywano mistrzem. Andrzej po prostu był naszym mistrzem. Był po prostu wybitnym filmowcem. Najlepszym z nas.

Ale dla Pana prywatnie również był mistrzem.

Tak.

Więc dlaczego? Chyba nie tylko dlatego, że inni tak mówili.

Był mądry. Przejawiało się to w celności jego opinii, w sposobie opisywania rzeczywistości, w jego wrażliwości. Także w sprycie. Jego inteligencji, spostrzegawczości, poczuciu humoru. I w trafności rad, których potrafił udzielać, również mnie. ↦

eprasa.pl 66b790add1

Rzeka, która trwa

WIELE MOICH FILMÓW odpowiadało na jakiegoś rodzaju potrzebę chwili, na stan ducha społeczeństwa, miało wyraźnie polityczną tendencję. Tak było choćby w przypadku bardzo ważnych dla mnie „Popiołu i diamentu", „Ziemi obiecanej", „Człowieka z marmuru" czy „Człowieka z żelaza".

W tych filmach nie mogło być miejsca na to, by człowiek zadumał się nad sobą, by stanął wobec przyrody, by bohater patrzył, jak się rozwijają brzozowe listki czy jak wychodzą z wody kaczeńce. Człowiek z filmów zaangażowanych w politykę ma zupełnie inny program życiowy. Ale nie jest prawdą, że to inne życie w ogóle nie istnieje.

Spotkania z Iwaszkiewiczem dawały mi wielką radość bezinteresowności, przypomnienie, że istnieje jeszcze świat, w którym szukamy samych siebie, usprawiedliwienia dla własnych postępków, i to wszystko odbywa się na tle przyrody.

Byłem reżyserem filmów miejskich i „Brzezina" dała mi niespodziewanie szansę zobaczenia przyrody. W „Tataraku" jest rzeka – nie wiadomo jaka, ale bardzo duża, która trwa, płynie, istnieje sama dla siebie. Nad nią olbrzymie niebo i ludzie – niewielkie figurki wobec ogromnej przestrzeni. Żeby coś takiego pojawiło się w filmie, potrzebne jest spojrzenie, jakie miał Jarosław Iwaszkiewicz.

Z rozmowy z Andrzejem Franaszkiem, „Tygodnik Powszechny" nr 17/2009

↦ **Legendarne są uwagi, których udzielał aktorom. Janowi Nowickiemu miał podobno powiedzieć: „Niech pan nie gra jak brunet, tylko jak blondyn".**

Kiedyś dał mi radę, której nie da się opowiedzieć, trzeba ją pokazać. Andrzej zobaczył „Mewę" Czechowa w reżyserii Janusza Warmińskiego w Teatrze Ateneum. Grałem tam Konstantego. Powiedział mi po spektaklu „Świetnie, świetnie. Ale wiesz, od czasu do czasu powinieneś się odwrócić i zrobić taki gest..." (*Mój rozmówca gwałtownie się odwraca, unosi ręce i wykonuje grymas*)

Ja wtedy kompletnie tego nie rozumiałem. Jak można tak wykrzywiać twarz!? Dzisiaj rozumiem to doskonale. Wiem, co oznaczał ten gest, ta mina, napięcie całego ciała, ukrywana wściekłość, zdenerwowanie, odwrócenie się od partnera. Dzisiaj potrafiłbym to zagrać.

Co decydowało o skuteczności jego metod?

Wspaniale dobierał współpracowników, ufał im, a potem dawał im wolność tworzenia, każdemu pionowi realizatorów filmu. Wszyscy rozumieli, dokąd zmierza reżyser, i dawali mu to, co w nich było najlepszego.

Oczywiście była to wolność kontrolowana. Andrzej nie wszystko akceptował. Z tych wszystkich propozycji i inicjatyw wybierał to, co najlepiej służyło filmowi. Opłacało się nam ufać.

W czym przejawiało się to zaufanie?

Znał nas doskonale. Wiedział, co w nas drzemie, do czego jesteśmy zdolni. Miał ten dar widzenia. Oczekiwał od nas propozycji, ponieważ uważał, że nasze pomysły mogą mieć sens. Na tym polegało jego zaufanie.

Nasze opinie były dla niego istotne. To był jego sposób pracy. Często zmieniał rozwiązania scen pod wpływem propozycji i uwag aktorów. Ale nie tylko aktorów – również operatora czy scenografa.

Dopiero kiedy później pracowałem we Francji, zdałem sobie sprawę, jak wyjątkowe warunki stwarzał. Nikt nie pracował tak jak Andrzej. Przychodzili na plan z dokładnie rozrysowanymi ujęciami i realizowali to, co wcześniej wymyślili w domu. Robiąc zresztą często wybitne filmy.

Metoda Wajdy oznaczała zatem dialog i porozumienie zamiast demiurgicznej wizji, której trzeba się podporządkować?

To bardziej złożone. Wrócę do wspomnień z „Ziemi obiecanej". Zobaczyłem wtedy ekipę całkowicie oddaną Andrzejowi. Wszyscy mu ufali. Było to wyczuwalne od rana do wieczora. Kiedy Andrzej pojawiał się na planie, wszystkim natychmiast podnosiło się ciśnienie. Mówił szybko i oczekiwał równie szybkich reakcji na swoje polecenia.

Często jednak powtarzał piękną myśl: jeśli film jest dobry, to jest to zasługa zespołu. Jeśli jest zły – to wina reżysera. To było mądre. Brał odpowiedzialność z swoje niepowodzenia.

Nie oznacza to jednak, że nie było dni zdjęciowych czy scen, podczas których Andrzej przychodził i mówił: „Zróbcie to tak. I tak. I tak. Bez dyskusji". Nie jest łatwo opisać człowieka przy pomocy kilku słów. Upraszczamy, często upraszczamy.

Podkreśla Pan, że się przyjaźniliście...

Wszyscy twórcy, którzy byli moimi autorytetami, byli jednocześnie moimi przyjaciółmi. W moim przypadku tego rozróżnienia właściwie nie ma. Tak samo było z Andrzejem. Bardzo liczyłem się z jego zdaniem. Kiedy miałem robić coś w teatrze czy w filmie, ale już nie z nim, często o tym rozmawialiśmy.

Dzieliło Was równych 20 lat. Co znaczyło: przyjaźnić się z Wajdą?

Znaczyło to, że tak, jak ja zawsze mogłem liczyć na niego, on mógł liczyć na mnie. I nigdy się nie przeliczyliśmy. Dotyczyło to właściwie każdej sfery życia: osobistej, intelektualnej, estetycznej, zawodowej, teatralnej, filmowej, radiowej.

Powiedział Pan niedawno, że przeczytał jego notatki, w których nie szczędził Panu ostrej krytyki, ale nigdy nie powiedział tych rzeczy wprost. Chodziło o grę aktorską. Jak Pan myśli, dlaczego?

Pewnie nie chciał sprawić mi przykrości. A może nie chciał ryzykować, że się z jego oceną nie zgodzę.

Wszedłby Pan z nim w spór?

Przyjaźń polega właśnie na tym, że jeśli trzeba, potrafimy być wobec siebie prawdziwi.

eprasa.pl 66b790add1

Wróćmy do Paryża 1980 r. Dzięki Andrzejowi Wajdzie rozpoczął się wówczas bardzo ważny, ponad trzydziestoletni etap Pana życia.
Zacząłem nowe życie!

Rozmawiał Pan o tym wówczas z Wajdą?
O tym, że rozpocząłem nowe życie? A po co? Przecież on doskonale o tym wiedział. Miałbym mu powiedzieć: „Andrzeju, dzięki tobie rozpocząłem nowe życie”? To byłoby niepoważne.

A dlaczego nie? Nie można po prostu podziękować?
Czy dziękuje się komuś za to, że obsadził mnie w roli Hamleta?

Za takie rzeczy się nie dziękuje?
Ja tego nie robię. Nigdy nie dziękowałem Jacques’owi Lassalle’owi za to, że powierzył mi rolę Don Juana w Comédie-Française, od której zaczęło się moje życie w tym teatrze. Nigdy też nie dziękowałem mu za rolę Króla Leara, dzięki której dziś gram monodram „Lear”.

Dziękowanie komuś za zaproszenie do współpracy oznaczałoby ustawienie się w pozycji kogoś, kto uważa, że nie zasłużył na to zaufanie. Kto nie jest jej godny. To tak, jakby powiedzieć: „Zrobiłeś dla mnie coś, czego właściwie nie powinieneś był robić”. Nie! Każdy z tych reżyserów uznał po prostu, że to ma sens. Ja starałem się uczyć zawodu i jak najlepiej wykonać swoją pracę.

No dobrze. A zastanawiał się Pan kiedyś: co by było, gdyby nie spotkał Pan Wajdy?
Moje życie byłoby po pierwsze mniej ciekawe i mniej różnorodne. Ograniczone. Stałbym się prawdopodobnie człowiekiem zgorzkniałym i... niespełnionym. To jest najwłaściwsze słowo! Dzięki Andrzejowi mogłem się spełnić.

Nie byłoby mojego życia w Comédie-Française. Prawdopodobnie nie znałbym języka francuskiego. Nie byłoby moich dwóch synów. Moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Nie wiem, czy zostałbym dyrektorem Teatru Polskiego w Warszawie.

A mimo to mówi Pan, że nigdy Wajdzie nie dziękował. Może pojęcie wdzięczności...

> Wajda był kronikarzem. Ale nie kronikarzem, który jedynie zapisuje fakty. Potrafił wydobywać z rzeczywistości to, co można pokazać na ekranie.

Ależ proszę mnie dobrze zrozumieć! Miałem wcześniej na myśli sytuacje, w których skruszony aktor, zgięty w pas, pokornie dziękuje dyrektorowi za rolę. Mnie taka postawa jest obca.

Z Andrzejem łączyła nas zwyczajna, ludzka, partnerska relacja. Była to relacja dorosłych ludzi, a nie relacja fornala z panem na zasadzie: „Dziękuję, panie dziedzicu, że dał mi pan kilogram kartofli więcej, niż powinien”. Natomiast moja wdzięczność jest względem Andrzeja przeogromna. To oczywiste.

Często rozmawialiście o Polsce?
Właściwie cały czas rozmawialiśmy o Polsce – o jej historii, teraźniejszości i aktualnych wydarzeniach. Kiedy w 1980 r. rozpoczęły się strajki w Gdańsku, a później podpisano Porozumienia Gdańskie i Szczecińskie, byłem w ekipie, która razem z Andrzejem pojechała do Stoczni Gdańskiej. Było to najprawdopodobniej na początku września.

Nie jestem tego pewien, bo nie uczestniczyłem we wszystkich rozmowach, ale z późniejszych komentarzy i informacji wynikało, że Andrzej już wtedy przygotowywał „Człowieka z żelaza”. Dlaczego? Bo był kronikarzem. Ale nie kronikarzem, który jedynie zapisuje fakty. Był kronikarzem-poetą, artystą i filmowcem.

Potrafił wydobywać z rzeczywistości – także tej rzeczywistości PRL-u – to, co można było pokazać na ekranie. To wydawało mi się niezwykłe. Doskonale znał ograniczenia systemu, ale nieustannie próbował poszerzać przestrzeń wolności. Wiedział też, że trzeba się spieszyć. Nikt przecież nie miał pewności, czy za chwilę nie wkroczą sowieckie albo polskie czołgi.

W czym przejawiał się patriotyzm Wajdy?

↦

Wesoło i pogodnie

JAKUB MAJMUREK

PIERWSZY POMYSŁ na filmową adaptację „Wesela” pojawia się w „Notesach” Andrzeja Wajdy już w 1962 r. Reżyser myśli wtedy o przeniesieniu dramatu Wyspiańskiego w realia Polski środkowego Gomułki.

Pan Młody miał być stomatologiem arystokratycznego pochodzenia, próbującym swoich sił w literaturze, Panna Młoda tańczyć w zespole Mazowsze, Rachela byłaby słabo mówiącą po polsku przedstawicielką ambasady Izraela, a Dziennikarz kimś wzorowanym na Krzysztofie Teodorze Toeplitzu.

Kolejne pomysły na „Wesele” pojawiają się przez całe lata 60., Wajda chce, by scenariusz napisał Jerzy Andrzejewski. Projekt Andrzejewskiego ewoluuje jednak ostatecznie w powieść „Miazga”, a reżyser w 1972 r. nakręci film na podstawie scenariusza Andrzeja Kijowskiego. Trzyma się tekstu i realiów dramatu Wyspiańskiego, inscenizując je w wizyjnej, wirującej frenetyczną energią formie.

„Notesy” pokazują kolejne, zarzucone w pracy na planie lub montażu pomysły towarzyszące realizacji tego dzieła. W połowie zdjęć reżyser notuje: „Rozmyślania o finale »Wesela«: niech chłopi, w swojej porannej wściekłości, poszlachtują panów, a oni potem powstaną i zatańczą razem z nimi, już niekrwawiący. Wesoło i pogodnie”.

Proces twórczy Wajdy praktycznie nigdy nie dokonuje się w samotności. Artysta potrzebuje zespołu. Osób przynoszących mu pomysły, inspirację, wskazujących warte uwagi lektury, „sparingpartnerów” weryfikujących kolejne koncepty, wersje scenariusza, montażowe układki.

Fragment tekstu, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” nr 31/2024

eprasa.pl 66b790add1

W niezwykłym związku z polską literaturą – trzeba to podkreślić. Dowiódł tego swoją pracą. Wyspiański w „Weselu", Witkacy i „Oni" w Paryżu, Iwaszkiewicz, Żeromski, Fredro, Mickiewicz, Reymont, Andrzejewski – wszyscy na ekranie.

Dodajmy do tego wielką międzynarodową produkcję – „Dantona". Film na podstawie dramatu Stanisławy Przybyszewskiej, czyli znów: polska wizja rewolucji francuskiej. Wystarczy wymienić te nazwiska, by zrozumieć, jak głęboko był Wajda związany z polską literaturą. Był jej wierny przez całe życie.

Jego niezwykły patriotyzm przejawiał się także w słowach Żeromskiego, które uczynił swoją dewizą: „Trzeba rozrywać rany polskie, żeby nie zabliźniły się błoną podłości". To słowa i dla mnie bardzo ważne. W tym sensie również czuję ogromną bliskość z Andrzejem.

Ciekaw jestem, czy z perspektywy człowieka, który znał go bardzo dobrze i przez lata z nim pracował, jest jakieś pytanie dotyczące jego postaci, które z dzisiejszej perspektywy wydaje się Panu szczególnie ważne?

Pan jest młodym człowiekiem. Dla pana technologia jest czymś naturalnym, powszednim. Pan w nią wchodzi, nie ucieka przed nią. Ja nie zawsze mam na to ochotę. Od części technologii uciekam. Ciekaw jestem natomiast, co Andrzej powiedziałby dziś na ten temat. Zresztą nie tylko Andrzej. Także prof. Kołakowski, Miłosz... Jak oni odnaleźliby się we współczesnym świecie? Co powiedzieliby o sztucznej inteligencji? Jak opisywaliby tę nową rzeczywistość? To jest fascynujące, choć jednocześnie zupełnie bezużyteczne, bo cóż z tego, że będziemy się zastanawiać, co powiedziałby Wajda?

Myślę, że tak naprawdę pyta pan, jak dziś przedstawić Andrzeja w sposób oryginalny. Odpowiem więc nieoryginalnie. Uważam, że najważniejsza odpowiedź brzmi: oglądać jego filmy. Bardzo często mówi się dziś o Andrzeju, nie znając jego twórczości. Obejrzeliśmy dwa filmy i wydaje nam się, że już coś o nim wiemy. Nie da się poważnie zastanowić nad Andrzejem Wajdą na TikToku, Instagramie czy nawet Facebooku. Do tego potrzeba skupienia.

Załóżmy, że nie jesteśmy na Facebooku.

I bez tego rozmawiamy już ponad godzinę i również upraszczamy rzeczywistość. Jesteśmy na te uproszczenia skazani. Powiem więcej – w ogóle nie da się przekazać obrazu człowieka. Wszystko to są jedynie strzępy. Wydaje nam się, że opiszemy człowieka albo choćby drzewo. To niemożliwe. To złudzenie młodości.

Gombrowicz miał rację, kiedy mówił: mów o sobie wobec drzewa, a nie o drzewie. Tak samo należałoby mówić o sobie wobec Wajdy, a nie o Wajdzie. Wszystko, co powiesz o Wajdzie, może mieć w gruncie rzeczy z prawdą Wajdy niewiele wspólnego.

Dlatego mówiąc o Andrzeju, paradoksalnie mówiłem o sobie. Niestety.

© Rozmawiał TADEUSZ MAREK

Autor jest dziennikarzem Radia Kraków



WITOLD ROZMYSŁOWICZ / CAF / PAP

Andrzej Wajda i Andrzej Seweryn podczas realizacji filmu „Dyrygent". Warszawa, 10 czerca 1979 r.

TP Z ARCHIWUM

Lepiej już głaskać kota

JEST ZASADNICZA RÓŻNICA między percepcją filmu w kinie i percepcją filmu w telefonie. Chodzi mi o tchnienie widowni: śmiech, zaskoczenie, zniechęcenie. W kinie wiem, czy społeczeństwo chce, czy nie chce, lubi czy nie lubi, jest za czy przeciw.

A film przeniesiony do telewizji staje się rozrywką samotnika. Nie ma dyscypliny odbioru, nie ma pewności, że został obejrzany w całości, a początek zrymował się z końcem... Taki widz zazwyczaj nie ogląda, tylko się gapi, żeby odwrócić uwagę od obowiązków albo kłopotów.

Już lepiej głaskać kota albo psa – to zajęcie o wiele bardziej humanistyczne niż oglądanie filmów w telewizji.

Z rozmowy z Kaliną Błażejowską, „Tygodnik Powszechny" nr 10/2016

eprasa.pl 66b790add1



eprasa.pl 66b790add1

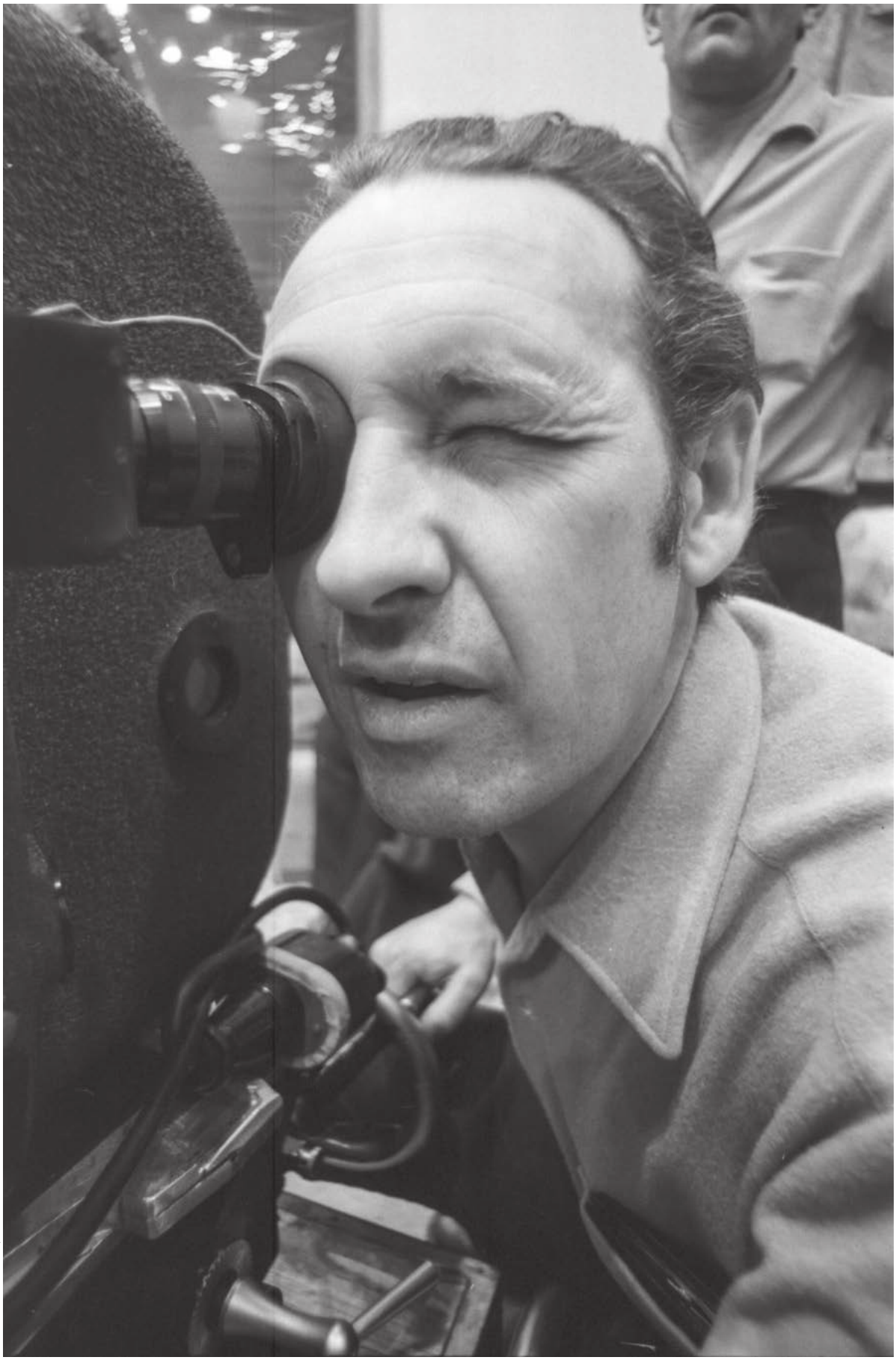

PIOTR KWIATKOWSKI / PAP

Na planie filmu „Polowanie na muchy". Warszawa, 18 listopada 1968 r.

eprasa.pl 66b790add1

Lista marzeń

JOANNA NAJBOR

Choć wyreżyserował w życiu ponad 50 filmów, przez lata gromadził w szufladzie projekty, które ostatecznie nigdy nie doczekały się realizacji. Jego pomysły jednak często wyprzedzały swoje czasy.

Jedni nie rozstają się z fajką, inni z aparatem fotograficznym, są i tacy, którzy stale noszą rewolwer, ja od lat nie rozstaję się z notatnikiem" – zapisał Andrzej Wajda w jednym ze swoich zeszytów w roku 2005. Utrwalanie wrażeń, redagowanie wspomnień, próba zatrzymania myśli w locie – wydawałoby się, że to element rutyny artystów.

Jednak tworzone przez Wajdę przez ponad 70 lat zapiski wydane w czterech tomach przez wydawnictwo Universitas w roku 2024 to niekonwencjonalny przypadek, gromadzący zarówno niedbałe szkice i anegdoty zafascynowanego sztuką dwudziestokilkulatka, jak i obsypanego nagrodami artysty, notującego już z pełną świadomością uwagi dla przyszłych czytelników.

Nie zważając na moment zapisu, po latach zarówno te wczesne próby pióra, jak i późniejsze, dojrzałe refleksje, stanowią nieocenione świadectwo aktywności twórcy o głowie nieustannie parującej od pomysłów. Twórcy, który – choć nie zawsze chciał zostać reżyserem – nigdy nie myślał, „żeby po prostu żyć", do końca nosząc w sobie sprzeciw i brak akceptacji wobec zastanych rzeczywistości.

KRYTYKA | Z okazji stulecia urodzin reżysera w całej Polsce odbywają się przeglądy, spotkania i prelekcje poświęcone mniej i bardziej znanym dziełom z jego filmografii. Trochę, aby legendę twórcy „Popiołu i diamentu", „Człowieka z marmuru" czy „Ziemi obiecanej" podtrzymać, a trochę aby wejść z nią w dialog. Z tej okazji ja również bywam proszona o przygotowywanie tekstów okolicznościowych bądź prelekcji przed seansami.

Łatwo jest tu popaść w schemat, wpisując się w zastany dyskurs – w końcu materiałów źródłowych, opracowań i wspomnień nie brakuje. Ale to alternatywne, zaproponowane przez samego reżysera w „Notesach" przepisywanie samego siebie wydaje się dziś perspektywą znacznie ciekawszą, oferując nieco inne spojrzenie na jego ambitną, nieustępliwą osobowość.

Umożliwia poznanie Wajdy nie tyle jako kontestatora narodowych mitologii, ile miotanego wątpliwościami człowieka, który – choć świetnie zdawał sobie sprawę ze znaczenia swojego dzieła – do końca pozostawał dla siebie najsroższym krytykiem.

ALTERNATYWA | Tym bardziej dziś, w kontekście kryzysu autorytetów i powszechnego rozproszenia uwagi, jego twórczość domaga się ponownej problematyzacji. Aby przybliżyć dzieło Wajdy, nie wystarczy ponowne wprowadzenie wybranych tytułów na ekrany kin czy wydanie jubileuszowych opracowań w odświeżonej oprawie – należy wskazać, co konkretnie mogą zaczerpnąć z tej filmografii najmłodsi odbiorcy, niewychowani w bezinteresownym kulcie Mistrza wyspecjalizowanego w przerabianiu „prywatnej własności na własność publiczną, którą prezentuje kino".

Z perspektywy polityki kulturalnej jest to obraz zrozumiały, być może nawet konieczny, ale dla nowych pokoleń widzów raczej nieporywający, tym bardziej biorąc pod uwagę typowo wajdowskie tematy, jak rozliczenie z dziedzictwem romantyzmu, dramat jednostki uwikłanej w historię czy tragizm młodych bohaterów nieustannie balansujących między heroizmem a poczuciem klęski.

Sam Wajda w pewnym momencie zdał sobie zresztą sprawę, że jego twórczość przestaje przystawać do współczesności zdominowanej przez „kino amatorów, którzy tworzą dla siebie, kiedy mają humor"; że nie czuje już tej samej więzi z publicznością zobojętniałą na moralne spory.

Z tego względu „Notesy" pojawiły się we właściwym momencie, oferując dostęp do branżowych anegdot, utajonych snów, stopniowego procesu przetwarzania Prywatnego w Narodowe. W końcu – do alternatywnych wersji dobrze znanych fabuł. Jednym z takich odświeżających odczytań Wajdy jest potraktowanie go jako twórcy niedoszłego, przez lata pielęgnującego w głowie setki pomysłów, z których wyłącznie wycinek (i to niekoniecznie ten najciekawszy) został zrealizowany.

Z lektury prywatnych zapisków wyłania się fascynująca wizja *historii niebyłej* – tego, co mogło się wydarzyć w tej wydawałoby się dobrze opracowanej twórczości, czy szerzej – w ogóle w polskim kinie, ale z różnych przyczyn (niedogodnego momentu historycznego, sprzeciwu cenzury, braku czasu, scenariusza bądź pomysłu) nie doszło do skutku. Tym samym konfrontacja z listą nieukończonych projektów prowokuje do ciągle aktualizującej się fantazji na temat tego, *co by było, gdyby*.

WIZJA | „Co za sto lat powiedzą? Czy wszystko znalazło się w polskim filmie?" – pytał retorycznie reżyser Jerzy Łukaszewicz w rozmowie z Wajdą w 1979 r. „Ależ tak, jeśli weźmie się te filmy i te projekty, które nie zostały zrealizowane, to będzie się miało pełny obraz" – odparł mu na to z przekorą przedstawiciel pokolenia Kolumbów. „Notesy" rzeczywiście ilustrują nierówny stosunek projektów-hipotez do realnych możliwości komunistycznego systemu.

Choć Wajda wyreżyserował w życiu ponad 50 filmów, przez lata zgromadził w szufladzie kilkadziesiąt projektów (autor książki „Historie niebyłe PRL" Tadeusz Lubelski oszacował ich liczbę na 250), które nigdy nie zostały ukończone. Czytając „Notesy" faktycznie trudno oprzeć się ↦

eprasa.pl 66b790add1

↦ wrażeniu, że niemal każda z tych półtora tysiąca drobno zapisanych stron zawiera choćby zalążek nowego lub już rozwijanego pomysłu.

Wajda zdawał się nigdy nie tracić czujności w poszukiwaniu inspiracji artystycznych. Zmysł kreacji uruchamia wszystko: lektury, spotkania, podróże. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że wiele z kluczowych dla polskiej kinematografii tytułów reżyser „Kanału" na jakimś etapie kariery wymyślił lub wziął pod rozwagę – żeby przytoczyć projekt adaptacji „Krzyżaków" w 1955 r., który finalnie zlecono Aleksandrowi Fordowi, „Białe małżeństwo" na podstawie prozy Tadeusza Różewicza (zrealizowane w 1992 r. przez Magdalenę Łazarkiewicz) czy „Kosmos" Witolda Gombrowicza na 30 lat przed niepokorną wizją Andrzeja Żuławskiego.

Jego pomysły często wyprzedzały swoje czasy. Pięć lat przed premierą „Monty'ego Pythona i Świętego Graala" snuł wizję zrobionego w Anglii „śmiesznego filmu o Jezusie, gdzie walczą katolicy i protestanci", w którym „pan przychodzi i wszystko, czego chce, nie może się zrealizować, bo jest opór bezwładu". Miał pomysł na „Jądro ciemności" o SS-manie przebywającym w czasie II wojny światowej w epicentrum wojennej apokalipsy.

Rozważał reżyserię melodramatów o głodzie idealnej miłości (pod tytułami „Blokowisko" i „Armelle"), których streszczenia mogą dziś przywodzić na myśl słynną trylogię Richarda Linklatera. *Last but not least*, na pół wieku przed głośną premierą Wojciecha Smarzowskiego myślał nad uwspółcześnioną wersją „Wesela", oscylującą wokół zaślubin młodego aktora o chłopskim pochodzeniu z córką urzędującego ministra KC PZPR, w której „Złoty róg" okazuje się być butelką po wódce.

ADAPTACJA | Przede wszystkim jednak inspiracji poszukiwał w literaturze. Szybko zdał sobie sprawę, że na film można zaadaptować wątki marginesowe, zostawiając bohaterów i główną sprawę, ale akcję konstruując od nowa. Uważnie śledził zatem zarówno aktualne propozycje wydawnicze (narzekając, że w Polsce za mało publikuje się książek nadających się do adaptacji), jak i regularnie powracał do ulubionych klasyków.

Pięć lat przed premierą „Monty'ego Pythona i Świętego Graala" Wajda snuł wizję zrobionego w Anglii „śmiesznego filmu o Jezusie, gdzie walczą katolicy i protestanci", w którym „pan przychodzi i wszystko, czego chce, nie może się zrealizować, bo jest opór bezwładu". Miał również pomysł na „Jądro ciemności" o SS-manie przebywającym w czasie II wojny światowej w epicentrum wojennej apokalipsy.

W tym kontekście szczególnie cenił twórczość Tadeusza Różewicza (latami pragnął zekranizować „Kartotekę"), Zbigniewa Herberta (planując realizację stworzonego przez niego słuchowiska „Lalka") czy Stanisława Lema, którego „Kongres futurologiczny" uważał za „fantastyczne i bardzo śmieszne opowiadanie", pozostające złośliwą aluzją do ówczesnej rzeczywistości.

Konstruując listę niezrealizowanych tytułów, na której można by zamieścić tak odmienne propozycje jak ekranizację noweli „Antek" Bolesława Prusa, „Blaszany bębenek" Güntera Grassa czy „Biesy" Fiodora Dostojewskiego, trudno jest wskazać jedno nadrzędne kryterium tematyczne lub formalne.

Za tą zmiennością (i różnorodnością) planów kryło się przekonanie, że „powtarzanie wiedzie nieuchronnie do klęski", a „sukces kolejnego filmu każe szukać nowej materii, innego scenarzysty". Zawsze przyświecał mu jednak jeden cel: stworzenie filmu doskonałego i „bezspornego" zarówno pod względem tematu, jak i realizacji. Zawiedziony, rzucał się zatem w kolejny projekt, wierząc, że tym razem uda mu się zadowolić samego siebie.

Z tej perspektywy jednym z najważniejszych, wyśnionych *opus magnum* stało się „Przedwiośnie" Żeromskiego, o którym regularnie wspomina przez niemal pół wieku. Od pierwszej wzmianki w 1956 r. powstało pięć wersji scenariusza, które w różny sposób podchodziły do uwspółcześnienia motywu „szklanych domów". Jedną z pierwszych propozycji odebrano jako polityczną prowokację wymierzoną w Związek Radziecki; w kolejnych latach projekt odrzucono, argumentując, że społeczeństwo nie jest gotowe na konfrontację z historią Baryki.

Kiedy po transformacji temat „Przedwiośnia" powróci, Wajda sam się wycofa, mając poczucie, że zawarte w dziele Żeromskiego dylematy ideowe przestały być atrakcyjne dla publiczności. Z tego powodu tym większym ciosem okazała się dla niego adaptacja Filipa Bajona, która potwierdziła najgorsze obawy artysty co do możliwości przeniesienia arcydzieła Żeromskiego na wielki ekran. Powstałą wersję uznał za szkicową, o chybionej obsadzie i fatalnych dialogach, pozostawiającą widza w emocjonalnym chłodzie, w czym upatrywał największą słabość projektu.

ENTUZJAZM | Niedoszłe pomysły Wajdy nie ograniczyły się jednak wyłącznie do inspiracji literaturą. Przez całe życie planował filmy dokumentalne – w samym 1952 r. wymienia ich aż 19, w tym projekty monograficzne o Janie Matejce, Aleksandrze Orłowskim, Aleksandrze Gierymskim czy Jacku Malczewskim. Wiele z nich ma być poświęconych sztuce, która pozostawała jedną z jego największych namiętności – jak film o malarkach z Zalipia, socjologii kobiety na podstawie dzieł plastycznych czy fenomenie krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

Tego ostatniego szczególnie żałował; w jednej z wersji film miał zostać opracowany we współpracy z Agnieszką Osiecką i Piotrem Skrzyneckim i utrzymany w duchu szekspirowskiego „Snu nocy letniej", opowiadając o nieoczekiwanym zakochaniu podczas jednej z letnich nocy w Krakowie.

eprasa.pl 66b790add1



CATHERINE CABROL / KIPA / SYGMA / GETTY IMAGES

Na dworcu w Lyonie, 1 marca 2000 r.

Nie mniej niż literatura fascynowali go ludzie i ich historie. Rozważał opowieści o Helenie Modrzejewskiej (jako amerykańskiego debiutu reżyserskiego), Edwardzie Stachurze (w formie nietypowego dla siebie poetyckiego musicalu), Andrzeju Wróblewskim (który prywatnie pozostawał jego przyjacielem i wielkim źródłem inspiracji) czy w końcu o Fryderyku Chopinie. Ten ostatni widział jako ciąg poetyckich obrazów, z jak najmniejszą ilością fabuły, przypominający konstrukcyjnie „Sny" Kurosawy, w którym poszczególne etiudy stanowią niezależne obrazy.

„Niech będzie w tym filmie więcej muzyki, niż można pomieścić w filmie biograficznym, gdzie byle ciotka lub służący zajmują kilometry taśmy" – zapisał. Być może to pokłosie rozwijającej się dynamicznie w latach 80. kultury wideoklipów, które jego zdaniem przejawiały dawny entuzjazm kina wobec żywiołu ruchu i magii montażu.

LEKCJA | W jednym z wczesnych wpisów Wajda stwierdził, że nie żałował w życiu wielu niezrealizowanych projektów – częściej żal mu było raczej tych, które faktycznie zostały ukończone. Jego przykład pokazuje, że powstanie filmu – zarówno w komunistycznej Polsce, jak i dziś, choć już z powodu innych ograniczeń – bywa w równym stopniu efektem trudu i przypadku, co teoretycznie wykluczających się okoliczności.

Choć już w latach 80. krytycznie wypowiadał się na temat podsycanej przez telewizję tendencji do „miszmaszu wszystkiego w codziennym życiu" i „skakania z tematu na temat", umiejętność równoległej pracy nad kilkoma projektami okazała się receptą na przetrwanie w niestabilnym, uzależnionym od politycznych zawirowań środowisku.

To też może jedna z najważniejszych lekcji, którą można wyciągnąć z tej artystycznej ścieżki: że liczy się nie tylko upór, talent i pracowitość, ale również umiejętność rezygnacji – w odpowiednim momencie. Choć finalnie i tak marzenia, jak sam stwierdził na łamach autobiografii, pewnie pozostaną ciekawsze od samych filmów. © JOANNA NAJBOR

Wszystkie cytaty zaczerpnięto z „Notesów" (Universitas, 2024) oraz autobiografii „Kino i cała reszta" (Znak 2013).

eprasa.pl 66b790add1

TP Z ARCHIWUM

Melancholia przemijania

CZESŁAW MIŁOSZ

ZOBACZONE W KOŃCU LAT 70. w małym paryskim kinie, „Panny z Wilka" oczarowały mnie swoim artyzmem. Jest to niewątpliwie jedno ze szczytowych osiągnięć Wajdy, dające miarę wszechstronności jego talentu, a zarazem jeden z najlepszych polskich filmów. Byłem jednak szczególnym widzem, bo opowiadanie Iwaszkiewicza istniało dla mnie w całej świeżości doznania podczas pierwszej jego lektury, wtedy, kiedy się ukazało.

Napisane w 1931 r., nie jest pozbawione odniesień historycznych, skoro jego bohater należy do pokolenia, które w młodości brało udział w wojnie o Polskę. W roku 1920 miał dwadzieścia parę lat i jego pobyt w Wilku przypadł w okolicach tej daty. Teraz wraca do Wilka po latach, zmieniony, a przecie nie stary, skoro ma lat trzydzieści kilka. Młodzieńcze miłości i cała cielesność mieszkanek dworu ukazują mu się od nowej strony. Prawdziwym tematem „Panien z Wilka" jest słodko-gorzka melancholia przemijania, czyli sama tkanina czasu. Iwaszkiewicz (i zwłaszcza jego żona Anna) był wielbicielem Prousta, toteż jego opowiadanie jest w pewnym sensie „proustowskie".

Melancholia przemijania ma romantyczny rodowód. XVIII wiek jest jeszcze od niej wolny. Zdawałoby się, że pamiętniki Casanovy z jego rejestrem kochanek nadawałyby się do uronienia łzy nad tymi, które były, a przeminęły, ale nie, jego opisy przygód miłosnych są umieszczone w wiecznym teraz. „Tristram Shandy" Sterne'a zawiera życiorys bohatera nie od kolebki, lecz wcześniej, bo od chwili poczęcia (a nawet od nakręcania zegara owej nocy), a jednak wszelkim zmianom nie patronuje sama potęga czasu.

Wszystko zmienia się wraz z pojawieniem się tak zwanego sentymentalizmu, z niemałym udziałem Rousseau. Melancholii przemijania zawdzięczamy parę cudownych liryków Franciszka Karpińskiego, jak też niemało wersów Mickiewicza i Słowackiego. Opowieść Gustawa w „Dziadach" jest dość dziwna, zważywszy, że opowiada młodzieniec, który jeszcze niedawno był w Nowogródku, a w jego ustach dom rodzinny w ruinie tak wygląda, jakby minęło kilkadziesiąt lat.

Podobne zwiększenie czasowego dystansu widać w „Godzinie myśli" Słowackiego, gdzie wczesna młodość w Wilnie jest tak odległa, jakby wspominał ją stary człowiek, a przecie pisząc ten poemat Słowacki miał zaledwie trzydziestkę. Potrzeba melancholijnego wspominania właściwa jest też Kordianowi, którego żywot mieści więcej kolejnych faz, niż pozwala na to jego młody wiek.

W „Pannach z Wilka" przemijanie zyskuje szczególną ostrość dzięki temu, że dawne miłości są i przeszłe, i obecne, to znaczy młode kobiety nadal są tu, w swoim ulegającym metamorfozom, ale ciągle ponętnym ciele. Otóż patrząc na film zadałem sobie pytanie: czy reżyser przekazał to, co odczuwamy jako dziwność i nieubłaganość mijającego czasu? A jeżeli odpowiedź jest negatywna, to wcale nie wina reżysera, bo po prostu jest to temat poza zasięgiem sztuki filmowej.

Zaryzykuję twierdzenie, że niektóre z ludzkich doświadczeń mogą być przekazane jedynie dzięki materii języka, czy też po prostu język je stwarza. Filmowcy XX wieku zdawali się wierzyć, że ich język obrazów potrafi powiedzieć tyle samo co literatura, chyba jednak tego nie udowodnili. Przypomnijmy sobie wybitne filmy o dzieciństwie – Felliniego, Bergmana. Czyż przeszłość, w literaturze pokazywana w otoczce złożonych stanów uczuciowych, zamyślenia, dystansu, smutku, humoru, i właśnie słodyczy-goryczy przemijania, nie ukazuje się zmieniona w czas teraźniejszy, tyle że z podziałem na etapy?

Kiedy Bergman w autobiograficznym filmie opowiada o rodzinie, wszystko rozgrywa się przed naszymi oczami, nie kiedyś, dawno, czyli jesteśmy zmuszeni zapomnieć, że te obrazy przywołuje pamięć. Co prawda nakręcono film według pierwszego tomu „W poszukiwaniu straconego czasu", co prawda dałoby się np. pokazać lato nad morzem i gołe plecy „rozkwitających dziewcząt", ale co dalej?

Gdzie opowiadacz, dla którego tamto lato jest wspomnieniem oczarowania wplecionym w upływ lat? I skąd właściwie bierze się rozdzierający ton pieśni Karpińskiego: „Potok płynie doliną / Za doliną jawory / Tam ja z tobą Justyno / Słodkie pędził wieczory"? Same obrazy doliny i jaworów o tym nie przesądzają, wiersz to sprawia, jego rytm i rymy. Albo co zostałoby z „Godziny myśli" na język obrazów przetłumaczonej, skoro jej treścią jest „barwa upływającego czasu"?

Iwaszkiewicz jest trudny do filmowania, ponieważ zarówno w jego wierszach, jak w prozie medytacja nad przemijalnością stanowi sam rdzeń jego sztuki. Że Wajda podjął wyzwanie i wyszedł ze zmagań (prawie) zwycięsko, przydaje mu chwały. To znaczy pozwolił nam domyśleć do akcji jej przemilczane założenie.

Tekst ukazał się w „Tygodniku Powszechnym" nr 5/2000 z okazji przyznania Andrzejowi Wajdzie Oscara za całokształt twórczości.

eprasa.pl 66b790add1

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny” zawsze pod ręką

Czytaj wygodnie – w papierze i online. Wybierz prenumeratę łączoną „Tygodnika Powszechnego” i korzystaj jednocześnie z wydania drukowanego oraz pełnego dostępu online.
To najwygodniejszy sposób, by mieć stały dostęp do rzetelnego dziennikarstwa, pogłębionych analiz i najlepszej publicystyki – zarówno w domowym fotelu z papierowym wydaniem, jak i w podróży czy pracy dzięki wersji cyfrowej.



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Papierowe wydanie z wygodną dostawą
- Pełny dostęp do serwisu online i archiwum
- Dostęp do wydań specjalnych o wartości **120 zł**
- Elegancka torba „Tygodnika Powszechnego” w prezencie

OFERTA CENOWA PRODUKTU ŁĄCZONEGO:

InPost	~~cena 1359 zł~~ **cena promocyjna 983 zł**	
Poczta	~~cena 1093 zł~~ **cena promocyjna 995 zł**	

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 66b790add1

REKLAMA

TOTALIZATOR SPORTOWY

7 LAT

NAJWIĘKSZY MECENAS KULTURY I SPORTU W POLSCE



#GramyDlaKultury

Kupując produkty Totalizatora Sportowego, wspierasz polską kulturę i sport. Z każdej złotówki wydanej na gry liczbowe LOTTO 19 groszy trafia właśnie na te cele.

Dowiedz się więcej na: totalizator.pl/wsparcie

eprasa.pl 66b790add1